

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK

Zabieram obrączki ślubne, pierogi i polską technologię – mówi „Wyborczej” drugi Polak w kosmosie. Wszystko o Sławoszu Uznańskim-Wiśniewskim, jego rakiecie i jego misji ►12



**WYSOKIE
OBCASY**

**Zgwałcone
już się nie
wstydzą**



MAGAZYN
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Co
dobrego
może
zrobić
Karol
Nawrocki

► 2-11

**Zawsze będę
punkową**
50. urodziny
Angeliny Jolie ►29



FOT. REUTERS/MANON CRUZ

Nie nadajesz się
codziennie
słyszyny młody
Polak ►17

**Psychiatra
rozwiewa
mity**
o lekach ►20

**Za co
papięże
kochali
kastratów** ►40

WYBORCZA

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 048098



ISSN 0860-908X
9 770860 908167

23>

Przestańmy mówić „my” i „oni”

Spróbujmy się posklejać

Obniżyć poziom agresji. Sprawić, żeby rodziny nie bały się rozmawiać o polityce. Żeby przyjaciele nie zrywali znajomości. Żebyśmy jako obywatelki i obywatele ze sobą rozmawiali. Spierali się, ale bez pogardy



Roman Imielski

Od niedzielnej nocy wiele Polek i wielu Polaków, w tym moi znajomi, jest mocno przygnębiona. Nie mogą uwierzyć, że trochę więcej wyborców zagłosowało za kandydatem PiS, jeszcze niedawno człowiekiem znikąd.

Nawrocki ma w dodatku potężny – wydawałoby się – balast: znajomości z ludźmi z półświatka, poważne zarzuty o sutenerstwo w czasach, gdy dorał jako ochroniarz w jednym z sopockich hoteli, chlubenie się walką w kibolskich ustawkach, wreszcie przejęcie wykupionej przez nominalnego właściciela Jerzego Ż. komunalnej kawalerki.

Część osób publicznie deklaruje, że chce z Polski wyjechać, bo boi się, że prezydentura Nawrockiego to będzie totalny chaos, ciągła walka z rządem. I że jej zwieńczeniem będą wybory parlamentarne w 2027 roku, zakończone zwycięstwem PiS, Konfederacji i partii Grzegorza Brauna. Czyli prawicowo-nacjonalistyczno-brunatną falą zalewającą Polskę.

Część mówi pogardliwie o ciemnogrodzie, który wybrał Nawrockiego, obrażając tym samym tych, którzy z różnych powodów zagłosowali za kandydatem PiS. Choć sami są bardzo wyczuleni na taki język, gdy używają go ci z drugiej strony barykady.

Część jest po prostu zła na sztab Rafała Trzaskowskiego i rząd Donalda Tuska, że popełnili masę błędów i ostatecznie przegrali prezydenturę. Że nie przekonali do siebie młodych, którzy woleli wybrać Sławomira Mentze-

na, a potem Nawrockiego. Że Koalicja 15 Października nie zrealizowała wielu z wyborczych obietnic.

Nie mam wątpliwości, że gdy w sierpniu Nawrocki wprowadzi się do Pałacu Prezydenckiego, zacznie się bardzo trudne pięć lat – dla połowy Polek i Polaków oraz dla Polski. To będzie zwracanie naszego kraju z europejskiej drogi, promowanie kibolskich standardów i nacjonalistycznej agendy, blokowanie wszelkich progresywnych pomysłów takich jak związki partnerskie, wreszcie totalny konflikt z rządem obliczony na jego upadek albo przegraną w wyborach w 2027 roku.

Nie wierzę w żadne wyciąganie ręki do Polek i Polaków, którzy wsparli Trzaskowskiego i nigdy nie będą wyborcami Nawrockiego i jego środowiska politycznego. To będzie pogłębianie polaryzacji, dzielenie na lepszy i gorszy sort.

Ale wiem też, że Polska jest wspólna, że żyjemy obok siebie i musimy zrobić wszystko, by się szanować. Spróbować posklejać społeczeństwo, obniżyć poziom agresji, doprowadzić do sy-

tuacji, że rodziny nie będą się bały rozmawiać o polityce, że przyjaciele nie będą zrywać znajomości. Że jako obywatelki i obywatele powinniśmy ze sobą rozmawiać, spierać się, ale bez agresji i pogardy dla myślących inaczej.

To niezwykle trudne, bo emocje są rozpalone od lat i szybko nie znikną. W „Wyborczej” bardzo często spieramy się o to, jak wyjść z własnej bańki informacyjnej, jak pokazać perspektywę ludzi, którzy nie są zwolennikami wyznaczanych przez nas wartości. Jakim pisać językiem, z kim i jak rozmawiać. W jaki sposób dotrzeć do jak najmłodszych czytelników i czytelniczek.

I też zmagamy się z polaryzacją, a teksty krytyczne wobec Koalicji 15 Października część naszych czytelników uważa wręcz za zdradę, dając temu wyraz w komentarzach czy wysyłanych do redakcji listach. Na tym jednak polega dziennikarstwo, że patrzymy ludzium władzy – na różnych szczeblach – na ręce.

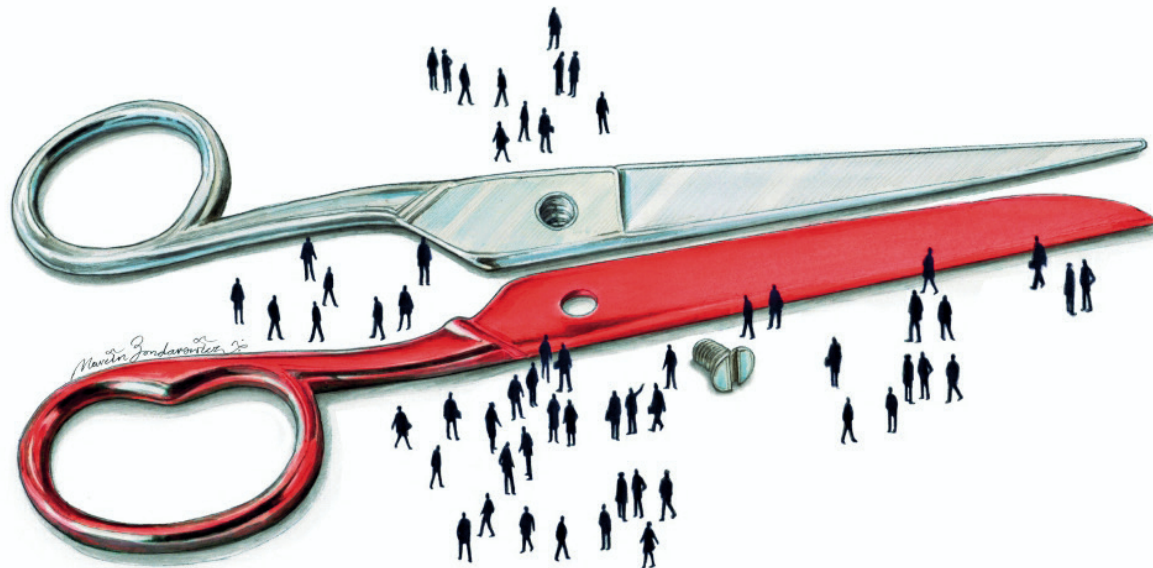
Nie chodzi tu o żaden symetryzm, często używany jako wytrych do tego, by nie powiedzieć wprost: to jest czar-

ne, a to jest białe. Będziemy wierni naszym wartościom: liberalnej demokracji, zachodniemu i unijnemu kursowi naszego kraju, broniению słabszych i wykluczonych, wspieraniu praw mniejszości i praw kobiet, budowaniu otwartego społeczeństwa, niezgodzie na nacjonalizm i faszyzację życia publicznego, wreszcie przemoc, w tym słowną.

Nie jesteśmy też naiwni i doskonale zdajemy sobie sprawę, że powrót do władzy PiS Jarosława Kaczyńskiego wspólnie z Konfederacją i partią Grzegorza Brauna, przy prezydenturze Nawrockiego, to będzie budowa w Polsce systemu węgierskiego. Domknięcie tego, czego nie udało się dokonać Jarosławowi Kaczyńskiemu w latach 2015-23.

To oznacza próbę zniszczenia także niezależnych mediów, by nikt – tak jak Viktorowi Orbanowi – nie mógł już patrzeć władzy na ręce. Bo tradycyjnych gazet czy telewizji nie zastąpią popularni youtuberzy, którzy mają miliony zasięgi, ale jakoś – do tej pory – żadnej poważnej afery nie ujawnili. ●

RYŚ. MARCIN BONDAROWICZ



4 pozytywy. By nie dać się podłym myślom



Agnieszka Kublik

1 Niezależne media odegrały w tej kampanii kapitalną rolę. To, co wiemy o przeszłości Karola Nawrockiego to dzięki nim. Przejęta komunalna kawalerka za opiekę, której nie było i za pieniądze, których właściciel mieszkania, pan Jerzy, nie dostał. Historia pana Jerzego, która każe pytać o etykę tej transakcji – umowę sprzedaży mieszkania pan Jerzy pod-

pisywał w więzieniu, gdzie siedział za przestępstwa seksualne.

Zalotwanie przez Nawrockiego prostytutek gościom sopockiego Grand Hotelu. I udział w kibolskim mordobiciu, o którym Nawrocki mówił jako o szlachetnej aktywizacji sportowej.

Mamy prawo wiedzieć, kto kandyduje w wyborach prezydenckich. Musimy wiedzieć, kto został prezydentem. Tę wiedzę dały nam niezależne media.

2 Potrafiśmy się mobilizować. Wysoka frekwencja jest wartością w demokracji. 1 czerwca frekwencja była rekordowa – 71,63 proc. Po 1989 r. rywalizacja w II turze wyborów prezydenckich nigdy nie przyciągnęła tylu wyborców.

I w ostatnich wyborach parlamentarnych w 2023 r. padł rekord – 74,4 proc.

Czyli politykom, którzy – bywa często – tracą nasze zaufanie, bo obietnic nie wypełniają, kłamią, głupio się kłócą, są nieuczciwi, jednak Polaków do polityki nie udało się zniechęcić.

3 Nie było powyborczego chaosu. Bo nie było problemu z uznaniem wyniku wyborczego za nieważny, co obiecywał PiS w razie minimalnej przegranej Nawrockiego. Ponieważ to PiS zdewastował autorytet Sądu Najwyższego, ustanawiając Izbę Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, która nie jest sądem, a miałaby orzec o ważności (nieważności) wyborów, teraz by to cynicznie wykorzystał.

To mogłoby być groźne, bo nie istnieje – oczywiście dzięki PiS – żadna instytucja, która ma autorytet, by orzec ważność wyborów, tak by żadna strona tego nie kwestionowała.

Ponieważ to Trzaskowski przegrał minimalnie, PiS już o sfalszowaniu wyborów nie wspomina.

4 Nawrocki przestanie być prezesem IPN. Jak opowiadał prof. Antoni Dudek, Nawrocki w IPN dał się poznać jako człowiek niebezpieczny, absolutnie bezwzględny, jak mówił Dudek: „całą instytucję zaprzęgnięto do pracy na potrzeby kultu”. Kto go zastąpi, czy ktoś mniej bezwzględny? Szef Instytutu powołuje (i odwołuje) Sejm za zgodą Senatu, na wniosek Kolegium Instytutu Pamięci. ●

Andrzej rysuje



Liczba tygodnia



FOT. KAMIL GOZDAN / AGENCJA WYBORCZA.PL

RAZY WIĘCEJ

- treści wspierających Karola Nawrockiego niż Rafała Trzaskowskiego wyświetlał TikTok nowym użytkownikom tuż przed II turą – wynika z eksperymentu Global Witness, organizacji badającej naruszenia praw człowieka. Jej przedstawiciele założyli trzy konta dla użytkowników w różnym wieku. Algorytm odpowiedzialny za stronę „Dla ciebie” znacznie częściej podsuwał też nowym użytkownikom treści skrajnie prawicowe niż centrowe i lewicowe. Dwa tygodnie wcześniej podobną dysproporcję na TikToku Global Witness zaobserwowała podczas wyborów prezydenckich w Rumunii.

• Więcej w tekście Piotra Miączyńskiego ► [Wyborcza.biz](#)

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Cytat tygodnia

Opierając się na ludziach młodych, będziemy łączyć, zasypywać rowy i nierówności. Głównymi celami są edukacja, wzajemna pomoc i opracowywanie naukowo uzasadnionych rozwiązań społecznych, aby wszystkim żyło się lepiej



JOANNA SENYSZYN
ogłaszając powołanie nowego ruchu politycznego

„Oko za oko” to strategia ślepcy

Nie było w Polsce pomysłu na integrację, a jedynie na polaryzację. Dyskurs pozostał toksyczny i doprowadził do takiego finału.



Marcin Matczak

Mimo lawiny zarzutów i morza afer Karol Nawrocki został wybrany na prezydenta RP. Dla wielu to szokujący paradoks: jak to możliwe, że społeczeństwo powierzyło najwyższy urząd osobie obciążonej tak poważnym bagażem kontrowersji? Dlaczego wybaczyło wszystko i oddało mu ster kraju? To zwycięstwo jest szokiem głównie dla ludzi, którzy od października 2023 patrzyli na Polskę jak na odbite z rąk wroga miasto – miejsce, które odzyskano z rąk ciemnogrodu i przywrócono liberalnemu porządkowi. W ich przekonaniu osiem lat rządów PiS należało traktować jak pomyłkę – sen wariata, historyczną anomalię, która na szczęście dobiegła końca. Teraz miało być już tylko „normalnie”. Czyli po naszymu.

Świat skręca w prawo

Ale ta wygrana nie jest odosobnionym wydarzeniem, lecz częścią szerszego zjawiska: współczesny świat skręca w prawo. Od Skandynawii po Argentynę rośnie poparcie dla partii i kandydatów odwołujących się do porządku, tożsamości i tradycji. Nie jesteśmy wyjątkiem. Co napędza ten zwrot? Najkrócej mówiąc – lęk. Lęk przed światem, który tak przyspieszył, że trudno go zrozumieć, tak się skomplikował, że nie wiadomo, jak sobie z nim radzić. W tej atmosferze liberalna „płynna nowoczesność” odbierana jest jako chaos, a narasta tęsknota za czymś stałym i przewidywalnym.

Ludzie zwracają się ku konserwatyzmowi, gdy doświadczają nieprzewidywalności. Nie są irracjonalni – po prostu szukają drogowskazów w świecie, w którym nic nie jest proste, a zagrożenia się mnożą. Jak nie pandemia, to wojna, jak nie terroryzm, to kryzys gospodarczy, a do tego jeszcze śmieciówki, brak mieszkań i nowa rola społeczna kobiety, za którą część młodych mężczyzn kulturowo i psychicznie nie nadąża. Głosują więc na kogoś, kto obiecuje, że będzie bezpieczniej i prościej. Tak jak kiedyś.

Dlatego osobista niemoralność Nawrockiego nie miała w kampanii większego znaczenia, dokładnie tak samo jak w przypadku wygranej Trumpa. Liczyło się to, że stojący za nim PiS symbolizował przywrócenie porządku, który – choć często udawany – wydaje się zrozumiały i oswojony. Wielu wyborców skusiła pozornie bezpieczna, populistyczna wizja tradycyjnej rodziny i wspólnoty narodowej. Ale też słusza teza, że nowoczesność nie może się realizować kosztem pamięci, więzi i języka wartości.

Relikt do stratowania

Drugim – oprócz lęku przed płynnością – powodem zwycięstwa Nawrockiego była pogarda, jaką liberalne środowiska okazywały konserwatywnej Polsce. Tradycyjne wartości wyznawane przez miliony były wyszydzane, język i troski konserwatywnych Polaków lekceważone. Czy to miejskie elity przewracające oczami na „ciemnogród”, czy progresywni aktywiści kpiący z religii – taka postawa wysyłała dużej części obywateli jasny komunikat: „Wasze przekonania czynią was gorszymi”.

Tej uporczywej pogardy nie usprawiedliwia agresja z drugiej strony. Po pierwsze, strategia „oko za oko” prowadzi w sposób nieunikniony do ślepoty. Po drugie, wyśmiewanie liberalnych elit historycznie rzadko groziło autorytaryzmem, a pogarda dla konserwatywnego, zwyczajnego człowieka dosyć często.

Po wygranej opozycji w 2023 r. liberałowie uwierzyli, że Polska im się naprawiła – że kraj na stałe obrał kurs progresywny, proeuropejski. Komentatorzy i politycy z tej strony zachowywali się tak, jakby konserwatywna „ciemna przeszłość” miała zniknąć raz na zawsze. PiS i jego elektorat traktowano jak siłę przebrzmiałą – relik, który wkrótce zostanie stratowany przez marsz postępu.

Znów weszli w buty Jarosława

Zaraz po wyborach w felietonie „Nic z tego nie będzie” pisałem, że jeśli zwycięska wtedy strona będzie myśleć według schematu: „Teraz, k..., my”, PiS wróci szybciej, niż się wydało. A ona postanowiła traktować edukację, kulturę, pamięć zbiorową jako pole odwetu, czyli zrobiła dokładnie to, co robił PiS – tylko z innym ideologicznym sztandarem.

Zamiast próby przeciągnięcia na swoją stronę choćby 500 tysięcy – kolejne żarty z lupieżu i starych butów Jarosława. Zamiast budowania wspólnoty – propozycja przeniesienia pomnika smoleńskiego i sonda na Twitterze, czy usunąć Lecha Kaczyńskiego z Wawelu.

Pisałem, że jeśli chcemy, by Polska się znowu nie wykołysła, trzeba się nauczyć języka drugiej strony. Nie ironicznie, nie koniunkturalnie, tylko serio. Jak Mandela, który nauczył się afrikaans, by móc rozmawiać z przeciwnikami.

U nas ten język był używany do tego, żeby posłów, którzy do ślubowania dodawali konstytucyjną frazę: „Tak mi dopomóż Bóg”, nazywać „baranami”, samą frazę „panabożym zakłębciem”, a religijność jako „chmurę katolicyzmu”, która rzekomo zaciemnia umysły obywateli.

Pisałem, że lekceważenie tej części Polski, która nie wstydzi się swojej wiary, swojej prowincji, swojej „zwyczajności”, szybko się zemści. Nie dlatego, że ci ludzie są nienawistni, lecz dlatego, że mają dość bycia traktowanymi jak balast nowoczesności.

Te prognozy niestety się sprawdziły. Nie odczuwam żadnej satysfakcji – przeciwnie, czuję głębokie rozczarowanie, że nasz publiczny dyskurs pozostał toksyczny i doprowadził do takiego finału.

Kpina nie działa

Nie było w Polsce pomysłu na integrację, a jedynie na polaryzację. Nie było gestu, który powiedziałby: „Jesteśmy również waszą władzą”. I nie chodzi tu o banalne hasło „szanujmy się”, tylko o coś głębszego. O zrozumienie, że demokracja nie ma przyszłości, gdy jedna połowa społeczeństwa traktuje drugą jak błąd historii.

Wybór Nawrockiego nie przekreśla demokracji – on ją diagnozuje. Pokazuje, że polowa Polski nie czuje się słyszana przez liberalną władzę i ich wyborców. Przekonuje, że walka z populizmem przez kpinę i pogardę to metoda boleśnie nieskuteczna.

Więc jeśli dziś ktoś pyta: jak to możliwe, że Nawrocki wygrał – bez propagandy TVP PiS, bez subwencji, bez doświadczenia, trzeba odpowiedzieć: pomogliśmy mu. A to, że nie chcieliśmy tego widzieć, to już zupełnie inna sprawa.

Co dalej? Jest ryzyko, że za dwa lata PiS i Konfederacja, razem ze swoim prezydentem, poprowadzą Polskę poza Europę, w kierunku niedemokratycznym. Jeśli nie zrozumiemy lęku przed różnorodnością i nadal będziemy uznawać pogardę za dobrą odpowiedź na agresję, trudno będzie temu zapobiec. ●

• Śródtytuły pochodzą od redakcji



• Karol Nawrocki
w klasztorze na Jasnej
Górze w Częstochowie
na spotkaniu
z pielgrzymką kibiców
(11.01. 2025)

FOT. GRZEGORZ CELEJWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Stadiony, nowe kościoły

PREZYDENT, CHŁOPAK *taki jak my*

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI: Dekadę temu kibice krzyczeli na stadionach: „Donald matole, twój rząd obalą kibole”. Brzmi jak jasna deklaracja polityczna.

PROF. MATEUSZ GRODECKI: – Kiedy w 2021 roku badałem nacjonalizm wśród kibiców piłki nożnej, zadałem pytanie o ich preferencje wyborcze. I okazało się, że ich sympatie polityczne pokrywały się z całą populacją, czyli Koalicja Obywatelska i Prawo i Sprawiedliwość miały mniej więcej równe poparcie. Różnicę dostrzegaliśmy wyłącznie w grupie najbardziej zaangażowanych kibiców, których możemy nazwać fanatykami. Oni głosowali częściej na partie antysystemowe. Mowa o Konfederacji i Kukiz'15.

Można więc założyć, że w tegorocznych wyborach prezydenckich głosy rozłożyły się podobnie, a trend jest identyczny, jak pięć lat temu: czyli kibice piłki nożnej w niczym nie różnią się od reszty populacji, jeśli chodzi o wybory polityczne.

A czy kibice wybrali nam nowego prezydenta?

– Wątpię, choć jeszcze nie mamy najnowszych badań. Intuicyjnie mogę założyć, że w tych wyborach główną rolę odegrała ogólna polaryzacja, a więc transparenty wywieszane na trybunach, które jawnie namawiały do głosowania przeciwko Rafałowi Trzaskowskiemu, nie zmieniły niczych poglądów.

Dawno temu szalikowcy krzyczeli: „Donald matole, twój rząd obalą kibole”. Dziś w głębi duszy kibolem może być profesor. Bywa, że jedną trzecią trybun zapelniają kobiety.

Z PROF. MATEUSZEM GRODECKIM ROZMAWIA ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI

dów. Jeśli mają na kogoś wpływ, to tylko na młode osoby, które nie mają ukształtowanych preferencji politycznych.

A czy głosy młodych kibiców zdecydowały o wyniku wyborów? Trzeba to zbadać. Na pewno część kibiców mogła głosować na Karola Nawrockiego, ponieważ pochodził z ich środowiska, mogli pójść za głosem solidarności kibicowskiej.

Czyli kibice nie są prawicowi?

– Musimy tę grupę podzielić na dwie części, o których już mówiłem, a więc szeroką grupę ludzi, którzy chodzą od czasu do czasu na stadiony oraz na fanatyków.

Nazywanych kibolami.

– Przez pańską redakcję, co się zresztą przyjęło. Ludzie mówią o nich też „szalikowcy”, czy „fanatycy”.

Ich deklarowane poglądy polityczne utożsamiają się z szeroko rozumianą prawicą, ale tak naprawdę można je sprowadzić

do antykomunizmu. Ta postawa jest zakorzeniona w tradycji kibicowskiej od lat 90., a nawet 80., kiedy fanatycy utożsamiali się z subkulturą skinheadów, ale tylko w sposób powierzchowny.

Aktem założycielskim ruchu kibicowskiego w Polsce jest więc sprzeciw wobec komunizmu. I co ważne, Polska jest jednym z krajów, gdzie kibice wszystkich klubów deklarują prawicowe poglądy.

Ale istotniejsze jest coś innego: przywiązanie do prawicowych wartości nie musi przekładać się na prawicowe wybory polityczne.

Nie rozumiem. Czyli można wyznawać kult „żołnierzy wyklętych”, a jednocześnie głosować na Tuska?

– Tak.

I z czego to wynika?

– Z prywatyzacji poglądów i kwestii tożsamościowych.

Czyli można tę sytuację porównać do księży, którzy na kazaniu mówią o celibacie, ale na plebanii mają kochankę?

– To chyba bardziej zniuansowane, panie redaktorze. Mówimy o dwóch mechanizmach: jeden jest typowy dla kibiców, a drugi dotyczy po prostu ludzi.

Badania pokazują, że identyfikacja kibiców z nacjonalistycznymi hasłami bywa powierzchowna. Naukowcy mówią o ideologiach oporu: kibice są często przeciw czemuś, co reprezentuje mainstream polityczny, co nie znaczy, że są za czymś.

I druga sprawa: niektórzy kibice werbalizują skrajne poglądy, a nie identyfikują się z nimi. Ta postawa wynika z naśladownictwa, co jest szczególnie widoczne wśród młodych ludzi, ale chodzi też o szokowanie opinii publicznej. Sami kibice powtarzają, że niektóre oprawy, gdzie wypisane są niezwykle kontrowersyjne hasła, są lekko przesadzone.

Po co?

– Dla uwagi, zwrócenia uwagi na pewne problemy. W tożsamości fanatyka istotnym elementem jest antysystemowość, dlatego kontrowersyjne oprawy stadionowe służą wyrażaniu sprzeciwu społecznego.

I ten sprzeciw jest wyrażany homofobicznym, rasistowskim, antyimigranckim językiem. Kibice są przeciwni liberalom?

– Nie tylko. Badaliśmy, dlaczego kibice wybierają konkretne postaci, które następnie są honorowane na trybunach. Ostatnio kimś takim był Janusz Waluś, a więc zabójca jednego z przywódców czarnego ruchu wolnościowego w RPA i wyznawca ideologii apartheidu.

Fanatycy tłumaczą, że niektóre figury, takie jak powstańcy warszawscy i „żołnierze wyklęci”, były stopniowo zagarniane przez mainstream polityczny, głównie prawicowy. A kogoś takiego jak Waluś nie przejmie nawet prawica, o liberalach nie mówiąc, bo jest jednoznacznie potępiany, a jednocześnie w perspektywie kibiców jest radykalnym antykomunistą, a więc bohaterem. Łączy więc dwa elementy: antysystemowość i sprzeciw wobec komunistów.

Ale dlaczego ten mechanizm nie działa w drugą stronę? Kiedy Polską rządziła skrajna prawica, to kibice nie ujmowali się za gejami czy prawami kobiet. Czyli nie są zawsze antysystemowi.
– Osób homoseksualnych polscy kibice nie będą bronić z powodu obowiązujących na stadionach norm męskości. A one wpisują się w model hegemonicznej hipermęskości, która zakłada, że mężczyzna dostarcza do domu chleb, ma tradycyjną rodzinę, której jest głową, a kobieta opiekuje się dziećmi. W tej wizji inne wzory męskości – w tym homoseksualne – są wykluczane jako te gorsze.
Natomiast jeśli chodzi prawa kobiet, to kibice nie byli przeciwko. Część grup broniła kościołów, ale trzymali transparenty z hasłami o takim mniej więcej przekazie: „szanujemy wasze prawa, ale nie damy ruszyć kościołów”. Mówili więc: kobiety, walczcie o swoje prawa, ale w innych miejscach.

Jeśli więc przywiązanie do wartości jest powierzchowne, to jak to się przekłada na ocenę polityki?
– Pytaliśmy kibiców odpowiedzialnych za antykomunistyczne oprawy o konkretne wartości. Ciekawiło nas, czy według nich antykomunizm ma dzisiaj jakiegokolwiek znaczenie.

I ma?
– Ma. Dla nich współczesny komunizm jest związany z liberalizmem, lewicą, według nich część elity politycznej pochodzi z rodzin resortowych, a ich rodzice byli funkcjonariuszami Służby Bezpieczeństwa czy milicji. Kibice uważają, że postkomunistyczny sposób myślenia jest nadal obecny w polskiej polityce, dlatego sprzeciw wobec mainstreamu politycznego jest postrzegany jako patriotyzm.

A kim jest dzisiaj zwykły kibic? Nie mam na myśli fanatyków.
– Rozmawia pan z kimś takim, ja jestem kibicem. Powiem panu więcej: ostatnio sprawdzałem frekwencję na jednym z meczów i okazało się, że jedną trzecią stanowiły kobiety.

Mówiąc inaczej: kto chodzi dzisiaj na stadiony?
– Wszyscy. 50 procent Polaków interesuje się piłką nożną, a na mecze chodzą profesorem i mechanicy samochodowi, studenci i pracownicy sklepów. Stadiony jest najbardziej równościowymi miejscami w Polsce.

Ludzie, którzy od poniedziałku do piątku pracują w korporacjach, idą w sobotę na stadion z dziećmi. I jak tłumaczą im tę przemoc, którą tam widzą?
– Nie wiem, o czym pan mówi, przecież na polskich stadionach prawie nie ma już przemoc fizycznej. Stadiony są bezpiecznymi miejscami.
Problemem rzeczywiście może być przemoc werbalna, która została znormalizowana i tłumaczona rywalizacją sportową. W dużym uproszczeniu – ojcowie tłumaczą to synom tak: nie lubimy tego drugiego klubu, więc możemy go na stadionie obrażać.
Oprawy, którym zdarza się posługiwać się nieakceptowalnym językiem, też są dla

zwykłego kibica czymś normalnym, jeśli fajerwerki nie są puszczane w stronę publiczności. Są widziane jako element zachęcający do pójścia na mecz. Moi koledzy badacze twierdzą, że atmosfera, którą tworzą kibice fanatycy w Polsce, jest jedną z rzeczy, które przyciągają zwykłych ludzi na stadiony.

Bo są profesjonalne, wyreżyserowane, wymyślone?
– I efektowne. Nigdzie indziej pan tego nie zobaczy. Ludzie wspólnie śpiewają, czują się wspólnotą i mogą poczuć adrenalinę.

Czyli stadiony to nowe kościoły?
– Tak, choć to głównie zasługa piłki nożnej, która łączy różne grupy w podzielonym kraju.

I ten prawicowy fanatyzm, o którym przed chwilą rozmawialiśmy, spływa na zwykłe trybuny? Kibice są bardziej podatni na prawicowe narracje?
– Przebadaliśmy, czy dyskursy narodowe i nacjonalistyczne rezonują na innych kibiców. Porównaliśmy ich poglądy z resztą populacji. I faktycznie, widzimy istotne różnice. Kibice częściej uważają, że za prawdziwego Polaka można uznać tylko kogoś, kto tu się urodził. Że należy oddawać hołd „żołnierzom wyklętym” i bohaterom historycznym. Osoby, które nie uznawały się za kibiców, rzadziej zgadzały się z tymi stwierdzeniami. Widać więc lekkie przesunięcie w prawo wśród osób, które regularnie pojawiają się na stadionach.

Skoro połowa kraju chodzi na mecze, w tym studenci i profesorowie, to nie możemy być zaskoczeni wyników wyborów, skoro prawicowi kandydaci na prezydenta zdobyli łącznie 52 procent wszystkich głosów?
– Ująłbym to inaczej: w momentach zagrożenia i niepewności wartości konserwatywne, sprzyjające porządkowi społecznemu są powszechniejsze.

To jeszcze inaczej: skoro połowa Polaków interesuje się piłką nożną, to jest podatniejsza na prawicowe narracje?
– Wątpię. Jeśli już, to ta grupa jest – używając języka naukowego – bardziej narażona na ekspozycję tych poglądów. Nie jest przecież tak, że ktoś pójdzie na mecz, zobaczy baner z „żołnierzami wyklętymi” i od razu staje się wyborcą prawicowych ugrupowań.
Ale zbadaliśmy, w jaki sposób większa zgoda z hasłami nacjonalistycznym przedstawianymi na stadionach przekłada się na postawy wykluczające wobec różnych mniejszości, między innymi seksualnych. I niestety – przekładają się.

Polskie stadiony są prawicowe, to już wiemy. A czy nie było nigdy pomysłu, żeby weszła tam lewica? Po kompromitacji komunizmu nikt nie chciał się w to bawić?
– Dominacja prawicowych grup kibicowskich jest typowa dla postkomunistycznych krajów. Tak samo jest w Czechach i na Węgrzech. Z tą różnicą, że u nas nie ma ani jednej grupy lewicowej.

Nie licząc AKS Zły.
– To prawda, ale ten warszawski klub nie uczestniczy w świecie kibicowskim.

Mówi się, że w Warszawie liberalowie i lewacy kibicują Polonii.
– Tam były nawet próby przejęcia trybun przez grupy lewicowe, ale ultrasi je przegrali.
Pod koniec lat 90. na stadionie Zagłębia Sosnowca pojawiały się symbole przedstawiające klasę robotniczą, flaga nawiązująca do tradycji lewicowej, ale te próby zostały zastąpione spójnym, prawicowym dyskursem. Tak więc w Polsce nie mamy socjalistycznych grup kibicowskich, a co więcej – legitymizację prawdziwego kibica uzyskuje się tylko, wyznając prawicowe poglądy.

Po 2012 roku i Euro na nowoczesne, atrakcyjne stadiony zaczęły chodzić

tłumy, to już wiemy. Ale dlaczego zostawiano tam prawicę?
– Piłka to nie tylko wielkie stadiony. Orliki są kojarzone z rządami Tuska, ale przecież Mateusz Morawiecki też inwestował w lokalny sport. To w tamtym czasie spółki skarbu państwa zaczęły inwestować w kluby piłkarskie i mam wrażenie, że politykami PiS kierowała przemysłana strategia, a nawet próba budowy kapitału politycznego na stadionach.

Wszyscy prezydenci oprócz Lecha Wałęsy wywodzili się z elit intelektualnych i politycznych. Karol Nawrocki ma inne pochodzenie, jego biografia jest przykładem awansu społecznego

Mówi się nawet, że sport w Europie podlega polonizacji, szczególnie jeśli chodzi o dominację nurtów prawicowych i przemocy.
– To po części prawda. Z jednej strony tożsamości polityczne klubów są mocno ukształtowane i trudno sobie wyobrazić, że Marsylia stanie się nagle prawicowa. Z drugiej, trudno się nie zgodzić, że bijatki między fanatykami są polskim produktem eksportowym. W zeszłym roku w naszej analizie odnotowaliśmy obecność ustawek w ponad 20 krajach w całej Europie. W tym roku zdarzyła się pierwsza w Portugalii, gdzie do tej pory nie istniały zorganizowane grupy chuliganów, a jedynie grupy ultras.
Mówi się, że do pierwszej bójki między kibicami doszło w moskiewskim metrze w 1995 roku, ale nie można jej podciągnąć pod ustawkę, ponieważ to było wydarzenie spontaniczne. A o ustawce można mówić wtedy, gdy po dwóch stronach jest taka sama liczba kibiców, są w podobnym wieku i wcześniej zgadzają się na zasady.
Mówiło się też o bardzo dużej bitwie w Holandii w 1997 roku, ale tam nie było żadnych zasad. I dopiero w 1998 roku doszło do pierwszej ustawki pomiędzy kibicami Arki Gdynia i Lechią Gdańsk.

A dlaczego fanatycy to robią?
– Tłumaczą to poszukiwaniem adrenaliny, a naukowcy mówią o kompetetywnej przemocy.

Inaczej – rywalizacyjnej?
– Tak. Generalnie zadaniem kibica fanatyka jest rywalizowanie z kibicami przeciwnej drużyny, która objawia się wyjazdami, oprawami, dopingiem, ale też fizyczną konfrontacją. Grupy kibiców walczą tym samym o prestiż. Przy czym już nie robią tego, jak w latach 90., kiedy wybijano szyby w centrach miast, tylko spotykają się gdzieś na polu i się biją. Wygrywa ten, kto pokona ostatnią osobę na polu walki.

Jak są widziani fanatycy przez zwykłych kibiców?
– Zadano takie pytanie w Anglii. Odpowiedzi były zaskakujące: zwykli kibice kibicują chuliganom, ponieważ chuligani są postrzegani jako przedstawiciel klubu w innej rywalizacji niż piłkarska. W oczach wielu kibiców chuligani walczą o prestiż drużyny.

Obruszył się pan, że nasza redakcja nazywa fanatyków kibolami. To określenie ich obraża?
– Już nie. To świetny przykład przejętej etykiety.

Tak jak osoby homoseksualne przejęły język ich wrogów i mówią o sobie „peda-

ły”? A czarny Amerykanin może rzucić do drugiego „czarnuchu”?
– Dokładnie tak. Etykiety są przechwytywane, żeby przejąć negatywny ładunek emocjonalny, a następnie pokazać drugiej stronie, że nie jest w stanie nas obrazić.

W latach 90. i na początku tego wieku mówiło się, że grupy kibicowskie były związane z przestępczością zorganizowaną. Dzisiaj też tak jest?
– Nic się nie zmieniło. Grupy chuligańskie – nie wszystkie, rzecz jasna – są powiązane z szarą strefą. Od 2012 roku policja rozbila wiele tego typu grup zbudowane na ruchach kibicowskich. Na przykład w Ruchu Chorzów było tak, że socjalizacja do grupy kibicowskiej od najmłodszych lat nie opierała się tylko na treningach i obecności na stadionach, ale też na drobnych przestępstwach.
Te dwie tożsamości – kibicowska i przestępcza – łatwo się ze sobą splatają, bo grupy chuligańskie oferują dwie bardzo ważne rzeczy. Po pierwsze kapitał społeczny, czyli siatkę ludzi, a po drugie – solidarność. Kibice nie rozmawiają z policjantami czy prokuratorami, dlatego łatwiej się zorganizować grupę przestępczą w tej sferze.

Mówi się też o stręczycielstwie, narkotykach. Przecież byłe otoczenie Nawrockiego – z którym nie zerwał tak zupełnie kontaktów – było zamieszane w te przestępstwa. I naprawdę to wszystko nie oburza normalnych kibiców?
– Z naszych badań wynika, że wykorzystywanie czy czasami wręcz wymuszanie przez chuliganów solidarności kibicowskiej do zarabiania pieniędzy w mniej lub bardziej legalny sposób powoduje niezadowolenie wśród innych fanatyków.

To wszystko, o czym pan mówi, układa się w taki obraz: na stadiony chodzi masa normalnych ludzi, przedstawiciele klasy średniej, która jest wystawiona na prawicową narrację. Część z tych konkretnych postulatów przyjmuje się, a część nie, ale wraz z kibicami ze stadionów do domów i na ulice wychodzi pewna wizja wspólnoty narodowej, która opiera się na nacjonalizmie i patriarchacie.
– W literaturze naukowej wyróżnia się różnych aktorów odpowiadających za formułowanie opowieści wspólnotowych. Państwo jest aktorem najsilniejszym, jednak w Polsce lata temu stało się areną walki dwóch dominujących narracji o Polsce, rzecz jasna związanych z PiS i PO/KO. A kibice proponują opowieść antysystemową.

Karol Nawrocki brał udział w ustawkach. To mu pomogło?
– Do tej pory dominująca narracja brzmiała mniej więcej tak: w ustawkach biją się chuligani czy, jak pan woli, kibole, są nielegalne i społecznie oceniane jako naganne. Ale w czasie kampanii wyborczej sporo osób przestało je postrzegać w negatywny sposób, a nawet zaczęło je oceniać jako coś nieszkodliwego. A przecież ustawki zwyczajnie podlegają po paragrafy, policja stara się wyłapywać ich uczestników. To kolejny z przykładów, jak działa polaryzacja polityczna.

I znówu: w ciągu ostatniej dekady, od Euro 2012 roku, masa młodych ludzi wychowała się na stadionach. Im te ustawki imponują?
– Trudno powiedzieć. Nie mamy badań na ten temat.

Lechia Gdańsk, z którą utożsamia się Nawrocki, wyróżnia się czymś na tle innych grup kibicowskich?
– Silną postawą antykomunistyczną. Co roku przy okazji rocznicy wprowadzenia stanu wojennego kibice Lechii Gdańsk wykonują imponującą oprawę na stadionie z postaciami komunistycznymi. Na przykład w 2011 roku oprawa pokazywała przemówienie generała Jaruzelskiego z perspektywy odbiornika telewizyjnego z hasłem: „Zamiast teleranka były mordy i łapanka”.

W 2018 roku widzieliśmy orla atakującego wronę z hasłem: „WRON-a Orla nie pokona”. Odnosili się do Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, czyli czegoś zbliżonego do junty, zmilitaryzowanego organu zastępującego rząd w stanie wojennym.

A czy nie jest tak, że ta kultura kibolska z jej estetyką wylała się poza stadiony, przeniknęła do tak zwanej odzieży patriotycznej i dzisiaj widzimy ją i na masowym Marszu Niepodległości, i na eleganckich „silkach”, które stały się w ostatniej dekadzie bardzo popularne? Czy „prawilność”, specyficzna lojalność, pewien rodzaj męskości działa na młodych mężczyzn, również z klasy średniej?

– Trudno powiedzieć. Nie mamy badań na ten temat. Starsi kibice, wychowani w latach 90. i pierwszych latach XXI wieku raczej narzekają na mniejsze zainteresowanie młodych ludzi życiem kibicowskim. Ale to ich subiektywne opinie.

Nawrocki jako kibic i fanatyk stał się również symbolem awansu klasowego: jest zwykłym polskim chłopakiem, który w młodości miał problemy, błędził, ale wyszedł na prostą, skończył studia, założył rodzinę, znalazł pracę w poważnej instytucji publicznej. Osiągnął sukces, o jakim marzy i jaki również osiąga mnóstwo Polaków z gorszych dzielnic, z mniejszych miast, ze wsi. Czy taka opowieść o nowym prezydencie, wzmocniona przez wątki kibicowskie, jest uprawniona?

– Być może. Proszę zwrócić uwagę, że wszyscy prezydenci oprócz Lecha Wałęsa wywodzili się z elit intelektualnych i politycznych. Karol Nawrocki ma inne pochodzenie, jego

Nie jest tak, że ktoś pójdzie na mecz, zobaczy baner z żołnierzami wyklętymi i od razu staje się wyborcą prawicowych ugrupowań. Ale zbadaliśmy, w jaki sposób hasła na stadionach przekładają się na postawy wykluczające wobec mniejszości seksualnych. I niestety – przekładają się

biografia jest faktycznie przykładem awansu społecznego.

Szczególnie że największym problemem w osiągnięciu awansu klasowego w Polsce jest przypisanie do klas niższych pewnego rodzaju kultury, która wiąże się z ograniczoną wiedzą o możliwościach w życiu. Mówiąc inaczej: zwykli ludzie często nie wiedzą, że mogą pojechać do większego miasta na studia, znaleźć tam pracę i żyć inaczej niż ich znajomi i rodzina.

My w socjologii nazywamy to kapitałem kulturowym: ludzie mieszkający w małych miejscowościach, ale też na przykład pracownicy specjalnych stref ekonomicznych czy niewykształceni pracownicy usług oczywiście nie wiedzą, jak przeskoczyć do klasy średniej.

Ale w sumie, dlaczego tego nie widzą, skoro popkultura oferuje mnóstwo przykładów takiego awansu?

– Ponieważ kultura klasowa i związany z nią habitus sprawiają, że pewne drogi życiowe, mimo że widoczne w kulturze popularnej, są odbierane jako coś, co „nie jest dla mnie”, a inne jako naturalne.

A teraz sam zaprzeczę tej tezie o Karolu Nawrockim jako wzorcowym produkcie transformacji i przykładzie awansu społecznego: jednak osoba obciążona tak dużą liczbą afer nie powinna cieszyć się tak dużym zaufaniem społecznym. Stało się inaczej.

– Ponieważ w społeczeństwie dominuje myślenie w kategoriach: my i oni.

No dobrze, a czy kibice mają jakiś szerszy cel? Ideowy, polityczny?

– Nie, kibicowanie swojej drużynie jest stylem życia i przynależnością do grupy. I ma charakter przygodny: trzeba trafić na odpowiednich ludzi, którzy zarażą nas fascynacją sportem.

Kibice cieszą się z wyniku wyborów?

– Na stadionach królowały hasła: „każdy, byle nie Trzaskowski”.

A dlaczego kibice nie cenią prezydenta Warszawy?

– Ponieważ robił problemy Marszowi Niepodległości, więc jest postrzegany jako antypatriota. Poza tym kibice pamiętają mu dopisanie Karty LGBT. W tamtym czasie kibice w całej Polsce zorganizowali akcje protestacyjne.

To rzecz jasna wynika z form męskości, o których rozmawialiśmy wcześniej, ale też

z przeświadczenia, że osoby homoseksualne w optyce kibiców nie mogą być patriotami, bo kultura LGBT jest postrzegane jako produkt zachodni. Ale takie poglądy mają pojedyncze osoby, oczywiście są wpływowe, ale nie powiedziałbym, że wszyscy kibice są homofobami.

Skoro kibice fanatycy vel kibole stali się kimś normalnym, choć jeszcze 20 lat temu byli kojarzeni z przemocą i chuligaństwem, to znaczy, że społeczeństwo się zmienia?

– Społeczeństwo się zmienia. Ale kibice pozostają antysystemowi. W bardziej „cywilizowanym” społeczeństwie antysystemowość potrzebuje jednak mniej radykalnych form manifestacji. ●



Dr hab. Mateusz Grodecki

• socjolog, profesor Akademii Pedagogiki Specjalnej. Autor licznych polsko- i angielskich prac naukowych o ruchu kibicowskim i ultrasach, stadionowej przemocy, związkach futbolu z nacjonalizmem oraz książki „Życie po meczu. Formy wykorzystania kapitału społecznego kibiców piłkarskich w Polsce”.

Polska zmienia Europę

„Polonizację” widać na stadionach od Norwegii po Czechy

Kacper Szulecki

Kibolskie powiązania, klubowe tatuaże i udział w chuligańskich ustawkach zdają się wcale nie przeszkadzać wyborcom Karola Nawrockiego. Przeciwnie, nadały mu autentyczności „chłopaka z bloków”. Jak to się stało, że „kultura stadionowa” weszła na salony?

Czy strona liberalna przepała cały ten proces i nikt nie podjął prób okiełznania tego, co kiedyś było marginalną subkulturą, a dziś zdaje się częścią społecznego i politycznego mainstreamu?

Owszem, były takie próby. W latach 2007-10 rząd Donalda Tuska z ministrem spraw wewnętrznych Grzegorzem Schetyną wziął się do sprawy dość ostro. Obaj panowie wychowali się na stadionach, więc rozumieli coś, czego może nie rozumieją osoby, które nie miały kontaktu z tym środowiskiem: że polska „kultura stadionowa” jest przykrywką dla knajackich i bandyckich klimatów, a od dłuższego czasu także ogromnych pieniędzy ze zorganizowanej przestępczości i handlu narkotykami.

W tamtym czasie rząd zdawał się rozumieć, że rozwiązaniem jest potraktowanie grup kibicowskich jak mafii lat 90. i w tym starciu państwo albo postawi na swoim, albo przegra. Niestety, znalazło się wtedy wielu bagatelizujących problem komentatorów, także po stronie liberalnej, którzy

z ostrego kursu wobec środowisk kibolskich zrobili sprawę naruszania praw człowieka.

W słynnej akcji „Widelec” z 2008 r. zrobiono z policji posmiewisko, a z chuliganów kielkujące media prawicowe uczyniły męczenników, zupełnie tracąc z oczu sedno sprawy. Przypominajmy: policja zatrzymała wtedy setki kiboli Legii idących na mecz derbowy z Polonią w większości bez biletów, z zamiarem szturmowania stadionu, tak samo jak miało to miejsce dwa lata wcześniej. Zamiast tego skupiono się na znalezionym w plecaku jednego z nich widelcu.

Historycznie patrząc na ostatnie 20 lat i odpowiadając, jak znaleźliśmy się w tym miejscu: tu się spłotyły cztery mechanizmy.

1 Rok 2010 i Smoleńsk były przełomowe. Przed 2010 możliwy wciąż był pluralizm polityczny trybun, bo w ogóle możliwy był pluralizm. Po 2010 wszystko bardzo szybko stało się czarno-białe, sprawy niepolityczne się upolityczniły.

Bezideowi dresiarze wskoczyli w koszulki z husarią i Łupaszka.

Wobec niemocy rządu PO i szamotania się z kibolami („Donald, matole...”) PiS wszedł w rolę ich obrońcy, a z patologicznego środowiska chuliganów uczynił rycerzy Polskiej Sprawy. Ale to nie był proces, który wyszedł ze stadionów, to ogólnopolska zmiana kultury politycznej, która po prostu na stadionach znalazła odbicie, a kiboli przesunęła na jedną stronę politycznej barykady.

2 Jak już wspomniałem, na to nałożyła się ogromna zmiana wewnątrz ruchu kibicowskiego, to znaczy jego wchłonięcie przez zorganizowaną przestępczość. Szalikowcy lat 90. również byli na bakier z prawem, ale byli raczej słabo zorganizowaną niszą.

Nabójki chuligańskie są dziś blisko związane z działalnością kryminalną. Policja co rusz rozbiła poszczególne grupy – a to związane z handlem narkotykami, a to z przemytem ludzi – ale w ich miejsce pojawiają się nowe.

Skalę zmiany „kulturowej” najlepiej widać w przetasowaniach w przyjaźniach, zgodach i układach kibicowskich, które kiedyś wynikały z różnych osobistych przyjaźni i antypatii, z historii i ideologii, a dziś są w dużej mierze sposobem dzielenia terytorium.

Nie można powiedzieć, że policja nie próbuje zwalczać kibolskich gangów, widać na nich ogromną presję, szeroką infiltrację, ale uderzający jest brak pomysłu na rozwiązania systemowe i chyba brak wiary w to, że w ogóle z przestępczością na stadionach da się wygrać.

3 Powszechny w Polsce wzrost fascynacji sportem i walki i przyzwolenie na przemoc. Emigrantom takim jak ja trudno jest czasem poznać własny kraj i rodaków, a także zrozumieć, czemu piłkarze, pisarze, muzycy albo influencerzy, jeśli nie załapią się do „Tańca z gwiazdami”, idą jak w dym do walk w oktagonie i nikogo to nie dziwi ani nikomu nie przeszkadza.

Ten trend nie oszczędził nawet środowisk lewicowych, bo przecież do mordobicia na ringu włączyli się i Maja Staśko, i Jaś Kapela.

W takim klimacie chuliganka stadionowa przeszła z patologicznego marginesu do mainstreamu i faktycznie nikogo nie powinno dziwić, że nowy prezydent RP brał udział w ustawce 70 x 70, a ustępująca głowa państwa bagatelizowała sprawę, porównując udział w nielegalnych bójkach do „niedźwiadków” czy „małych tygrysów”, które „lubią się poszarpać”.

Tu jednak znów pojawia się pytanie, czy to „kultura stadionowa” rozlała się na kraj, czy jednak coś głębszego zadziało się w społeczeństwie, a chuliganka znowu na tym skorzystała?

4 I wreszcie: efekt Euro 2012. Pomysł Tuska i Schetyny był taki, żeby oczyścić stadiony przed Euro. Nie udało się, ale nagle zaczęły jak grzyby po deszczu powstawać supernowoczesne stadiony, dając grupom kibicowskim wspaniałe, estetyczne tło i przyciągając coraz więcej ludzi.

Ostatnie sezony ekstraklasy i pierwszej ligi są rekordowe, jeśli chodzi o frekwencję. Coś, co było marginalną subkulturą, z którą kontakt mieli nieliczni – kto w ogóle chodził na mecze w latach 90.? – dziś jest masową rozrywką dla setek tysięcy ludzi w każdym weekend.

Polska piłka z zapyziałego zaścianka stała się – nie piłkarsko, ale kibicowsko właśnie – częścią europejskiej czołówki, co tylko utwierdza środowiska kibolskie

w ich racji i wielkości oraz przyciąga do nich więcej narybku.

Obecni 20-, 25-latkowie nie znają innych realiów, wychowali się na pięknych stadionach, wśród jednoznacznie „prawilnie” zradikalizowanych i dysponujących ogromnymi środkami, dobrze zorganizowanych grup.

Według założeń tak zwane pikniki albo piłkarscy „normalsi” mieli wyprzeć kiboli ze stadionu, a wygląda na to, że się im całkowicie podporządkowują, podobnie jak kluby siedzące jak mysz pod miotłą.

Jakby tego było mało, to nie polska scena kibicowska zmienia się w stronę wzorców np. niemieckich i szwedzkich, charakteryzujących się większym pluralizmem trybun i jasnym oddzieleniem chuliganów od ultrasów i pikników: to raczej Polska zmienia Europę.

„Polonizacja” widoczna jest w wielu krajach, od Norwegii po Czechy, gdzie pojawiają się profesjonalne nabójki umawiające się na ustawki po lasach.

Oczekiwanie, że w takim klimacie społeczno-politycznym przeszłość Nawrockiego będzie mu szkodzić, było naiwne. Pewne jest za to, że z prezydentem dumnym ze swoich chuligańskich znajomości o rozmontowanie bandyckich struktur, które panują w polskiej piłce, będzie jeszcze trudniej. ●

• **Kacper Szulecki** – politolog i socjolog, profesor w Norweskim Instytucie Spraw Zagranicznych i na Uniwersytecie w Oslo. Stadiony, polskie i inne, odwiedza regularnie od ćwierć wieku.

Dominika Wielowieyska

Sikorski by wygrał”, „zawiodła frekwencja”, „sztab Trzaskowskiego nie korzystał z rad ekspertów”, „przegrali, bo nie uchwalili liberalizacji aborcji i związków partnerskich”, „nie zadbali o służbę zdrowia” – wszystkie te konkluzje formułowane po ogłoszeniu wyników wyborczych albo mają ograniczony związek z rzeczywistością, albo mają znaczenie, lecz nie fundamentalne. Są raczej wyrazem emocji osób, które je wypowiadają.

Ale są i inne konkluzje, bardziej istotne: powodem przegranej prezydenta Warszawy i wiceprzewodniczącego Platformy Obywatelskiej są niskie notowania rządu, niezadowolenie części Polaków ze swojej kondycji finansowej oraz fakt, że polscy wyborcy są w większości raczej konserwatywni niż progresywni.

Zresztą w różnych grupach wiekowych zagrały różne emocje, na przykład wśród najmłodszych wyborców popularna była teza, że lepiej, aby Pałac Prezydencki nie był pod nadzorem ekipy rządzącej, aby żadna partia nie miała tak pełnej władzy. Młodzi są w dużej części antysystemowi, głosują przeciwko elitom i władzy. Dlatego i w badaniach wewnętrznych Lewicy, i PiS widać było na pierwszy rzut oka przepływy między elektoratami Adriana Zandberga i Sławomira Mentzena. Sztabowi Karola Nawrockiego włosy stawały dęba, gdy w badaniach wychodziło, że niektórzy obecni wyborcy Mentzena to uczestnicy Czarnych Marszów organizowanych po zaostrzeniu ustawy antyaborcyjnej w 2020 roku, u szczytu rządów PiS.

Tu zagrał czynnik wolnościowy, czynnik buntu przeciwko władzy. Wielu głosowało na kandydata Konfederacji nie ze względu na jego poglądy w sprawie aborcji czy praw osób LGBT+, ale pomimo to.

Ale główny, a na pewno bezpośredni powód, dla którego Rafał Trzaskowski przegrał wybory prezydenckie, a tym samym przegrała – jeszcze nie wiemy co, ale na pewno wiele – cała Koalicja 15 Października, jest inny. Taki, że 1,3 miliona jej wyborców w 2023 roku albo zostało w domu, albo – uwaga! – przerzuciło głosy na Karola Nawrockiego. Ale jaka była tego przyczyna? Na to pytanie nie jest łatwo odpowiedzieć.

PSL już zabrał się za badanie nastrojów w tej grupie, ponieważ słusznie doszedł do wniosku, że są to głównie dawni wyborcy Trzeciej Drogi. Wyborcy Lewicy stawili się przy urnach i przyniatająca większość z nich – jak wynika z badań exit poll IPSOS-u, robionych w dniu głosowania – poparła w drugiej turze Trzaskowskiego. Na Lewicę w 2023 roku zagłosowało około 1,8 mln wyborców. Tyle mniej więcej głosów zebrali do spółki Adrian Zandberg, Magdalena Biejat i Joanna Senyszyn. Ci ludzie poszli wesprzeć prezydenta Warszawy. Wśród „podejrzanych” pozostaje więc elektorat Trzeciej Drogi. A o tym, że to właśnie ci wyborcy odpłynęli, świadczy bardzo słaby wynik Szymona Hołowni. Te 14 procent z 2023 roku zamieniło się 1 czerwca w 5 procent głosów.

Ludowcom wychodzi z badań, że pierwszym czynnikiem w tej grupie jest niezadowolenie z własnej sytuacji materialnej i generalnie z rządu. Poza tym elektorat Trzeciej Drogi w pewnej części nie przepada za Donaldem Tuskiem, nie jest wielkim fanem mocno progresywnej opowieści i sytuuje się nieznacznie na prawo od centrum. W 2023 roku jednocześnie chciał odsunąć PiS od władzy i nie chciał koalicji PiS-Konfederacja – dlatego Trzecia Droga była dla tej grupy optymalnym wyjściem. Teraz miała do wyboru Trzaskowskiego, którego PiS konsekwentnie sklejał z Tuskiem, bo tak mu podpowiadały badania, oraz Karola Nawrockiego, człowieka, który – choć jest kandydatem PiS – nie brał bezpośredniego udziału w rządach tej partii przed 2024 rokiem.

Dlaczego Trzaskowski przegrał i co dalej

PREZYDENT ELEKT CHCE ODWETU

Wybory parlamentarne 2027 są do wygrania.



• Warszawa, Plac Krasińskich. Młodzi na wiecu wyborczym kandydata Konfederacji Sławomira Mentzena (10.05.2025)

PiS od początku obstawiał w wyborach prezydenckich elektorat Konfederacji, pod tym kątem wybierał kandydata i profilował jego kampanię. Dziś sztab poczytuje sobie za sukces, że ponad milion wyborców koalicji rządzącej zostało zdemobilizowanych, uważa, że gdyby Jarosław Kaczyński wystawił Mateusza Morawieckiego bądź Przemysława Czarnka, to taka opcja wyciągnęłaby tych ludzi z domów.

Nawrocki z rządem nie miał nic wspólnego, za to miał odpowiedni życiorys, pozwalający wykreować go na człowieka, który pochodzi z nizin społecznych i sam doszedł do wszystkiego, zdobył wykształcenie, zrobił doktorat. Tak, stał na bramce jako ochroniarz, żeby dorobić na studiach, ma kolegów wśród kiboli, trochę wstyd, ale chwali mu się, że się ich nie wyparł, w sumie to jest swojak, blockers, który nie miał tak łatwego startu jak „panicz” i „bązur” Trzaskowski. A jednak wyszedł na ludzi.

Taki Nawrocki to opowieść sformatowana pod kątem oczekiwań i emocji młodych, i nie tylko młodych, mężczyzn, przede wszystkim z mniejszych miejscowości. To oni stanowią trzon elektoratu Konfederacji. Trzaskowski był przedstawicielem elit i politykiem partii rządzącej. Taki kandydat nie mógł się podobać antysystemowej młodzieży.

Zaraz po wyborach prezydenckich w Trzeciej Drodze pojawiły się dwa mocne głosy, ostro krytykujące Koalicję Obywatelską: wicemarszałka Senatu Michała Kamińskiego oraz wiceministry edukacji Joanny Muchy. Te wypowiedzi oczywiście spotkały z oczywistą reakcją: skoro jesteście tak mądrzy i wiedzieliście, jak pozyskać wyborców, to dlaczego wasz kandydat Szymon Hołownia zjechał z 14 procent do 5? Może pokusicie się o analizę przyczyn tej miażdżącej porażki, zamiast wrzucać kamyczki wyłącznie do cudzego ogródka?

Wicemarszałek może odparować, że wieszczył klęskę Trzaskowskiego w nieoficjalnych rozmowach z dziennikarzami na długo przed pierwszą turą wyborów. Jednak jego koncepcja wcześniej sprowadzała się do tego, że wspólnym kandydatem Koalicji 15 Października powinien być Radosław Sikorski. A bardzo trudno dowiedzieć, że akurat szef MSZ pokonałby Nawrockiego.

Wątpliwości w tej kwestii są dwie: czy aby na pewno cały elektorat Lewicy zagłosowałby na niego w drugiej turze. I czy jednak Sikorski nie jest zbyt związany z rządem, który ma bardzo złe notowania. Co więcej, szef MSZ, choć też wyszedł ze zwykłego bydgoskiego osiedla, to jednak od dekad także człowiek elit.

Badania, które Koalicja Obywatelska zrobiła przed ogłoszeniem kandydata, wskazywały, że Trzaskowski ma większe szanse. I tym kierowali się członkowie KO w prawyborach. Ale czy dobrze wybrali?

Joanna Mucha w swojej opinii zamieszczonej na jednej z platform społecznościowych chwali PiS, który najpierw opracował strategię dostosowaną do warunków i nastrojów społecznych, a potem dobrał do niej kandydata. Pomińmy tę część wpisu Muchy, gdzie rozwija wątek przekonania KO o „własnej samozajebistości”. Skupmy się na szczegółowej krytyce.

„PiS zrobił casting na kandydata, który będzie wypełniał założenia strategii. W Platformie żaden casting nigdy nie był potrzebny. Wybory między Trzaskowskim a Sikorskim były pozorne i zorganizowane wyłącznie po to, żeby nie można było powiedzieć, że Trzaskowski jest kandydatem Tuska. Platforma mówi: »dajemy ci kandydata i masz na niego głosować«. O co Ci chodzi? Że liberal? Że poglądy liberalne podziela co najwyżej jedna trzecia społeczeństwa? Że żaden prezydent Polski nie był nigdy liberałem? Że scena polityczna przesunęła się w prawo? Że już raz przegrał wybory, a teraz ciągnie jeszcze na sobie niezadowo-

lenie z rządu? Platformie to nie przeszkadza. Platforma da Wam kandydata niewybieralnego i będzie się dziwiła, że go nie wybraliście”.

Mucha konkluduje, że lubi Trzaskowskiego i byłby on dobrym prezydentem Polski, ale ma jeden feler: jest złym kandydatem na prezydenta.

Polityczka PL2050 pisze dalej: „PiS wziął do sztabu ludzi, którzy WYGRYWALI wybory. Szczerze, gdyby w sztabie PiSu byli tacy »specje« od kampanii jak ci z Platformy – Nawrocki nie byłby nawet trzeci. Platforma wzięła do sztabu tych, co zawsze. Ludzi, którzy PRZEGRALI WSZYSTKIE KAMPANIE, które robili, również tę w 2023 roku. W 2023 roku Platforma PRZEGRZAŁA z PiS. Ostatni raz wygrała duże wybory w 2011 roku. To półtorej dekady. Od tego czasu Platforma robi cały czas to samo i tak samo i oczekuje innego rezultatu. I robi to samo i tak samo przy ogromnym aplauzie mainstreamowych mediów. Może warto to prze-myśleć?

PiS robi skrupulatne badania i na ich podstawie profiluje kandydata, na ich podstawie decyduje o tematach, o słowach, o kierunkach ataku. Platforma zamawia badania, płaci za nie grube pieniądze, a potem jeden członek sztabu z drugim członkiem sztabu siadają i mówią, »eeee, nie wydaje mi się, MI SIĘ WYDAJE, że jest inaczej«! Wiedziałam to, słyszałam to, nie raz, nie dwa razy. Nie można ich przekonać, bo to co im się wydaje, jest najważniejsze. NIE WIEDZĄ, ŻE NIE WIEDZĄ i pozostają w radości własnej ignorancji”.

Mucha uważa, że KO nie wychodzi ze swojej bańki. Ta konkluzja nie do końca jest prawdziwa. Tusk konsekwentnie starał się od dawna wychodzić poza własną bańkę: krytykował Zielony Ład i unijny pakt migracyjny, mówił o zatrzymaniu fali migrantów, stawał w obronie rolników przerażonych napływem ukraińskiego zboża, zapewniał, że polskie firmy powinny mieć specjalne preferencje i reklamował hasło „repolonizacji gospodarki”. A Trzaskowski rzucił konfederackie hasło ograniczenia 800+ dla rodzin ukraińskich.

I ostatni fragment analizy Muchy: „PiS potrafi ukryć Kaczyńskiego, Morawieckiego, nie eksponować ich, nie mobilizować najtwardszego elektoratu przeciwników. W kampanii Platformy w kluczowym momencie komunikację przejmuje Pan Premier Donald Tusk! Ktoś to w końcu musi powiedzieć: Panie Premierze, oni przez osiem lat swoich rządów SKUTECZNIE nadali Panu zły wizerunek. Nie zmienił Pan tego. Czy naprawdę badania zaufania społecznego nic dla Pana nie znaczą?”.

Tutaj jedna poprawka: Kaczyński jakoś specjalnie się nie chował, przeciwnie, musiał być obecny, bo przez dłuższy czas nie wszyscy wyborcy PiS się zorientowali, że Nawrocki to kandydat prezesa. I dlatego szerzej nieznany szef IPN miał przez dłuższy czas niższe notowania w sondażach niż sam PiS. To się zmieniło, gdy do elektoratu dotarło, kogo popiera Nowogrodzka. I dopiero wtedy Kaczyński wycofał się na tyły. Natomiast Morawiecki faktycznie był chowany – ze względu na wyborców Konfederacji. Nawet odbyła się jedna awanturka, której efektem był zakaz chodzenia byłego premiera do mediów.

Tusk też musiał wkroczyć. W końcówce kampanii KO uznała, że pół miliona jej wyborców nie poszło głosować w pierwszej turze, słaba jest frekwencja w zachodnich województwach i ktoś musi tych ludzi zmobilizować. Kto jak nie premier?

Ale o ile przemówienie Tuska na wielkim marszu Trzaskowskiego w niedzielę między turami było bardzo dobre, o tyle jego dwa ostatnie wywiady w TVN24 i w Polsacie były porażką. Premier sprawiał wrażenie człowieka pogubionego i zdesperowanego, co zresztą nie dziwi, bo już wtedy wewnętrzne sondaże sztabu KO pokazywały, że Nawrocki wygrywa niewielką większością głosów. Ale pocieszano się, że sondaże nie uwzględniają głosów z zagranicy. Tam Trzaskowski



Prezes z Nawrockim przeszedł na „ty”, czują duchową wspólnotę, dobrze się obaj dogadują

wygrywał i była nadzieja na sporą mobilizację, bo chęć głosowania zadeklarowało aż 700 tysięcy obywateli.

Niemniej badania KO zakładały, że bez mobilizacji elektoratu partii rządzących z 2023 roku nie ma szans na zwycięstwo i że prezydent Warszawy wygrywa dopiero przy frekwencji 74 procent. Gdy więc politycy 1 czerwca o godzinie 21 zobaczyli, że frekwencja oscyluje wokół 72 procent, to wiedzieli, że porażka jest bardzo prawdopodobna. Mimo to Trzaskowski ogłosił zwycięstwo przy udawanym entuzjazmie swoich zwolenników, choć wystarczyło spojrzeć na minę Romana Giertycha stojącego w tłumie. I na minę Tuska, który klaskał, ale się nie cieszył.

Stwierdzenie, że po fakcie wszyscy są mądrzy, może brzmieć zbywająco. Ale jest uzasadnione, bo przecież w chwili, gdy Trzaskowski dostawał nominację KO, miał dobre sondaże.

Czy coś mogło zwiastować katastrofę? Tak, złe notowania samego rządu, które kształtowały się na poziomie najgorszych momentów gabinetu Morawieckiego. Uznano jednak, że źródła tych nastrojów są bardzo różne i ostatecznie wyborcy z 2023 roku dadzą Trzaskowskiemu mandat.

Z dzisiejszej perspektywy można stwierdzić, że ratunkiem dla rządzących mógł być manewr podobny do tego, jaki dwukrotnie wykonał Jarosław Kaczyński: w 2015 roku i dziesięć lat później. A mianowicie wciągnął kogoś z dalszego szeregu i ulepił go na nowo, a sztab kandydata precyzyjnie działał zgodnie z wnioskami z badań. Gdyby KO znalazła kandydata spoza pierwszego rządu, niekojarzącego się bezpośrednio z rządem, pokazującego dystans do Koalicji 15 Października i samego Tuska, człowieka centrum, strawnego i dla Lewicy i dla centro-prawicy, szanse na wygraną byłyby większe. Przed wyborami Hołownia podsuwał Tuskowi swoją kandydaturę, twierdząc, że w drugiej turze miałby większe szanse. Jednak taka teza była prawdopodobna pięć lat temu, teraz marszałek Sejmu stracił swoją świeżość. Potrzebny był ktoś zupełnie nowy. Ale wariant à la Duda i à la Nawrocki był niemożliwy. Dlaczego?

Bo Tusk nie jest dyktatorem partyjnym tak jak Kaczyński. Gdy kilka lat temu wracał do polskiej polityki z Brukseli, pojawiło się mocne napięcie między nim a Trzaskowskim, który szykował się na różne scenariusze, w tym na powołanie zupełnie no-

wej formacji na gruzach słabnącej wówczas Platformy Obywatelskiej. Na dodatek wtedy za Trzaskowskim chodził Hołownia i mówił: „Rafał porzućmy starych liderów, zbudujmy razem coś zupełnie nowego, co odsunie w niebyt tandem Tusk-Kaczyński”. Tusk wiedział, że prezydent Warszawy stoi przed takim dylematem. Przekonał go, że trzeba ratować Platformę wspólnie, że podzielić rolę: jeden będzie liderem partii, drugi będzie szykował się do wyborów prezydenckich. Trzaskowski na to przystał i zapanował pokój, który przyniósł umiarkowany sukces w 2023 roku. Umiarkowany, bo bez sukcesu Trzeciej Drogi i dobrego wyniku Lewicy Tusk by nie rządził.

Gdyby teraz premier powiedział Trzaskowskiemu: „Stary, sorry, ale warunki się zmieniły, nie możesz startować, bo ryzykujemy zbyt wiele”, to oznaczałoby to bunt w partii. Prezydent Warszawy zgromadził wokół siebie mocną ekipę, która uznałaby to za złamanie zawartej umowy, wręcz za zdradę. Prowadzenie kampanii w takich warunkach byłoby skrajnie trudne. Tu jak w tragedii greckiej, każdy scenariusz prowadził do katastrofy.

Postawiono więc na wariant pośredni. Trzaskowski zmienia agendę, mniej mówi o aborcji czy prawach osób LGBT+. Ma być kandydatem centrowym, a nie liberalno-lewicowym. Odkłada na bok ataki na Kościół, przejmuje część agendy prawicowej w różnych sprawach. Początkowo wydawało się, że to działa. Jednak prezydent Warszawy nie był w stanie na trwałe odejść od swojej wcześniejszej opowieści. A PiS robił wszystko, by tak się nie stało. Tymczasem polskie społeczeństwo jest w dużej mierze konserwatywne, progresywne idee, poprawność polityczna czy lewicowa ofensywa kulturalna budzą w nim lęk. No i te wspomniane wcześniej emocje antysystemowe młodzieży.

Czy mógł jednak wygrać mimo tych nastrojów i mimo trudnych warunków? Można jedynie wskazać, że znów różnica między kandydatami wyniosła poniżej 400 tysięcy głosów. Zdobycie dodatkowych 200 tysięcy było w zasięgu ręki.

Na pewno mocną stroną Trzaskowskiego nie były debaty. Nie pomogło włączenie się w kampanię Tuska. Sztab i sam kandydat nie wykorzystali dostatecznie platform społecznościowych, z których informacje czerpią młodzi ludzie. Trzaskowski nie potrafił, tak jak Mentzen, wykrywać wielkich

zasięgów krótkimi filmikami, w których osobiście tłumaczyłby rozmaite sprawy prostym językiem. Więc zamiast tego Facebook, TikTok i inne platformy były zalane przekazem, że Trzaskowski zbudował toaletę za 600 tysięcy i wydał krocie na dziwaczne jajo w centrum miasta. A ze sztabu KO nie było na to odpowiedzi. Kandydat Konfederacji potrafił dotrzeć do młodych, a na koniec powiedział, żeby nie głosować na Trzaskowskiego – i młodzi zwolennicy go posłuchali. Prezydent Warszawy dostał jeszcze mniej głosów od Mentzena, niż przewidywały pierwotne symulacje PiS.

A PiS wygrał nie tylko dlatego, że słabe go kandydata umiał zaprezentować jako świetnego, bo autentycznego. Wygrał, bo kopiował sprawdzone pomysły z kampanii Donalda Trumpa. Analiza pod względem semantycznym kilkudziesięciu przemówień Trumpa z republikańskiej kampanii wyborczej posłużyła sztabowcom do konstruowania przemówień Nawrockiego. Również z użyciem sztucznej inteligencji.

Sztab szukał jak najprostszego języka, słów kluczy i stawiał na tematy, które były wskazywane w badaniach. W ścisłym gronie 5-6 osób, którym kierował szef sztabu Paweł Szefernaker, był europoseł Adam Bielan i mniej znani weterani PiS-owskich kampanii wyborczych, tacy jak Anna Plakwicz czy Tomasz Matynia. Szeroki sztab ponad 30 osób zbierał się raz na tydzień, liczyła się ta pierwsza, wąska grupa, która omawiała kluczowe sprawy między sobą, bo obawiała się przecieków do mediów. I byli dumni, że do ostatniej chwili udało im się na przykład utrzymać w tajemnicy fakt, że na konwencji pojawi się prezydent Andrzej Duda.

Ale rozliczeniowe emocje powoli opadają, zaczynają rosnąć te związane z prostym pytaniem: co dalej?

Wygrana Nawrockiego nie oznacza, że PiS triumfalnie kroczy po władzę. Nawrocki wygrał dzięki Konfederacji i teraz Mentzen ma pełną świadomość, że musi atakować mocno nie tylko rząd, ale też PiS. Bo jeśli w przyszłości wejdzie z PiS w koalicję, to bez pozycji równorzędnego partnera nie ma szans na przeżycie. Przecież Nowogrodzka od dawna chciała zniszczyć Konfederatów, tylko w żaden sposób, a sprawdzonych miała wiele, to się jej nie udało. Będzie jednak dalej do tego dążyć, dopóki liderem jest Jarosław Kaczyński.

Coraz głośniej rozbrzmiewa też inne pytanie: czy Nawrocki się usamodzielnia i postawi Kaczyńskiemu? Media już obiegają pierwsze sensacyjne informacje. Na przykład, że prezes PiS chciał wstawić Nawrockiemu zaufanego i wiernego Marka Kuchcińskiego do kancelarii, ale prezydent elekt się nie zgodził. Czy to pierwsza oznaka buntu?

Nie – słyhać w PiS. – Prezes z Nawrockim przeszedł na „ty”, czują duchową wspólnotę, dobrze się obaj dogadują, łączą ich nienawiść to Tuska. Nawrocki, który przeszedł w kampanii potężną wirówkę, dziś chce odwetu na premierze, bo to jego uważa za głównego sprawcę kampanii negatywnej.

Na razie zwycięzca powiedział Kaczyńskiemu, że musi przez tydzień się odseparować od życia publicznego i wszystko prze-myśleć. A Kaczyński – słysząc od moich rozmówców – z ulgą przyjmuje koniec kadencji Dudy. Od dłuższego czasu się z nim nie spotykał, bo prezydent prezesa PiS potwornie drażnił. Duda był chwiejny, zmieniał zdanie, po kilku godzinach rozmowy nagle wracał do omówionych tematów i zaczynał kwestionować ustalenia, na które dopiero co obaj się zgodzili. Kaczyński uważa, że z Nawrockim tak nie będzie, że gdy już coś się uzgodni, to będzie to realizowane. Oraz że nowy prezydent nie będzie się układał z wrogami PiS ani nie da się ograć.

Nawrocki niekoniecznie jest entuzjastą PiS. Mówi się, że w przeszłości naciskał go, by zapisał się do partii, ale nie chciał. Jednak z Kaczyńskim łączy go silna więź i jeden cel: zgruzować obecnego premiera. I to wyklucza, póki co, jakiegokolwiek bunt. Zwiastuje natomiast zimną wojnę. Choć z PSL prezydent elekt miał dobre relacje, więc łącznikiem między „małym” a „dużym pałacem” będzie szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz. Nawrocki pamięta, że ludowcy zagłosowali za nim w wyborach prezesa IPN.

Czy wyniki wyborów prezydenckich przesądzą o tym, że Koalicja 15 Października przegra wybory parlamentarne w 2027 roku? Nie, o ile wyciągnie wnioski z porażki. I spojrzy realistycznie na listę swoich projektów, które miała przeprowadzić przy asyście przyjaznego prezydenta.

Na to nie ma dziś szans. Plan trzeba napisać od nowa, a do polityków musi dotrzeć świadomość, że bez skrzydła centroprawicowego, które stanowiła Trzecia Droga, zapewne nie da się wygrać. Ale ta koalicja nadal ma za sobą ponad 10 milionów wyborców. To potężna baza, a wkrótce w sukurs przyjdą sprzyjające okoliczności.

Bo obecna trudna sytuacja ekipy rządzącej jest związana z faktem, że PiS został gospodarzem w kiepskiej kondycji, z rosnącą luką VAT, wysoką inflacją i rachitycznym wzrostem gospodarczym. Po części nie z własnej winy – nie Beata Szydło i Morawiecki odpowiadali za pandemię i wojnę w Ukrainie – ale także wskutek fatalnej polityką skutkującej zablokowaniem funduszy z Unii Europejskiej. A do tego bagażu po poprzednikach gabinetowi Tuska dochodzą rosnące wydatki na zbrojenia, które także są wielkim obciążeniem dla budżetu i ograniczają pole manewru. Ale w najbliższych latach wzrost gospodarczy zapowiada się przyzwoity, inflacja będzie w ryzach, a inwestycje ruszą dzięki odblokowaniu pieniędzy unijnych.

Więc wystarczy, że ludzie zobaczą tę zmianę. Pytanie, czy rząd będzie umiał wykorzystać tę szansę, pokazując wyborcom, co osiągnął i jak poprawia się ich życie.

Lecz teraz kluczowym warunkiem jest to, aby koalicja rządząca poukladała się sama ze sobą. Bo na razie to nie Nawrocki jest dla niej zagrożeniem, ale wewnętrzne tarcia. Dlatego wystąpienie Tuska o wotum zaufania, które będzie głosowane w przyszłym tygodniu, jest jak najbardziej słuszne, bo może zamknąć dyskusję, czy rząd ma większość w Sejmie. ●

Żyleta

Skojarzenie określenia „na żyletki” z partią, która postrzega siebie jako statek i która wymyśliła swojemu kandydatowi marynistyczne hasło wyborcze, brzmi szczególnie niefortunnie.



Michał Rusinek

Po pierwszej turze wyborów prezydenckich wszystko wskazywało na to, że w drugiej różnica między poparciem dla obu kandydatów będzie minimalna. Żeby tę minimalność zobrazować, zarówno publicyści, jak i politycy zaczęli się posługiwać metaforą balwierską, a może raczej powinniśmy dziś powiedzieć – barberską: „na żyletki”.

Nie jestem pewien, czy o żyletce można powiedzieć to, co o koniu pisał Benedykt Chmielowski: że jaka jest, każdy widzi – bo coraz trudniej ją zobaczyć. Nawet jednak ci, którzy znają ją wyłącznie ze – zwykle krwawych – opowieści dziadów i pradziadów, umieją sobie ją wyobrazić, podobnie jak wiele innych przedmiotów z minionych epok. Żeby zrozumieć metaforę „na żyletki” wystarczy wiedzieć, że były (i są) one bardzo cienkie: od 0,08 do 0,31 mm.

Jeśli różnica w wysokości na przykład dwóch prostopadłościanów lub słupków poparcia przedstawianych za pomocą prostopadłościanów jest minimalna, to można hiperbolicznie powiedzieć, że jest to różnica „na żyletki”.

Można też – acz nie należy – parkować „na żyletki”, to znaczy nieomal dotykając zderzak samochodu przed nami. I można – acz tym bardziej nie należy – mijać samochodem rowerzystę „na żyletki”, czyli bardzo blisko.

Podobno określenie to wzięło się z rajdów samochodowych, w których różnice w czasie między zawodnikami wynoszą często milisekundy, czyli takie

jakby milimetry. We wszystkich tych przypadkach zastosowanie liczby mnogiej jest prawdopodobnie zabiegiem urealniamym hiperbole, bo różnica poniżej milimetra wydaje się nierealna. Nie jest jednak wykluczone, że chodzi mimo wszystko o jedną żyletkę, tyle że w dopełniaczu, a powiedzenie „na żyletki” jest w gruncie rzeczy eliptyczne, bo powinno brzmieć „na grubość żyletki”.

Metafora, czyli skrócone porównanie, ma to do siebie, że dotyczyć może kilku cech przedmiotu, do którego odniesienie stanowi. Kiedy myślimy o żyletce, to pierwszą jej cechą, jaka nam przychodzi do głowy jest ostrość – wykorzystywana nie tylko do golenia, ale i do temperowania ołówków. I jest to zarazem cecha każdej, albo prawie każdej wal-

Żyletka w tych wyborach okazała się mieć grubość 369 591 głosów. To najmniejsza różnica między kandydatami w historii drugich tur polskich wyborów prezydenckich

ki politycznej. W przypadku takiej walki częściej posługujemy się jednak frazeologizmem „na noże”, który oznacza ostrą, zaciętą, pełną emocji walkę, bez szans na jakikolwiek kompromis, toczoną słownie, ale już na cienkiej granicy między słowem a czynem.

Istnieje bowiem ryzyko, że przemoc słowna przerodzi się w przemoc fizyczną. Przy czym o ile walka na realne noże kojarzyć się jeszcze może ze szlachetnym (?) sportem, na przykład z filipińską sztuką walki zwaną arnis, o tyle w posługiwaniu się w podobnym celu żyletkami jest coś podstępnego, makabrycznego, kojarzącego się w najłagodniejszej wersji ze strzelaniem z palca, ale przede wszystkim z torturami. A także – z samookaleczeniem. Kto w polityce żyletką wojuje, ten od żyletki ginie.

„Na żyletki” można też coś pociąć lub przerobić, to znaczy przeznaczyć na złom jakiś stary obiekt dużych rozmiarów, na przykład czołg, samochód lub statek. Choć może nie tyle na złom, ile na coś, co jeszcze może się przydać, a więc w duchu „zero waste”. Jeśli coś przestaje spełniać swoje zadanie, nie działa tak, jak powinno, okazuje się nieprzydatne we współczesnym świecie, to może zamiast się tego czegoś pozbywać, lepiej przerobić na coś, z czego można mieć choć minimalny pożytek.

Choć zważywszy zanikającą przydatność żyletek, tego typu pożytek jest już prawie wyłącznie ironiczny. A skojarzenie z partią, która postrzega siebie jako statek i która wymyśliła swojemu kandydatowi marynistyczne hasło wyborcze powoduje, że określenie „na żyletki” brzmi szczególnie niefortunnie. I oby nie okazało się profetyczne. Niechże za działa otrzeźwiająco.

Żyletka w tych wyborach okazała się mieć grubość 369 591 głosów. To najmniejsza różnica między kandydatami w historii drugich tur polskich wyborów prezydenckich. Wygrał kandydat, którego przeszłość i niepokojące konsekwencje, np. ze środowiskiem kibolskim, nie tylko nie zdyskwalifikowały, ale nawet wzmocniły w oczach wyborców. Analizę tego faktu pozostawiam specjalistom.

W jakimś sensie w tych wyborach „na żyletki” zwyciężyła „Żyleta”. Tak potocznie mówi się o osobie, która jest bardzo wymagająca wobec podwładnych lub uczniów i bezwzględna w egzekwowaniu obowiązków lub posłuszeństwa.

Mówi się tak również na północną trybunę stadionu Legii, na której niegdyś wisiała reklama żyletek, a teraz – pojawiają się transparenty z antyunijnymi, antyukraińskimi, antyimigranckimi i nawołującymi do przemocy wobec demokratycznych polityków hasłami. Wśród których „18 maja i 1 czerwca – byle nie Trzaskowski” należało do najłagodniejszych. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34376849



Znajdziesz w każdym sklepie



Szukaj na regale z prasą



MAKE VISEGRAD GREAT AGAIN

W Europie od poniedziałku dominuje lęk,
że od teraz będziemy mieć do czynienia
z inną Polską.

Z **LYKKE FRIIS**,
WSPÓŁPRZEWODNICZĄCĄ
EUROPEJSKIEJ RADY DS. STOSUNKÓW
MIĘDZYNARODOWYCH (ECFR)
ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**

MATEUSZ MAZZINI: Wynik wyborów
prezydenckich jest gorszą wiadomością
dla Polski czy dla Europy?

LYKKE FRIIS *: Nie wiem, czy Polacy
zdawali sobie sprawę z tego, jak wielkie
zainteresowanie w całej Europie budzi-
ły wasze wybory prezydenckie. I przede
wszystkim – jak wielkie miały znacze-
nie dla wewnętrznej dynamiki właściwie
w każdym aspekcie kontynentalnej po-
lityki.

Polska przez ostatnie lata stała się na-
prawdę strasznie ważnym krajem w Eu-
ropie, więc to, co dzieje się u was, rezonuje
z coraz większą siłą na inne kraje.

Tutaj, w Danii, śledziliśmy wybory ca-
ły czas, bo pozycja Polski na przykład
względem Ukrainy, ale też zaangażowa-
nia w region Morza Bałtyckiego, jest waż-
na dla naszego bezpieczeństwa. Ale to
nie chodzi tylko o to, czy Polska będzie
się dalej zbroić albo wysyłać broń do Ki-
jowa.

A o co jeszcze?

– O praworządność. Donald Tusk szedł
do wyborów w 2023 r. z hasłem przywró-
cenia praworządności i to był projekt, na
który patrzyła cała Europa, bo nikt wcze-
śniej nie mierzył się z tym zadaniem.

Problemy z praworządnością istnie-
ją w wielu krajach Unii Europejskiej,
ale dopiero Tusk chciał to uporządko-
wać systemowo. Teraz te reformy staną
w miejscu.

Dla Duńczyków, dla których prawo-
rządność i poszanowanie niezależności
sądów ma ogromne znaczenie, to bardzo
jasny znak i jednocześnie zła wiadomość,
bo Polska praworządności ostatecznie
nie przywróci.

Dziwi mnie, że na to wskazujesz.

**W Polsce praworządność w tej kampanii
prawie nie istniała, zresztą to za-
wsze był temat trudny do wytłumacze-
nia wyborcom. Liberalowie próbowali
to grać i rzadko coś na tym zyskiwali.**

– Praworządność ma olbrzymie znacze-
nie i chociażby dlatego te wybory były tak
ważne. Po pierwsze, Polska daje przy-
kład – skoro nie udało się tego opanować

w waszym kraju, inne państwa zrozu-
mieją, że można naruszać niezależność
sądów w taki czy inny sposób, a odwró-
cenie tego jest bardzo trudne, o ile w ogó-
le możliwe.

Po drugie, pamiętaj, że to, czy w jed-
nym kraju są rządy prawa, ma bezpo-
średni wpływ na całą Unię. Na działanie
wspólnego rynku, przepływy kapitału, na
wspólne zasady działania we Wspólnocie.
Kwestia praworządności w Polsce to
kwestia praworządności w całej Europie.

Już teraz toczą się przecież dyskusje
na temat unijnego budżetu. Ile, jak i ko-
mu z niego wypłacać. Co dalej z rozsze-
rzeniem Unii, na to też potrzeba pienie-
dzy i woli politycznej.

Polska kończy swoją prezyden-
cję w Radzie, teraz przejmie ją Dania.
A ostatecznie w czasie swojej rotacji pol-
ski rząd nie okazał się specjalnie aktywny
w otwieraniu kolejnych rozdziałów akcesji
Ukrainy do Unii. Niektórzy tłumaczyli
to wyborami, wskazywali, że jeśli wygra
Rafał Trzaskowski, to Warszawa przy-
spieszy w rozmowach akcesyjnych, ale
tak się nie stało. Teraz rozszerzenie Unii
spada na duńskie biurko.

Jasne jest, że Polska nie będzie się an-
gażować we wciąganie Ukrainy do za-
chodnich struktur instytucjonalnych –
Karol Nawrocki przecież dał jasno do
zrozumienia, że nie zgodzi się na wejście
Ukrainy do NATO, to pierwsza z brze-
gu rzecz.

W Europie od poniedziałku dominu-
je lęk, że od teraz będziemy mieć do czy-
nienia z inną Polską – taką, której prio-
rytety mocno różnią się od takich krajów
jak Dania.

**No właśnie. To porozmawiajmy o euro-
pejskiej ocenie wygranej Nawrockiego.**

– Tu chyba nie ma o czym rozmawiać.
Oczywiste jest dla wszystkich, że wygra-
ła opcja „Poland First”, zresztą takie by-
ło hasło Nawrockiego w kampanii, więc
trudno interpretować to w jakikolwiek
inny sposób. Na pewno sporo osób mar-
twi się, czy Polska nie stanie się teraz naj-
większym sojusznikiem Donalda Trumpa
w Europie. Za chwilę szczyt NATO w Ha-
dze, a stosunki transatlantyckie przypo-
minają raczej wojnę niż partnerstwo.

Z Nawrockim jako prezydentem ist-
nieje ryzyko, że Polska będzie współpra-
cować bardziej z Viktorem Orbanem niż
z Friedrichem Merzem – myślę, że to jest
teraz jasne dla wszystkich w Europie.



Z duńskiej perspektywy istnieje
też obawa, że Polska znowu pokłóci
się z Niemcami. A gorsze relacje Pol-
ski z Niemcami to zła wiadomość dla ca-
łej Europy. Żeby dzisiaj Europa mogła się
jakkolwiek rozwijać, naprawdę potrze-
buje silnej i zaangażowanej Polski współ-
pracującej z Niemcami i Francją. Nie mu-
sicie się we wszystkim zgadzać z Berli-
nem, ale przynajmniej trzeba umieć ne-
gociować, usiąść do stołu, a tego za po-
przedniej władzy w ogóle nie było.

Zaraz po wygranej Trumpa na Euro-
pę spadła fala złych wiadomości, ale jed-
ną z niewielu dobrych był powrót na sce-
nę silnego Trójkąta Weimarskiego. Teraz
obawiam się, że Trójkąt Weimarski zo-
stanie zastąpiony przez Grupę Wysze-
hradzką, czyli zestaw państw, dla których,
lekko mówiąc, praworządność nie jest ja-
kimś ważnym tematem. Węgry i Słow-
acja już tam są, Polska idzie w tym kierun-
ku, tak samo Czechy, jeśli jesienią wygra
tam Andrej Babiš.

**Czy to naprawdę jest albo-albo? Polska
Wyszehradzka albo Polska Weimar-
ska, bez punktów wspólnych w tych
dwóch zbiorach?**

– Oczywiście, że istnieją punkty wspólne.
Politycy będą ich szukać, bo na tym po-
lega ich praca, jakoś te relacje muszą ist-
nieć. Zresztą spójrz na pierwsze słowa
pod adresem prezydenta-elekta, gratula-
cje składane nawet od duńskiej pani pre-

mier. Trwa szukanie możliwych płasz-
czyzn współpracy, dla Danii to przede
wszystkim Morze Bałtyckie.

Jasne, że mamy wspólne cele i intere-
sy. Dobrze by było, żeby pojawił się spo-
sób mówienia o nich skutecznie. Ale bę-
dzie cała masa miejsc, w których punk-
tów wspólnych nie będzie – na przykład
praworządność. I wracam do tego, bo to
naprawdę ważne. Rządy prawa to jedna
z podstawowych wartości Unii Europejskiej – jeśli tak samo rozumiesz tę zasa-
dę, oznacza to, że masz wspólne z innymi
rozumienie całej Wspólnoty, prawda?

**Dla mnie prawda, ale dla polskiej prawi-
cy już nie. I dlatego pytam, czy czasem
Polska nie zostanie całkowicie zmar-
ginalizowana w Europie. Będzie teraz
dwugłową hydrą. Rząd w jedną stronę,
prezydent ostro w drugą. Potencjalnych
partnerów może to całkowicie zniechę-
cić.**

– Wręcz odwrotnie. Spodziewam się, że
Europa będzie teraz inwestować bardzo
mocno w relacje z Polską. Wystarczy spoj-
rzeć, ile wysiłku wkładamy dzisiaj w rela-
cje z Trumpem, próbując go obłaskawić za
wszelką cenę. Robimy to, bo Europa i Sta-
ny potrzebują siebie nawzajem. Tak samo
jest z Polską, której Europa też dzisiaj po-
trzebuje.

Więc moim zdaniem kraje członkow-
skie nie będą Warszawy skreślać, tylko po-
jawiają się próby wybadania, co jeszcze jest



• **Karol Nawrocki – jeszcze jako kandydat na prezydenta RP - spotkał się 2 maja br. z Donaldem Trumpem w Gabinetcie Ovalnym. Jego wizyta w USA nie była niespodzianką – pojechał po głosy Polonii, ale obecność w Białym Domu już tak**

FOT. WHITE HOUSE

dzisiaj ten silnik bez Polski po prostu nie istnieje. Czasy, w których porozumienie Berlina z Paryżem wystarczało do zmiany kursu całej Europy, skończyły się już i raczej nie wrócą.

W Europie potrzeba aktywnej partycypacji innych państw i dlatego Polska była taka ważna. W ostatnich miesiącach, z Tuskiem u steru, stawialiście się prawie państwem nordyckim. Przesuwalistec się mocno na północ w kwestii strategii, interesów, patrzenia na rzeczywistość. Rząd Tuska zaczął dostrzegać, że łączy go z krajami północy wspólnota interesów.

I ta wspólnota teraz przestaje istnieć? Czy my czasem nie odwracamy kursu, wracając z północy z powrotem na południowy wschód?

– Czas pokaże, jak szybko taki zwrot mógłby w ogóle nastąpić i w jakim kontekście miałby miejsce. Ale na pewno obserwujemy tendencję, którą można opisać jako Make Visegrad Great Again.

Tu znowu wiele zależeć będzie od Tuska i od tego, czy utrzyma koalicję u władzy. Europa oczywiście patrzy na te zmiany z punktu widzenia polityki zagranicznej, interesuje nas Ukraina, Trump i praworządność, ale wy macie swoją wewnętrzną dynamikę.

Nie wiem, co Tusk będzie w stanie zaoferować swoim wyborcom, będąc w totalnym klinclu z prezydentem. Domyślam się, że cała masa ludzi w Polsce jest sfrustrowanych, bo Koalicja Obywatelska nie dowiozła swoich obietnic.

Ale Europa też musi przestać dziwić się, że Polacy ciągle głosują na PiS – bo musi być jakiś powód tego zjawiska. Czy ta porażka Trzaskowskiego naprawdę wynika z faktu, że rząd był zablokowany przez Andrzeja Dudę, czy może z czegoś innego? Może jednak popełnione zostały błędy, pojawiły się lęki, i ktoś te lęki zago spodarował.

Jak na te wybory zareaguje Unia jako instytucja? Ostatnie miesiące pokazały, że jeśli trzeba zrobić coś szybko, europejscy liderzy wolą Unię pomijając, robiąc ad hoc różne „koalicje chętnych”. Możliwe jest, że teraz takie koalicje będą powstawać z pominięciem Polski? Na przykład w obronności?

– To raczej mało prawdopodobne. Spójrzmy na samą kwestię Ukrainy, a potem na mapę Europy. Nie można rozmawiać o Ukrainie bez udziału Polski, ale też trudno myśleć o wspieraniu Kijowa bez polskiego zaangażowania w ten projekt.

Osobiście uważam, że nie będzie jakiegos gigantycznego zwrotu w polskiej polityce względem Ukrainy. Nawrocki jest mniej pro-ukraiński od Dudy, ale poczekajmy na realne konsekwencje jego wyboru. Bardziej obawiam się zastoju w kwestii rozszerzenia Unii. Przy takiej dwuwładzy nie wyobrażam sobie Polski działającej na rzecz wejścia Ukrainy do Wspólnoty.

Kończy się wasza prezydencja unijna, podczas której ten proces akcesyjny miał przyspieszyć. Prawie nic się w tej kwestii nie wydarzyło. Więc jeśli gdziekolwiek pojawić się może koalicja chętnych, to właśnie w temacie rozszerzenia – tylko to nic nie da, bo rozszerzyć musiałaby się cała Unia.

To pogadajmy trochę o Trumpie. On i ludzie z ruchu MAGA byli oczywiście zaangażowani w inne europejskie wybory – niemieckie, rumuńskie. Ale nigdzie nie byli tak aktywni jak w Polsce.

Kristi Noem tu przyjechała na CPAC, influencerzy świata MAGA krążyli pomiędzy Polską i USA nieustannie. Dlaczego tak bardzo im zależało na wygranej Nawrockiego?

– Bo pozycja Polski w Europie rośnie. Jeśli przeciągniesz Polskę na swoją stronę, oznacza to, że w twojej drużynie gra spory kawalek Europy. Popatrz na mapę, Polska to perła w koronie Europy Środkowej. Bierzesz ten klejnot – zyskujesz wpływ na dużą część kontynentu. Poza tym to nakłada się na tendencje wyszehradzkie. Jeśli cała czwórka będzie nagle konserwatywna i proamerykańska – wtedy Trump uzyska gigantyczny wpływ na Unię Europejską od środka.

Nie ignorowałabym też Polonii w USA. Jednak sporo Polaków, ludzi polskiego pochodzenia, mieszka w tym kraju, odgrywa jakąś, wcale niemałą, rolę w tamtejszej polityce. Sam wiesz, ilu Polaków mieszka w Chicago – oni też głosują, tu i tam. Dania nie ma takiego problemu, zresztą mało który kraj w Europie go ma w takim stopniu jak Polska.

Czy w takim razie zbliżając się do USA Trumpa, Polska z Nawrockim ryzykuje marginalizację w Europie? Trump jest już otwarciem antyeuropejski, Merz czy Macron potrafią go skrytykować. Nie będzie czasem tak, że za chwilę europejscy partnerzy przyjdą do Polaków i powiedzą: pora wybierać, Europa albo Stany?

– Pamiętaj, że Merz i Macron też mają interes w utrzymaniu dobrych relacji z USA, nawet wbrew temu, co mówią publicznie. Żeby ten scenariusz się zmaterializował, cała Europa musiałaby chcieć wybierać pomiędzy sojuszem z Waszyngtonem a pełną izolacją. To trochę trudne, zwłaszcza w czasach braku jedności.

Na pewno Polska pod rządami Nawrockiego znacznie osłabi swoją pozycję w Unii, nie będzie miała już takiego wpływu na rzeczywistość kontynentalną, ale stawianie sprawy na ostrzu noża nikomu tu nie służy. Spójrzmy nawet na relacje Polski z Danią, chociażby w handlu. Polska jest naszym ósmym największym partnerem handlowym. To co, mielibyśmy z tego zrezygnować, bo Nawrocki jest sklejony z Trumpem? Nie mówiąc o tym, że Ameryka też nadal ma bardzo dużo interesów w Europie i im też pełen rozwód się nie opłaca.

Wygrana Karola Nawrockiego to początek budowy europejskiej frakcji MAGA?

– Zobaczmy co wydarzy się w Czechach. Czy MAGA zaangażuje się też w ich politykę. Jeśli jeszcze tego nie robią, zaczną robić to przed samym głosowaniem. Na pewno sporo ludzi w Europie odetchnęło z ulgą, kiedy w Rumunii skrajnie prawicowy kandydat przegrał. Ale potem taki sam wygrał w Polsce.

Na pewno lęk przed tym, że Wyszehrad stanie się czymś na kształt hrabstwa MAGA w Europie, istnieje.

I słusznie, że istnieje, bo taki scenariusz jest bardzo realny. ●



***Lykke Friis**

• szefowa duńskiego think tanku Europa, współpracowniczka Europejskiej Rady ds. Stosunków Międzynarodowych (ECFR). Wcześniej była ministrami ds. klimatu, energii oraz ds. równości w rządzie Danii, pracowała także jako dziennikarka i korespondentka międzynarodowa.

Czy po wygranej Nawrockiego Wyszehrad stanie się hrabstwem MAGA w Europie?

możliwe. Europa będzie starać się uratować tyle, ile można z relacji bilateralnych, choć oczywiście wiele rzeczy jest pod znakiem zapytania.

Na przykład co?

– Nie chciałabym mówić o przykładach z polityki, tylko o ogólnej dynamice. Nikt w Europie nie wie, kim jest Karol Nawrocki. Co sobą reprezentuje, jakie ma poglądy na konkretne sprawy. Nie wiemy też, ile jeszcze uda się zrobić Tuskowi w parlamencie, ani co dalej z koalicją rządzącą. Z jednej strony panuje więc niepewność, i to właściwie wszędzie: w Unii, w NATO, w stosunkach dwustronnych. Z drugiej – lęk, że niewiele jeszcze będzie możliwe do osiągnięcia.

Tylko czy właśnie z powodu tej niepewności Polsce nie grozi margines? Umiem sobie wyobrazić taki scenariusz,

w którym Merz z Emmanuelem Macronem uznają, że Tusk jest sparaliżowany konfliktem wewnętrznym, więc właściwie go pomina, i Europa znowu będzie szła do przodu dzięki osi Paryż-Berlin, bez Warszawy.

– Tusk mimo wszystko pozostanie kluczowym europejskim politykiem, przynajmniej tak długo, jak będzie sprawować władzę. Ale z punktu widzenia całości polskiej polityki powstanie pytanie o priorytety.

Z Nawrockim Polska będzie uznawana za kraj, który mocno zbliży się teraz do Stanów Zjednoczonych. Co wtedy? To zależy zarówno od Europy, jak i od samej Polski. Kto będzie dla was priorytetem i dlaczego. Trzeba pamiętać, że do tanga trzeba dwojga, nikt na siłę nie będzie budował partnerstwa bez partnera z drugiej strony.

Natomiast Unia nie ruszy do przodu z francusko-niemieckim silnikiem, bo

POLAK **W** KOSMOSIEPIERWSZE
PIEROGI
W
KOSMOSIE

Drugi Polak w kosmosie.
Sławosz
Uznański-Wiśniewski
startuje we wtorek



Z Elonem Muskiem na Marsa? Nie wiem, czy żona by mnie puściła. Księżyc jest bardziej osiągalny

ZE **SŁAWOSZEM UZNAŃSKIM-WIŚNIEWSKIM**
ASTRONAUTĄ, INŻYNIEREM
ROZMAWIAJĄ
PIOTR CIEŚLIŃSKI, BARTOSZ T. WIELIŃSKI

Rozmawiamy na kilka dni przed lotem w kosmos. Co czuje astronauta przed startem?

– Napięcie. Jesteśmy coraz bliżej daty startu i myślę, że to nie tylko ja, ale też cała załoga jest już w pełni skupiona na tym, by wykonać naszą pracę jak najlepiej. Sama misja to będzie czas niesamowitego napięcia, zresztą całe przygotowanie do niej, ten ponad rok, takie było. A to skupienie będziemy musieli utrzymać jeszcze przez dość długi czas.

Przy starcie zawsze jest jakaś niepewność i nie tylko, jeśli chodzi o datę. To taki osobisty moment do przeżycia, dość niebezpieczny. Każda misja kosmiczna wiąże się z pewnym ryzykiem, z tym też trzeba sobie poradzić.

Za chwilę lecimy na Florydę, gdzie przejdziemy kwarantannę przed samym startem. Teraz jestem jeszcze w Houston w Teksasie. W pobliżu jest Centrum Lotów Kosmicznych imienia Johnsona, gdzie trenowałem z załogą.

Nasze szkolenie skończyliśmy dosłownie kilka tygodni temu. Na koniec zawiesiliśmy emblemat naszej misji bezpośrednio na modułach stacji kosmicznej. To był dla nas bardzo ważny moment.

To wierna kopia znajdującej się na orbicie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej?

– Tak, jej pełna makieta mieści się w budynku o nazwie SVMF – od Space Vehicle Mockup Facility. W modułach stacji uczyliśmy się nie tylko tego, jak radzić sobie w sytuacjach awaryjnych, ale też jak prowadzić tam codzienne życie, jak to w takich warunkach robić. Podczas symulacji musieliśmy wykonywać takie same zadania, jakie przyjdzie nam robić na stacji.

Tyle że w warunkach ziemskiej grawitacji, a nie w stanie nieważkości.

– Uczucia nieważkości doznam dopiero na stacji kosmicznej. Brałem jednak udział w lotach parabolicznych, gdzie samolot po osiągnięciu dużej wysokości gwałtownie spada, co symuluje nieważkość.

Samoloty w takich lotach określa się mianem komet wymiotnych. Uczestnikom często robi się niedobrze. Jak było z panem?

– Akurat moje ciało zniosło loty paraboliczne całkiem dobrze. Nawet miałem dobrą zabawę, wykonując pewne ćwiczenia symulujące przemieszczania się na stacji kosmicznej czy wykonywanie pewnych ruchów. Ale w takim locie symulacja stanu nieważkości trwa dwadzieścia kilka sekund. Później samolot musi, by uniknąć zderzenia z ziemią, wznieść się z powrotem. No i potem znowu spada. Ja wykonałem cztery takie loty. W sumie zaliczyłem 120 parabol, czyli 120 takich blisko półminutowych momentów nieważkości.

Jak to będzie wyglądało, gdy dostaniecie zielone światło do startu?

– Oj, to będzie napięty dzień. Cztery godziny przed startem zostaniemy przetransportowani z miejsca kwarantanny, by założyć skafandry.

Potem pojedziemy na wieżę na platformie startowej, przy której będzie czekać rakieta. Wsiądziemy do kapsuły, zostaniemy przypięci do foteli. Jako załoga sprawdzimy wszystkie systemy, komunikując się bezpośrednio z centrum kontroli firmy SpaceX. A potem pozostanie już tylko czekać na słynne 3, 2, 1... *lift-off!* – i na ten wyjątkowy moment startu.

Przeciążenie, jakie będzie oddziaływać na nasz organizm, przekroczy 4 g, będzie cztery razy silniejsze niż przyciąganie ziemskie, ale nie dobieje do 5 g. Rakietą, gdy osiągnie wysokość kilkudziesięciu kilometrów, zacznie lecieć prawie poziomo względem powierzchni Ziemi, wzdłuż wybrzeży Stanów Zjednoczonych, Kanady.

Przeleci pan nad Polską?

– Nie. Rakietą, gdy minie Irlandię, wejdzie na orbitę. Ostatnim miejscem podczas wznoszenia, w którym przewidziano możliwość awaryjnego lądowania, są okolice miasta Shannon w Irlandii. SpaceX współ-

pracuje z irlandzką strażą przybrzeżną, która zabezpieczy kapsułę, gdyby coś się stało. Przed kontynentem europejskim musimy uciec na orbitę, bo dalej już nie będzie możliwości deorbitacji. W międzyczasie będą się odczepiać kolejne człony rakiety, pierwszy odłączy się niedaleko Florydy i wróci z powrotem na ziemię. Drugi człon odcepi się po ucieczce na orbitę, a potem zostanie w kontrolowany sposób zdeorbitowany.

Zostaniemy sami na pokładzie statku kosmicznego Dragon, który już bez pracy silników raketowych będzie się synchronizował z Międzynarodową Stacją Kosmiczną, do której następnie przycumujemy. Proces ten potrwa od kilkunastu do kilkudziesięciu godzin. Podczas tej części lotu poza lekkimi korekcjami trajektorii, co będzie się wiązało z bardzo delikatnym przyspieszeniem, cała załoga będzie już przebywać w stanie nieważkości.

Każda ekipa zabiera do kabiny tzw. wskaźnik nieważkości. Zabawkę, maskotkę, która – gdy zaczyna się swobodnie unosić w kabinie – daje pierwszy znak, że statek znalazł się w krainie nieważkości. Co będzie waszym wskaźnikiem?

– Mogę już powiedzieć, że to będzie pluszowy labędź o imieniu Joy – czyli radość. Z radością więc powitamy orbitę! Oglądajcie start i nasze pierwsze wrażenia na orbicie. Zapraszam do śledzenia moich kont społecznościowych na Instagramie, Facebooku, X i LinkedInie pod astro_slawosz/Slawosz Uznanski-Wisniewski.

Urodził się pan 12 kwietnia 1984 roku, w 23. rocznicę lotu Jurija Gagarina w kosmos...

Na pierwsze wyprawy wyruszyłem w góry, jeszcze zanim nauczyłem się chodzić. Chodziłem w plecaku z tatą po Tatrach. Mój ojciec przeszedł praktycznie wszelkie pasma górskie w Europie

– To chyba nie przypadek. Ta data urodzin troszeczkę zdeterminowała moje zainteresowania. Kosmos od początku był obecny w moim życiu. I mam nadzieję, że dzięki polskiej misji kosmicznej kosmos będzie również obecny w życiu wielu polskich dzieci, studentów, a później inżynierów.

Pamięta pan obchody Dnia Kosmonauty w PRL?

– Chyba tak, bo pamiętam, gdy mama składała mi tego dnia życzenia urodzinowe, miałem jakieś cztery lata, to musiało być za poprzedniego systemu. Z PRL pamiętam też, jak z rodzicami w 1989 roku oglądaliśmy wspólnie obrady Okrągłego Stołu.

Po upadku komuny Dzień Kosmonauty przeszedł być jednak obchodzony. Gagarin, nawet nasz kosmonauta generał Miroslaw Her- maszewski powędrowali do lamusa. Skoro kosmos przeszedł Polaków interesować, to na kim pan się wzorował?

– Gdybyście, panowie, zapytali mojej rodziny czy znajomych, to myślę, że pewnie powiedzieliby, że na nikim, bo zawsze chodziłem swoimi ścieżkami. W czasach, gdy dużo chodziłem po górach, zawsze starałem się znaleźć jakiś szczyt, który mnie będzie tak inspirował, że zbuduję zespół, by wyruszyć w podróż i go zdobyć.

Podczas studiów dosyć wcześniej wyjechałem z rodzinnej Łodzi do Francji – wziąłem udział w jednym z pierwszych zagranicznych programów, które były wtedy dostępne w Polsce.

Doktorat robiłem, pracując bezpośrednio w przemyśle, rozwijając technologie kosmiczne, a to też nie była typowa ścieżka. Zawsze po prostu wybierałem to, co mnie pociągało i inspirowało.

Gdy wybierał pan studia, myślał pan już o locie w kosmos czy taki pomysł pojawił się nagle?

– Od początku wiedziałem, że jeśli tylko pojawi się rekrutacja na astronautów, zrobię wszystko, żeby

wziąć w niej udział. Tak naprawdę ta myśl towarzyszyła mi od momentu, gdy kończyłem studia i rozpoczynałem doktorat.

Ale w przypadku Polaka takie marzenie nie brzmiało zbyt realistyczne...

– W Polsce ta droga była w zasadzie zamknięta. Gdy wybierałem temat doktoratu, zdecydowałem się związać z przemysłem we Francji, bo w Polsce przemysłu kosmicznego wtedy nie było.

Dziś stoimy przed zupełnie inną perspektywą. Polska jest jednym z pierwszych krajów, które lecą w kosmos z komercyjną misją załogową. Będę drugim astronautą europejskim, który przeciera ścieżkę takiego programu.

Śledziłem rekrutację na astronautów ESA, Europejskiej Agencji Kosmicznej, w 2008 roku. Wówczas Polska jeszcze do ESA nie należała, nie mogliśmy więc brać w niej udziału. Wtedy jako doktorant pracujący przy budowie komponentów dla przemysłu kosmicznego opublikowałem swój pierwszy artykuł naukowy. Przedstawiałem go na konferencji w Brugii w Belgii, która była poświęcona między innymi wpływowi promieniowania kosmicznego na sprzęt elektroniczny. Miałem okazję rozmawiać z inżynierami NASA, którzy pracowali przy projektach kosmicznych.

Uświadomiłem sobie, że skoro chodzę po górach, żegluję, prowadzę aktywny tryb życia, a jednocześnie jestem inżynierem i naukowcem zajmującym się kosmicznymi technologiami, to byłbym dobrym kandydatem na astronautę.

Miałem taki profil, jakiego ESA szukała. Nie wiedziałem oczywiście, co mnie w życiu spotka, czy Pol-

ska będzie w ogóle miała możliwość wysłać kogoś w kosmos. Zajęło to 15 lat, ale dopiąłem swego.

A co z chodzeniem po górach? Ma pan jeszcze na to czas?

– Na pierwsze górskie wyprawy wyruszyłem, jeszcze zanim nauczyłem się chodzić. Tata nosił mnie w plecaku w Tatrach. Mój ojciec przeszedł niemal wszystkie pasma górskie w Europie. Poszedłem dosłownie jego śladem – najpierw razem z nim, a później, kiedy mieszkalem już w Alpach, wykorzystywałem każdą okazję, by być w górach. Zorganizowałem także ekspedycję w Himalaje. Gdy trwała rekrutacja do programu kosmicznego, przygotowywałem się do wyprawy na jeden z ośmiotysięczników. No i musiałem zadecydować: w góry czy w kosmos. Odtąd raki i czekam czekają w garażu.

Odwieszenie raków na kolek to chyba niejedyne wyrzeczenie, które pana spotkało.

– Oj, nie. Studia wykorzystałem na zwiększanie kompetencji – zamiast chodzić na dyskoteki, szukałem międzynarodowych staży. I udało mi się wyjeżdżać podczas studiów, pracować w kilku miejscach za granicą – w Niemczech czy w Norwegii. Byłem też na dwóch stażach w Wielkiej Brytanii, później studiowałem drugi fakultet we Francji. Kiedy pisałem doktorat, większość wieczorów – i niejedną noc – spędzałem na przygotowywaniu artykułów naukowych na konferencje. W tym czasie moi koledzy i koleżanki prowadzili intensywne życie towarzyskie.

Dziś jako astronauta żyję w podobny sposób: z dala od rodziny, skupiony na zadaniu. Jak panowie wiedzą, wziąłem ślub na początku roku [z Aleksandrą Wiśniewską, działaczką humanitarną, posłanką Koalicji Obywatelskiej]. I jeszcze nie mieliśmy okazji, by wyruszyć w podróż poślubną. Odłożyliśmy to na czas po misji.

• **ciąg dalszy tekstu ► 16**

Pierwszy Polak

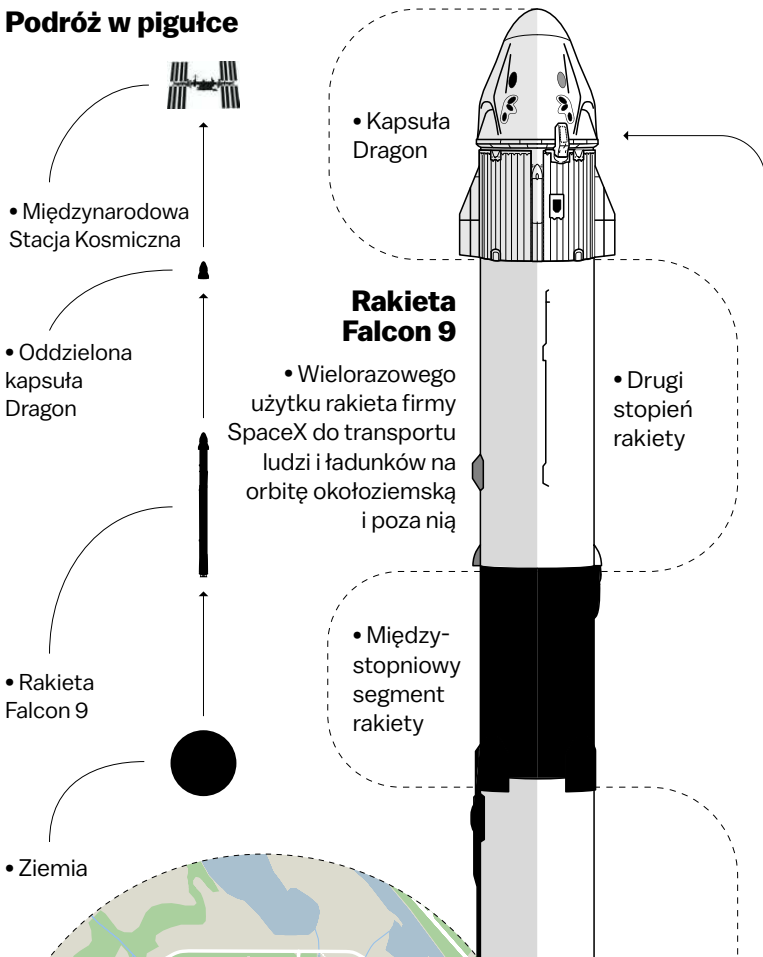
na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Jak się tam dostanie, z kim tam leci i co go czeka na orbicie. Przewodnik „Wyborczej”

Infografika: Łukasz Rudnikowski

S

Sławosz Uznański-Wiśniewski – Polak, którego Europejska Agencja Kosmiczna (ESA) wyłoniła spośród 22,5 tys. kandydatów – polecie w kosmos w misji Ax-4 (Axiom 4). Będzie pierwszym astronautą z naszego kraju na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Przeprowadzi tam 13 badań w ramach polskiej misji Ignis. Łódzianin ma 41 lat. W latach 2011-23 zawodowo związany był z ośrodkiem CERN w Genewie i m.in. projektował systemy sterowania w Wielkim Zderzaczu Hadronów. W 2023 r. dołączył do Europejskiego Korpusu Astronautów.

Podróż w pigułce



Załoga misji Ax-4 (Axiom 4)



Peggy WHITSON
Stany Zjednoczone
ur. 9 lutego 1960 r.
dowódczyni misji



Sławosz UZNAŃSKI-WIŚNIEWSKI
Polska
ur. 12 kwietnia 1984 r.
specjalista misji



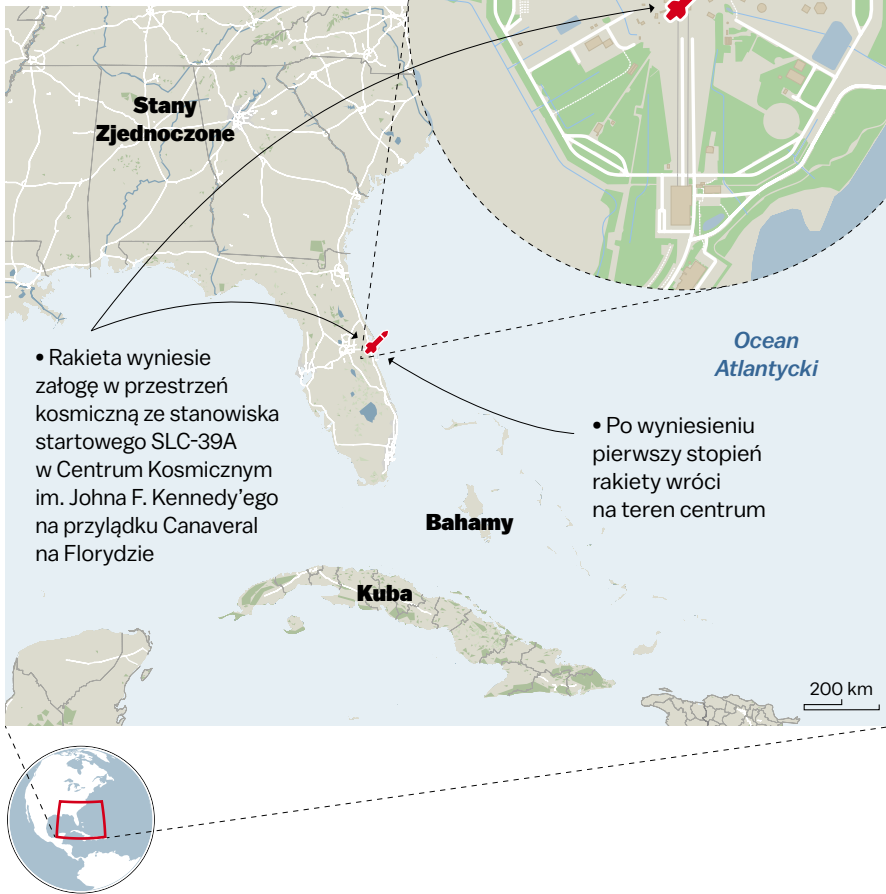
Shubhanshu SHUKLA
Indie
ur. 10 października 1985 r.
pilot misji



Tibor KAPU
Węgry
ur. 5 listopada 1991 r.
specjalista misji

• Astronauci z zespołu misji Ax-4 spędzą
do 14 dni
na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej

Start i lądowanie rakiety Falcon 9



• Rakieta wyniesie załogę w przestrzeń kosmiczną ze stanowiska startowego SLC-39A w Centrum Kosmicznym im. Johna F. Kennedy'ego na przylądku Canaveral na Florydzie

• Po wyniesieniu pierwszy stopień rakiety wróci na teren centrum

Statek kosmiczny Dragon

• Mieści siedmioro pasażerów. To jedyny obecnie amerykański statek kosmiczny, który jest w stanie dostarczyć na Ziemię znaczną ilość ładunku, a także pierwszy prywatny, który zabrał ludzi na stację kosmiczną

• Pojedynczy punkt połączenia skafandra z pojazdem zapewnia astronautom cały system podtrzymywania życia

Wysokość:
8,1m

Średnica:
4m

Objętość statku kosmicznego:
9,3 m³

Objętość bagażnika:
37 m³

Masa ładunku wyrzutowego:
6 000 kg

Masa ładunku powrotnego:
3 000 kg

Sławosz Uznański-Wiśniewski polecie w kosmos nie wcześniej niż

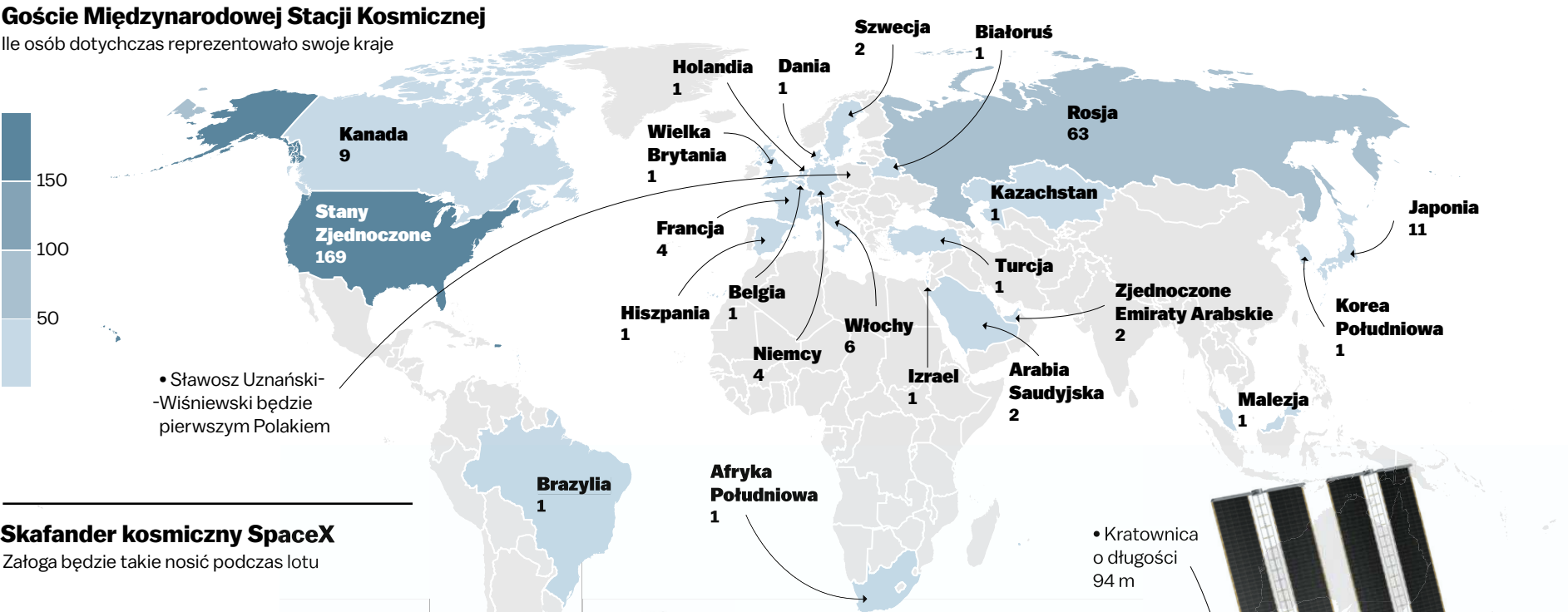
10.06.2025 r. o 14:22

czasu środkowoeuropejskiego letniego

ŹRÓDŁA: NASA, SPACEX, AXIOM SPACE, PL IN SPACE, NATIONAL GEOGRAPHIC, WIKIPEDIA,

Goście Międzynarodowej Stacji Kosmicznej

Ile osób dotychczas reprezentowało swoje kraje



Skafander kosmiczny SpaceX

Załoga będzie takie nosić podczas lotu

• Hełm drukowany w technologii 3D. Zawiera mikrofony i zawory regulujące ciśnienie w kombinezonie

• Przyłbica z szerokim polem widzenia



• Rękawice zaprojektowane tak, aby były łatwe w użyciu, gdy kombinezon jest pod ciśnieniem, a także umożliwiły obsługę ekranów dotykowych dotykowych Dragon

• Zamki błyskawiczne na nadgarstkach pozwalają astronautom używać gołych rąk do sterowania. Suwaki biegną również wewnątrz nogawek, od jednej kostki do drugiej

• Zewnętrzna warstwa z materiałów ognioodpornych. Szare części to różne wersje Nomexu, a biały materiał to tkanina teflonowa

Międzynarodowa Stacja Kosmiczna

• Radiator podsystemu odprowadzania ciepła

• Moduł serwisowy

• 15-metrowy wysięgnik

• Laboratorium kosmiczne Columbus

• Moduł 2 (Harmony)

• Panele fotowoltaiczne o długości 73 m na obu podłużnie ustawionych macierzach dostarczają 75-90 kW mocy

• Miniaturowy moduł badawczy

• Główny amerykański moduł laboratoryjny Destiny

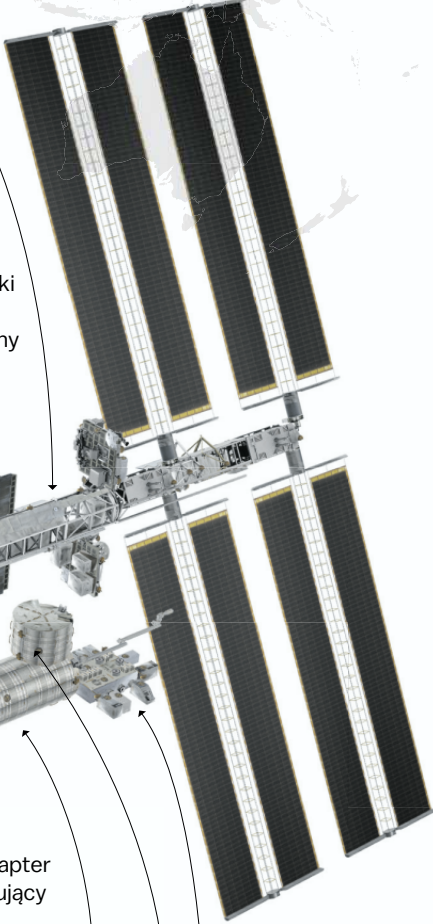
• Adapter dokujący

• Hermetyczny adapter cumowniczy

• Główny, hermetyczny segment japońskiego laboratorium naukowego Kibō

• Hermetyczny moduł magazynowy, będący integralną częścią Kibō

• Unikalna, zewnętrzna platforma (Terrace) modułu Kibō



• Załoga misji Ax-4 przeprowadzi na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej łącznie ok.

Pierwszy Polak w kosmosie



Mirosław HERMASZEWSKI
inżynier pokładowy

ur. 15 września 1941 r.
zm. 12 grudnia 2022 r.

Data wylotu w kosmos:
27 czerwca 1978 r.

• W 1978 r. w ramach radzieckiej misji Interkosmos poleciał na statku kosmicznym Sojuz 30 na stację Salut 6. Podczas misji badał:

- krystalizację półprzewodników w mikrograwitacji
- teledetekcję – jednoczesne obrazowanie Polski z orbity i z powietrza
- własny organizm i rośliny w warunkach kosmicznych

60

badan i eksperymentów naukowych, z których 13 przygotowały polskie instytuty

A żona się o pana nie martwi? Loty w kosmos to sport ekstremalny.

– Nie tyle sport ekstremalny, ile ekstremalna ścieżka kariery. To, co też mnie z Aleksandrą połączyło, to zrozumienie dla pewnej idei i pewnego poświęcenia, by zrobić coś dobrego i pchnąć sprawy do przodu.

Aleksandra sama spędziła wiele lat w terenach objętych wojną, niosąc pomoc humanitarną. To jest jej główne zawodowe doświadczenie. Ja byłem naukowcem, inżynierem, budowałem, starałem się rozwijać pewną dziedzinę nauki. Po wyborze do grupy astronautów moje życie się zmieniło o 180 stopni, mniej więcej w tym samym momencie zmieniło się życie Aleksandry, gdy została politykiem.

Jak państwo się poznali. Astronauta i polityczka to ludzie z różnych planet.

– Spotkaliśmy się, jak większość łodzian, na ulicy Piotrkowskiej. Tam się zobaczyliśmy po raz pierwszy, tam po raz pierwszy poszliśmy na taką pierwszą randkę. I wtedy odkryliśmy, że choć robiliśmy międzynarodową karierę w swoich dziedzinach, jeździliśmy po całym świecie, porozumiewając się w wielu językach, to jednocześnie byliśmy tak blisko siebie. Wychowaliśmy się w Łodzi, nasi rodzice mieszkali na tej samej ulicy.

Znaliście się wcześniej?

– Nie. Wyjechałem z Polski podczas studiów, a Aleksandra jeszcze jako licealistka. Liceum kończyła we Włoszech. To, że spotkaliśmy się w Łodzi, to z jednej strony niesamowity przypadek, a z drugiej strony dla nas ogromne szczęście.

Pamięta pan moment, gdy dowiedział się, że właśnie pan zostanie astronautą?

– Oczywiście. Pamiętam prezentację Korpusu Astronautów w listopadzie 2022 roku. To było wielkie wydarzenie, na które pracowałem przez trwający 18 miesięcy proces rekrutacji, a tak naprawdę przez 15 lat życia.

Tyle że wybrano mnie do korpusu rezerwowego. To wynikało z ówczesnego znaczenia Polski w Europejskiej Agencji Kosmicznej. Polska, mimo że ma wschodzący i rosnący rynek kosmiczny, była na arenie europejskiej ciągle dosyć małym graczem. Ale z ogromnym potencjałem. Miałem wtedy wrażenie, że bardzo boimy się inwestować w technologie, o których myślimy, że są poza naszym zasięgiem, zbyt dla nas zaawansowane.

Gdy się dowiedzieliśmy, że został pan astronautą rezerwowym, to pomyśleliśmy, że na lot przyjdzie panu długo poczekać. Wielu członków astronautów w głównym korpusie w kosmos leciało po 10-15 latach. A niektórzy w ogóle...

– Zdecydowało innowacyjne, wręcz nowatorskie podejście Polski. Globalny rynek kosmiczny troszeczkę się zmienił. Loty kosmiczne to już nie tylko amerykańska NASA, której w ramach misji Apollo udało się wysłać ludzi na Księżyc. Dzisiaj trwa drugi wyścig kosmiczny pomiędzy Stanami Zjednoczonymi, Europą, Chinami czy Japonią. A obok, w Europie i w USA, istnieje rynek komercyjny. I taką możliwość komercyjnego lotu w kosmos Polska wykorzystała.

Decyzja została podjęta w 2023 roku, gdy podpisano kontrakt między polskim rządem a Europejską Agencją Kosmiczną. Negocjacje trwały kilka miesięcy, kolejny rok trwało kompletowanie załogi, żebyśmy mogli zacząć szkolenie. Minał kolejny rok i jedziemy na wyrzutnię startową...

Za lot w kosmos Polska zapłaci setki milionów złotych. Politycy przyszli do pana czy to pan musiał iść do nich, mówiąc: „Wygrałem rekrutację, mam realną szansę – pomóżcie, by Polak znowu poleciał w kosmos”?

– To niestety nie działa w tak prosty sposób. Z jednej strony pojawiło się zrozumienie i gotowość po stronie decydentów, ale z drugiej – moją rolą było jak najlepiej

Jako student, zamiast chodzić na dyskoteki, szukałem międzynarodowych staży.

Gdy pisałem doktorat, to wieczory i noce spędzałem pisząc artykuły na konferencje. A kolegom i koleżankom kwitło życie towarzyskie

wykonać swoją pracę i budować społeczne poparcie. Trzeba było przekonywać, że to wyjątkowa szansa, którą warto wykorzystać – nie tylko dla mnie, ale też dla całego kraju.

Podczas polskiej misji będziemy mieli możliwość testowania i przeprowadzania badań naukowych z wielu różnych dziedzin. To będzie nowatorskie wsparcie dla polskich instytutów i polskich przedsiębiorstw, które będzie je stymulować. Pozwoli przyciągnąć nowe kadry do sektora kosmicznego, których dzisiaj tak brakuje. Odkąd dwa lata temu Polska zdecydowała się zainwestować w załogową misję kosmiczną, cała branża odetchnęła trochę z ulgą, dostała zastrzyk finansowy, który bardzo dobrze wykorzystuje.

Po misji trzeba będzie utrzymać to zainteresowanie i dalej budować kosmiczny rynek, by rzeczywiście stać się znaczącym graczem, a nawet liderem. Bo każda globalna gospodarka będzie się rozwijać w stronę kosmosu. Nasza gospodarka przez ostatnie 30 lat rozwinęła się niesamowicie, ale przede wszystkim bazowała na ekonomii opartej na usługach. Dzisiaj stoimy przed unikalną szansą, żeby zmienić trochę paradygmat rozwoju ekonomicznego Polski i zbudować gospodarkę opartą na przemyśle i o technologii, wyprzedzając dużo większych graczy na rynku. W Polsce nadal mamy głód innowacji i budowania, rozwijamy się, pędzimy szybciej niż inne kraje.

Co pan weźmie ze sobą na pokład?

Słyszeliśmy, że każdy kosmonauta ma limit 10 kilogramów na osobisty bagaż. – 10 kilogramów może ważyć bagaż całej załogi. I to są głównie przedmioty potrzebne do eksperymentów naukowych, na naszą technologię. Bagaż osobisty jest dużo, dużo mniejszy. Wezmę kilka zdjęć i obrączki ślubne: moją i mojej Aleksandry. To ma symbolizować, że zabieram też ją w tę misję. Lot ostrzegamy jako naszą wspólną wyprawę.

A co będzie pan w kosmosie jadł?

– Na przykład pierogi liofilizowane.

Poważnie? Jak takie pierogi smakują?

– Całkiem nieźle, choć nie tak, jak te domowe gotowane, świeże pierogi prosto z garnka. Zachęcam wszystkich do spróbowania liofilizowanego jedzenia. Zabiera się je nie tylko w kosmos. Jadłem je na przykład na ekspedycjach w górach, sięgają po nie żeglarze na oceanach. Jest lekkie, a ma sporą wartość kaloryczną. Wystarczy dolać wody i później zjeść.

A Węgier i Hindus – koledzy z załogi – też będą jeść liofilizowane dania swoich narodowych kuchni?

– Tego nie wiem. Choć astronauta może rzeczywiście samemu skompletować część swojego jadłospisu. Pierogi są mi bliskie, bo mieszkając we Francji, Niemczech, Wiel-

kiej Brytanii czy w Stanach Zjednoczonych, w każdym z tych krajów lepiłem właśnie pierogi i częstowałem nimi znajomych, by pokazać im polską kulturę i kuchnię. Pomyślałem, że to samo zrobię na orbicie. Ale przygotowanie liofilizowanych pierogów sprawiło nam dosyć dużo problemów. Gotowaliśmy je z firmą Lyofood i restauratorem Mateuszem Gesslererem.

Pierogi nie liofilizują się tak łatwo jak bardziej jednoodrodne potrawy. Składają się przecież z ciasta i farszu. Podczas pierwszych prób... wybuchały. Tak jak to przy lotach w kosmos bywa, musieliśmy pokonać pewne problemy technologiczne.

Oby pierogi nie wybuchły wam na pokładzie...

– Już nie wybuchają. Znaleźliśmy sposób na wtłaczanie wody do farszu przez ciasto.

Proszę opowiedzieć o eksperymentach, które będzie pan przeprowadzał na stacji. Które z nich budzą pana największe zainteresowanie?

– Mamy bardzo rozbudowany komponent naukowo-technologiczny i moim zdaniem spośród wszystkich uczestników misji to właśnie Polska jest najlepiej przygotowana. W dużej mierze to efekt współpracy z Europejską Agencją Kosmiczną, która udziela nam ogromnego wsparcia technologicznego. Co istotne – praktycznie każda firma i instytut zaangażowane w nasze eksperymenty wysyłają sprzęt kosmiczny po raz pierwszy.

Budowa takiego sprzętu to zmuszony proces: wymaga wielu testów, dokładnego przygotowania i spełnienia rygorystycznych wymogów formalnych, zwłaszcza jeśli chodzi o dokumentację. Ale wszystko jest gotowe – część urządzeń poleciała już na stację w ramach wcześniejszej misji cargo.

Nasz program badawczy obejmuje dwie główne dziedziny: tak zwane nauki o życiu oraz fizykę i inżynierię. Na pokład Międzynarodowej Stacji Kosmicznej zabieramy między innymi detektory promieniowania, które są obecnie komercjalizowane przez polską firmę. Do tego dochodzą systemy pomiaru szumu – zarówno środowiskowego, jak i technicznego – które umożliwią ocenę warunków, w jakich przebywają astronauta, oraz zdalną diagnostykę systemów. Zabieramy też platformę obliczeniową firmy z Gliwic, służącą do badania algorytmów sztucznej inteligencji w warunkach kosmicznych – to dziedzina, która rozwija się w zawrotnym tempie. Jeden z eksperymentów będzie dotyczył nanomateriałów wykorzystywanych w sensorach do monitorowania funkcji życiowych.

Poza tym każdy astronauta sam staje się obiektem licznych badań medycznych. Polskie instytucje naukowe uzyskają dostęp do wyników dotyczących między innymi fizjologii, psychologii, mikrobiomu jelitowego, ekspresji i metylacji DNA. Szczególnie cze-

kam na eksperyment badający aktywność mózgu w warunkach mikrogravitacji – będziemy wykorzystywać specjalny czepek rejestrujący fale mózgowe za pomocą technologii bliskiej podczerwieni. To badania o ogromnym potencjale.

A gdy pan wylądzie na Ziemi, to co potem? Emerytura?

– Życie astronauty wiąże się z dużą niepewnością – tak naprawdę nic nie jest pewne aż do ostatniego odliczania i samego startu. Do końca nie wiadomo, czy rzeczywiście się polecą. Tak samo niepewna jest przyszłość po misji. Na pewno chcę pozostać związany z promocją polskiego przemysłu kosmicznego i nauki, ale konkretnych planów jeszcze nie mam. Zawsze mogą też wrócić do CERN-u, gdzie pracowałem wcześniej.

Chciałby pan polecieć jeszcze raz w kosmos?

– Na takie pytanie każdy astronauta odpowie twierdząco.

A co zrobić, żeby rozkręcić tę kosmiczną pasję w młodych Polakach? Żeby ustawiili się w kolejkach na uczelnie na kierunki inżynierskie i kosmiczne?

– Przede wszystkim musimy systemowo zbudować finansowanie sektora kosmicznego i innowacji, żeby stworzyć realne warunki do rozwoju technologii w Polsce. Bez tego nie ruszymy naprzód. Ale mam też nadzieję, że mój lot pokaże, że jesteśmy w stanie zrealizować misję kosmiczną, nawet dysponując stosunkowo niewielkim sektorem.

Naprawdę nie mamy się czego wstydzić na tle technologicznego świata. Technologie kosmiczne rozwijają się niezwykle dynamicznie i mają natychmiastowy, globalny zasięg. Wystarczy spojrzeć na przykład: jeśli mamy na orbicie satelitę obserwacyjny czy komunikacyjny, zyskujemy dostęp do całej powierzchni Ziemi. SpaceX i system Starlink pokazały, jak potężne są takie możliwości.

W Polsce coraz mocniej dojrzewa przekonanie, że mamy inżynierski potencjał, który możemy wykorzystać nie tylko jako podwykonawcy, ale też jako twórcy własnych rozwiązań – konkurujący na europejskim, a nawet globalnym rynku.

Co mogłoby być naszą specjalnością? Polska może budować rakiety i satelity czy może coś mniejszego?

– Powinniśmy aktywnie prowadzić badania i proponować własne rozwiązania w wielu dziedzinach. Ale jednocześnie musimy wybrać obszar, w którym naprawdę możemy stać się liderami. Rynek innowacji wciąż napędzany jest przez eksplorację kosmosu – to ona pobudza naszą wyobraźnię, pozwala sięgać dalej i zobaczyć więcej.

Eksploracja? Czyli lot na Marsa?

– Między innymi. Eksploracja – nie tylko załogowa, ale i robotyczna – zaspokaja naszą fundamentalną potrzebę odkrywania czegoś nowego. To bardzo silnie wiąże się z emocjami. Tysiące lat temu żyliśmy w jaskiniach i widzieliśmy tylko to, co znajdowało się tuż przed wejściem. Ale w pewnym momencie ktoś zdecydował się ruszyć dalej – przejść przez dżunglę, wspiąć się na góry i poznać świat.

Dziś kosmos jest kolejną granicą. Możemy dowiedzieć się o nim znacznie więcej. On nas inspiruje, choć często pochłonięci codziennością, zapominamy spojrzeć w gwiazdy.

Gdyby pan dostał od Elona Muska propozycję, żeby polecieć na Marsa jako jeden z pierwszych kolonistów, poleciałby pan? Czy raczej jednak wybrał życie na Ziemi?

– Mars jest trochę za daleko. Podróż mimo wszystko dzisiaj zajmuje sześć do ośmiu miesięcy. Potem trzeba czekać dwa lata na odpowiednie ułożenie się planet, by wrócić. Podróż zajęłaby może nawet trzy lata. Dla mnie to za dużo. Nie wiem, czy żona by mnie puściła. Myślę, że Księżyc jest bardziej osiągalny. ●

SPÓŁECZEŃSTWO



**PiS, KO i Lewicę
łączy ślepe
uwielbienie
dla fińskiego
modelu edukacji**

SZKOŁA ZIMNA,
czyli FINSKA

FOT. BARTOSZ BANKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Pracujesz 10 lat według określonych wymogów.

Wpada nowy szef, wprowadza nowe cele, daje wpis z naganą do akt i leci ci po pensji. Uznajesz, że to jest fair, bo „kiedyś to było gorzej”, czy pożalisz się na mobbing?

Dominika Wantuch

Dlaczego, jeśli starszemu pokoleniu było trudno i źle, oczekujemy, że młodym ludziom ma być tak samo? Jeśli życie dało nam po dupie, to naprawdę chcemy, aby już na starcie dawało też młodym? Żeby już pod koniec dzieciństwa i u progu dorosłości – jako ósmoklasiści oraz licealiści – dowiedzieli się, że nie są wystarczający, że nie dali rady?

„Finlandia, która osiąga najlepsze wyniki w edukacji, testów nie potrzebuje” – mówiła w 2016 r. ministra edukacji Anna Zalewska.

Zapowiadając w pierwszych miesiącach nowego rządu PiS „wielką reformę edukacji”, przekonywała, że „liceum nie może być kursem przygotowującym do matury”, a egzaminy nie mogą być sensem edukacji. „Trzeba odejść od testów” – wzywała.

10 lat później na fiński model edukacji powołuje się kolejny rząd, tym razem Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi i Lewicy.

W styczniu 2025 r. przewodnicząca Komisji Edukacji, Nauki i Młodzieży, była minister edukacji, posłanka KO Krystyna Szumilas podkreślała: „Podoba mi się fiński sposób myślenia o edukacji. Przede wszystkim to, że każdy uczeń, bez względu na umiejętności, możliwości i wiedzę ma prawo do uzyskania pomocy w pokonywaniu trudności i rozwijaniu swoich talentów. Nie poza szkołą, ale w szkole. Nie wybrani, ale potrzebujący” – tłumaczyła.

I rozwijała: „Marzę, by jak w fińskiej szkole, polski nauczyciel miał swobodę doboru treści do danego tematu. Marzę o tym, aby jak w fińskiej szkole, polski uczeń miał możliwość korzystania z pomocy i był traktowany równo, bez względu na swoje możliwości czy ograniczenia”.

W kwietniu do fińskiego modelu odwołała się z kolei ministra edukacji Barbara Nowacka. Pytana o pomysł dwóch nowych przedmiotów – edukacji obywatelskiej i edukacji zdrowotnej – oraz o zmiany w lekcjach wuefu deklarowała: „Wszyscy mówią, spójrzcie na Skandynawię, fiński model szkoły, Estonia, jak wspaniale – tam dzieci wychodzą regularnie na zewnątrz”.

Słowa realizującej bogoojczyźnianą agendę Zalewskiej i odwołujących się do aktualnej wiedzy o pedagogice i psychologii

Szumilas z Nowacką dzieli niemal dekada, dwie kampanie parlamentarne i całkowicie odmienne poglądy polityczne.

Łączy ślepe uwielbienie do fińskiego modelu edukacji. Dlaczego ślepe? Bo słuchając przez lata polityków różnych opcji – wszak nie tylko Zalewska, Szumilas i Nowacka przywoływały ten wzór do naśladowania – mam wrażenie, że oni kompletnie nie rozumieją modelu, na który się powołują.

Podstawową zasadą w fińskiej szkole jest szacunek i zaufanie do nauczyciela, a największą wartością – dziecko i jego rozwój.

W Finlandii nie ma ocen, egzaminów, kucia na pamięć, powtarzania wzorów, rozwiązywania testów. Jest więcej swobody, kreatywności, inwencji nauczycieli. Oraz zajęć, które mają najpierw pomóc w wyborze ścieżki życiowej, a potem odnaleźć się na rynku pracy i w dorosłym życiu.

Polski system edukacji to system naczyń niepołączonych. Chaotyczny, przestarzały, zabijający kreatywność, obciążający, niedostosowany do wyzwań współczesnego świata. Obraca się wokół dwóch egzaminów, które przesądzą w pewien sposób o życiu, a pomiędzy nimi jest wielka czarna dziura.

A do tego system niedofinansowany. Nie ma pieniędzy, zaufania, miejsca na kreatywność i indywidualizm. Ani uczniów, ani nauczycieli. Oczywiście zdarzają się tacy, którzy próbują zmienić szkoły na własną rękę. Ale to jednostki, każdy z nich to lkar lejący pod wiatr pruskiego modelu. Wciąż żywego i zżerającego szkoły od środka jak rak.

Bo jak wygląda polska szkoła?

1 września każdego roku to samo – szalona gonitwa z materiałem. Brakuje nauczycieli? Dzieci mają luki, trudności, nie nadążają, nie rozumieją? Trudno, najważniejsza jest realizacja podstawy programowej. Sprawdziany, odpytywanie, by na koniec semestru zgromadzić odpowiednią liczbę ocen do wystawienia oceny końcowej.

W podstawówce jeszcze jakoś to hula – wymagania są mniejsze, dzieci młodsze, czasu trochę więcej. Nawet jeszcze nie trzeba nadrabiać korkami.

Ale w ósmej klasie, a nierzadko już w siódmej się zaczyna.

Nerwowe spoglądanie na rankingi liceów. Obsesyjne wyliczanie średnich. Kucie pod test ósmoklasisty. I korepetycje – z listami kolejkowymi do polecanych pocztą pantoflową korepetytorów, często nauczycieli, tworzonymi z wielomiesięcznym wyprzedzeniem – które są jedyną szansą na uzyskanie przepustki do „rankingowego” liceum.

Dlaczego jedyną? Bo w szkole, w klasie nie ma czasu na indywidualne spojrzenie na każdego ucznia, pochylene się na nim, wyjaśnienie tego, czego nie rozumie. Jest „podstawa”, którą „trzeba realizować”, a do tego konieczność wykucia określonych zagadnień na test ósmoklasisty.

13-, 14-latki pracują więc na półtora etatu. Po trwających do popołudnia lekcjach biegają na korepetycje, potem siadają nad zadaniami domowymi. Codziennie to samo.

Gdzie czas na bez troskę, zabawę, rozwój pasji? Gdzie czas na kształtowanie czło-

Szkoła marzeń

• „Szkoła marzeń” to nowa akcja „Wysokich Obcasów” i „Wyborczej”. Jej celem jest zmiana polskiej szkoły na lepszą i bardziej przyjazną dzieciom. Taką, w której jest miejsce na indywidualizm i rozwijanie pasji, a nie ma przyzwolenia na hejt i przedmiotowe traktowanie drugiej osoby. Szkołę, która uczy współpracy, krytycznego myślenia i poruszania się we współczesnym świecie, również tym cyfrowym. Szkołę, w której nauka jest równie ważna jak dobrostan dzieci. O recepty na zmianę będziemy pytać ekspertki i ekspertów od edukacji i zdrowia psychicznego oraz rodziców i dzieci. Czekamy też na wasze listy. Piszcie: listy@wysokieobcasy.pl

• Sponsorem akcji jest Toyota, która od 20 lat wspiera cykle artykułów związane z rozwojem dzieci i młodzieży

wieka ciekawego świata, otwartego, pewnego siebie? Przyszli obywatele znikają gdzieś w gąszczu oczekiwań, testów, presji, egzaminów i punktów, które zaświadcza o tym, że młody człowiek się nadaje albo nie.

Wreszcie nadchodzi pierwszy „życiowy” sprawdzian – egzamin ósmoklasisty. Choć lepiej by było powiedzieć: pierwszy bezrefleksyjny test, który jak w soczewce skupia ułomności polskiej szkoły, niedopasowanie do realiów teraźniejszości i wyzwań przyszłości, anachroniczne założenia, że ze szkoły wychodzimy nie z umiejętnościami, lecz z zestawem wiedzy teoretycznej.

Dlatego na przykład przed egzaminem ósmoklasisty kują wzory pisania wypracowań. Tak – w polskiej szkole uczniowie uczą się pisać rozprawki, opowiadania i wypracowania nie w sposób kreatywny, inteligentny, twórczy, lecz zgodnie z określonym wzorcem, punkt po punkcie, argument po argumentie. Gdy potem na egzaminie pojawiają się pytania podchwytliwe, na inteligencję albo wymagające krytycznego, samodzielnego myślenia, uczniowie panikują. Tak było w tym roku.

U progu wejścia w kolejny etap pruskiego szkolnictwa absurdów jest więcej np. ten, że uczniowie już w wieku 14 lat muszą się zdefiniować na przyszłość.

Bo tym jest wymóg wyboru profilu klasy licealnej. Nic to, że w tym wieku często trudno wybrać jaki film lub lody lubi się najbardziej, a co dopiero, czy chce się być chemikiem, matematyczką, historykiem, a może geografką. Z całą świadomością sytuacji rynkowej absolwentów, możliwości kariery naukowej i perspektyw danej dziedziny...

To nieistotne, że ich wybory i zainteresowania często dopiero się kształtują. To nieistotne, że nawet my, dorośli, włącznie z dziennikarzami, analitykami, ekspertami i profesorami, nie wiemy, która dziedzina wiedzy i które zawody będą potrzebne za dekadę czy dwie, a które wypchnie do lamusa sztuczna inteligencja. 14-latki, które dopiero się dowiadują – albo nie dowiadują wcale, jeśli nie miały szczęścia urodzić się w domu z tak zwanym kapitałem kulturowym – o tych wszystkich pytaniach i zmianach muszą podjąć decyzję determinującą kolejne lata ich życia.

Co więcej, przecież egzamin ósmoklasisty jest z polskiego, matematyki i angielskiego. Jednak na podstawie wyników można wybrać na przykład klasę informatyczną, biologiczno-chemiczną czy geograficzną, choć z tych przedmiotów nikt na wejściu do liceum predyspozycji ucznia nie sprawdza.

A dwa miesiące po egzaminie ósmoklasisty przychodzi kolejny szok – szkoła średnia.

Już w pierwszej klasie wielu uczniów zaczyna chodzić na korepetycje. Bo przeskok po podstawówce, bo „profesorowie” wymagający, bo przecież za cztery, trzy, dwa lata, już za rok matura.

Oraz jeden z nielicznych spójnych z podstawówką elementów polskiego systemu edukacji: podstawa programowa. Trzeba gonić z materiałem, bo trzeba realizować podstawę. Nie rozumiesz zagadnień z matematyki, chemii czy fizyki? Bo masz jakąś zaległość z podstawówki. Bo byłaś chora i choć sumiennie brałaś lekcje od koleżanek, im też coś z lekcji umknęło. Albo bo po prostu masz taki system nerwowy, że – jak całe mnóstwo osób – nie możesz się skupić w hałasie i potrzebujesz więcej czasu? Trudno, musisz radzić sobie sam, przecież 28 czy 30 osób w klasie nie będzie na ciebie czekać. Nie ma czasu, podstawa programowa jest do zrealizowania! Idziesz więc na korki. Rodzice płacą.

Ba, nie tylko za korepetycje z trudnych przedmiotów ścisłych – na maturze z biologii, WOS-u czy historii trzeba być bardzo precyzyjnym. Nie wystarczy, że wykujesz na blachę. Wystarczy jedno źle użyte słowo, by dostać 0 punktów, bo mamy klucze i algorytm, które nie wybaczą błędów.

Więc odpracowujesz dodatkową godzinę czy dwie dziennie (dojazdu i powrotu do domu nie licząc) po ośmiu godzinach wyczerpującego – dość powiedzieć, że mózg w trybie „leniwy” odpowiada za jedną piątą dziennego zużycia energii – szkolnego etatu.

Mówisz, że nie dajesz rady, bo nie wiesz, jak wcisnąć korki pomiędzy prace domowe a naukę do niemal codziennych kartkówek i testów, niemal codziennych i organizowanych również z przedmiotów, no cóż, z perspektywy matury drugorzędnych, w rodzaju „biznes i zarządzanie”? Nie dość się starasz. Jesteś niedojrzały. W twoim wieku powinno się już umieć gospodarować czasem.

Mamy więc system, w którym uczniowie chodzą do szkoły, a potem na korepetycjach uczą się do matury. Choć „uczą się” to za dużo powiedziane – wielu na ostatniej prostej przed zbliżającym się egzaminem już nawet nie próbuje czegoś zrozumieć, tylko rozwiązuje zadania „pod klucz”. Bo nie chodzi o to, by rzeczywiście się nauczyć, ale by zdać. Wyrobić procentową normę.

Wreszcie matura. A właściwie trwający miesiąc maraton maturalny. W tym roku zaczął się w poniedziałek, sprawiając, że część maturzystów miała bite pięć dni egzaminów, weekend przerwy i kolejne egzaminy rozłożone na następne dwa tygodnie. Najpierw trzy dni podstaw – od poniedziałku do środy, w czwartek angielski rozszerzony i dwujęzyczny, a w piątek rozszerzona biologia.

W tym roku właśnie ona wzbudziła najwięcej emocji.

„Po latach wytężonej pracy Centralna Komisja Egzaminacyjna wspaniałomyślnie organizuje młodzieży egzamin w piątek – jako PIĄTY egzamin pisemny w jednym tygodniu. Po czterogodzinnym polskim, matematyce i dwóch egzaminach z angielskiego (znakomita większość licealistów wybiera angielski rozszerzony, który jest czwartym egzaminem w kolejkę CKE) młodzi ludzie zasiedli do «odświeżonego» arkusza z biologii” – pisała w liście do „Wysokich Obcasów” matka maturzystki.

A że sama jest nauczycielką, to zwróciła uwagę na niuanse, które statystycznym rodzicom umykają, ale są kluczowe.

„Odświeżenie – wychwalane euforycznie przez niektórych ekspertów – polega na całkowitej zmianie koncepcji arkusza – faktycznie wymaga on myślenia, analizowania bardziej niż poprzednie wersje, zawiera nowy typ zadań (rozstrzygnij i uzasadnij). Wielka szkoda jedynie, że arkusz matury próbnej nie zawierał żadnych takich zadań – był typowy i powieliał zadania z poprzednich lat pod względem formy i treści”.

„Młodzi ludzie po czterech egzaminach pisemnych podeszli do piątego – mocno wymagającego, w nowym formacie i wymagającego mocy neuronowych niestety mocno już zużytych przez cztery poprzedzające dni. Naprawdę egzamin z biologii nie mógł odbyć się w innym dniu?” – kończy matka nauczycielka.

OGLOSZENIE

Kraj/34378222



SZKOŁA MARZEN

ORGANIZATORZY AKCJI

SPONSOR AKCJI
OD 20 LAT

PATRONAT MEDIALNY

wyborcza.pl

wysokieobcasy.pl



GAZETA.PL

Z komentarzy pod listem mogła się dowiedzieć, że „przed wojną zdawało się wszystko jednego dnia, a teraz płacz, bo wymagają myślenia”. Że „uczeń liceum ma cztery lata na to, aby przygotować się do egzaminu maturalnego, i egzamin ten ma być przedsmakiem życia dorosłego”. Że czytelnicy skończyli studia, „przedzierając się nie raz przez bardzo trudne sesje egzaminacyjne”, a ich „rekord to 13 egzaminów i zaliczeń w jednej sesji – уроki studiowania dwóch kierunków naraz”, ale cóż, „postęp i progres wynika z potrzeby dostosowania się do trudnych warunków. Dzięki tym mechanizmom wyewoluowaliśmy z jednokórkowców w złożone i myślące formy życia”. Że „można usuwać dzieciom wszystkie przeszkody. Ale wtedy nic nie osiągną”. No i „litości, osoba, która ma ambicję być lekarzem, piątego dnia nie myśli? Operacji też nie zrobi?”.

Czytałam je w osłupieniu, zastanawiając się, czy dorosły człowiek jest w stanie pracować zawodowo od poniedziałku do piątku na najwyższych obrotach, cały czas utrzymując skupienie i wydajność? To trudne, dla wielu niewykonalne. Ale tego oczekujemy od osiemnastolatków.

Matka maturzystki nie kryła w liście, że jej córka wyszła z egzaminu z biologii z plączem. Podobnie wielu maturzystów w tym roku zareagowało na rozszerzoną maturę z matematyki. I znów problem był ten sam: pojawiły się zadania, których wcześniej nie rozwiązywali, bo nie pojawiały się ani na próbnej maturze, ani w arkuszach z poprzednich lat.

„Uczysz się, rozwiązujesz testy, zadania z poprzednich lat, a potem dostajesz kompletnie coś innego. Jak więc można się do tego przygotować?” – skarżyli się młodzi ludzie po matematyce. Na co dorośli odpowiedzieli im, że „ale za to w TikToku są biegli. Może TikTok da im robotę?”.

Mniej więcej tego samego dowiedziałam się, gdy skomentowałam na łamach „Wysokich Obcasów” maturę z matematyki.

Napisałam: „Wiem, że egzamin powinien być trudny, bo to pozwala różnicować poziom wiedzy i uniknąć sytuacji, w której większość uczniów osiąga na przykład 70 czy 80 procent. Ale powinien być też ujednolicony, wystandaryzowany, na podobnym poziomie w kolejnych latach. Bo czym innym jest trudny egzamin, a czym innym jest egzamin, z którego tak wielu uczniów wychodzi z płaczem”.

Otrzymałam dziesiątki komentarzy. Jedni wyśmiewali „dzisiejszą młodzież”, któ-



FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jeśli przez osiem lat podstawówki, a potem przez kolejne cztery szkoły średniej nie uczymy młodych ludzi samodzielnego, kreatywnego myślenia, tylko rozwiązywania zadań „pod klucz”, to na jakiej podstawie mamy prawo oczekiwać kreatywności na zmienionej bez zapowiedzi maturze?

ra zbyt wiele oczekuje, chciałaby prostych rozwiązań i nie uczy się, bo gdyby się uczyła systematycznie i regularnie... Inni przekonali, że matura wcale trudna nie była, bo oni od wielu lat co roku ją rozwiązują. Jeszcze inni wzruszali ramionami, że „każdy z nas to przerabiał, więc o co tyle płaczu”, „że kiedyś to było gorzej”...

Oczywiście podziwiam i gratuluję zająkowiakom rozwiązującym co roku z ciekawości lub dla przyjemności arkusze maturalne. Sama bym tak chciała. Pragnę jednak zauważyć, że matura, nawet rozszerzona, to nie jest konkurs ani olimpiada tematyczna przeznaczona tylko dla najwybitniejszych uczniów. Tak jak i studia, na które osiągnięcia z matur są jedynym kryterium przyjęcia, nie są zarezerwowane tylko i wyłącznie dla wąskiego grona geniuszy.

Tymczasem brak standaryzacji matur przy jednoczesnej możliwości jej powtarzania powoduje, że na przykład maturzystom z lat poprzednich może być łatwiej dostać się na wymarzoną uczelnię niż tym, którzy są równie bystrzy i uczyli się równie zajądła, ale padli ofiarą niespodzianek CKE. Czy to jest merytoryczne? Co to ma wspólnego z obiektywną, niechby i sparаметryzowaną oceną wiedzy i umiejętności?

A przede wszystkim matura to nie jest jasko niespodzianka. Jeśli przez osiem lat podstawówki, a potem przez kolejne czte-

ry szkoły średniej nie uczymy młodych ludzi samodzielnego, kreatywnego myślenia, tylko rozwiązywania zadań „pod klucz”, to na jakiej podstawie mamy prawo oczekiwać kreatywności na maturze? Nasze dzieci czy wnuki dostosowały się do wymogów, które im narzuciliśmy.

Przełożmy to na dorosłe, zawodowe życie.

Pracujesz przez 10 lat po osiem godzin według określonego systemu i schematu. Wiesz – bo tak jest zapisane w regulaminie firmy i wszyscy przełożeni codziennie ci to jasno komunikują – że twoja obecna prawnicza będzie weryfikowała nie twoje horyzonty intelektualne czy elastyczność w myśleniu, tylko czy przyswoiłeś wszystkie schematy i umiesz działać według procedur. A potem nagle wpada nowy szef, z dnia na dzień wprowadza nowe porządki, nowe wymagania, nowe cele, opieprza cię, że się nie dostosowujesz i w ciągu kilku dni ich nie zrealizowałeś, daje wpis z naganą do akt i leci ci po pensji.

Uznajesz, że to jest fair, bo „każdy z nas to przerabiał”, „kiedyś to było gorzej”, a „postęp i progres wynika z potrzeby dostosowania się do trudnych warunków”? Czy jednak pożałujesz się na mobbing...

No właśnie. Ale od osiemnastolatków oczekujemy, że bez szemrania się dostosują

i jeszcze podziękują, bo przecież pokolenie dzisiejszych pięćdziesięcio- czy sześćdziesięciolatek „miało gorzej”.

Takie komentarze smucą mnie i jednocześnie wkurzają. Są jak żywcem wyjęte z memów o starym, który siedł do szkoły osiem kilometrów przez śnieżne zasy w sandałach, taszcząc dziesięciokilogramowy plecak.

Dlaczego, jeśli starszemu pokoleniu było trudno i źle, oczekujemy, że młodym ludziom ma być tak samo? Czy jeśli życie dało nam po dupie, to naprawdę chcemy, aby już na starcie dawało też młodym? Żeby już u progu dorosłości dowiedzieli się, że nie są wystarczający, że są za głupi, że nie dali rady, nie sprościli?

Tak przecież działała niesławna „fala” w wojsku za czasów powszechnego poboru, przed którą drżało wielu dzisiejszych komentatorów: „dziadki” pastwili się nad „kotami”, upokarzali młodych poborowych, bo sami wcześniej przeszli to samo.

Mam znajomą, która kilka lat temu urodziła. Nie chciała iść na długi urlop wychowawczy, rodziców ma daleko, ale teściową w tym samym mieście. Gdy poprosiła ją o pomoc przy dziecku, teściowa odpowiedziała: „Ja sobie radziłam sama i nikt mi nie pomagał. Zobacz, jak to jest trudno mieć dziecko, ile się człowiek musi namęczyć, jak jest sam”. Znajoma w odpowiedzi zapytała, czy w związku z tym ma używać tetrowych pieluch i prać je w misce, aby w 100 procentach odczuć trud macierzyństwa.

Dlaczego przywołuję tę historię? Bo doskonale oddaje boomerskie porównania „starego” pokolenia do „młodego”.

Trafnie odnosi się do nich ktoś, kto niewątpliwie jako młody człowiek spełniał oczekiwania moich komentatorów, starał się, pracował wystarczająco ciężko i zaszedł daleko.

Keith Devlin, światowej sławy matematyk, podkreśla, że większość umiejętności matematycznych, jakie przyswoił na studiach, jest bezużyteczna.

„Wszystkie formuły i procedury, które przez stulecia stanowiły trzon uniwersyteckiego programu nauczania matematyki, zostały zautomatyzowane i są bezpłatnie dostępne” – mówi badacz i wykładowca kilkunastu uczelni, w tym Uniwersytetu Stanforda i w Heidelbergu. Jego słowa dotyczą królowej nauk, ale odnoszą się do całego systemu edukacji.

Dzisiejsza młodzież jest inna, dzisiejszy świat jest inny, wyzwania i oczekiwania się zmieniły. Tylko szkoła pozostaje taka, jaka była za czasów rodziców, a może i dziadków obecnych maturzystów. ●

REKLAMA

Kraj/34379730

”

Fascynująca opowieść pełna anegdot i znaczących detali

BASIA CZYŻEWSKA
„Vogue Polska”

POZNAJ NIEOPOWIEDZIANE DOTĄD BIOGRAFIE POLSKICH ARTYSTEK I ARTYSTÓW,
które splatają się w Paryżu z losami największych sław świata sztuki. Przenieś się do barwnego, kosmopolitycznego świata Szkoły Paryskiej.

NOWA KSIĄŻKA AUTORKI BESTSELLERÓW
Polki na Montparnassie i Tylko one

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA

publio.pl



Wydawnictwo

Agora

Portfolio przeciwdepresantów jest tak duże, że możemy szukać do skutku. Pod jednym warunkiem.

AGNIESZKA JUCEWICZ: Przychodzi człowiek do psychiatry, otrzymuje diagnozę: depresja albo zaburzenia lękowe, czyli najczęściej występujące obecnie rozpoznania. Co powinien usłyszeć, zanim otrzyma receptę na leki przeciwdepresyjne?

DR HAB. ANDRZEJ SILCZUK*: Zaczniemy od tego, że proces prowadzący do diagnozy jest często dużo dłuższy niż jedna wizyta. A leki jako jej stereotypowe zwieńczenie nie są wcale obowiązkowe.

Pierwszą rzeczą, jaka się ujawnia, gdy człowiek przychodzi do gabinetu, jest jego cierpienie. I najważniejszym zadaniem lekarza na tym etapie jest nie parcie do diagnozy, a w konsekwencji przepisania leku, tylko wykluczenie innych możliwych ścieżek diagnostycznych.

Dlatego że przy zaburzeniach psychicznych dolegliwości nie muszą bezpośrednio dotyczyć działania mózgu, tylko mogą być konsekwencją chorób tarczycy czy innych zaburzeń endokrynologicznych, insulinooporności, cukrzycy, zapalenia wątroby, przewlekłego zapalenia trzustki, anemii. I każdy z tych scenariuszy może dawać bardzo intensywne dolegliwości natury psychicznej, które...

...ludząco przypominają depresję albo zaburzenia lękowe?

– Są tak zwaną maską. Działa to też w drugą stronę. Zdarza się, że pacjenci szukają pomocy u internistów, ortopedów, neurologów, kardiologów, zgłaszając objawy fizyczne, które maskują depresję albo zaburzenia lękowe.

Czyli porządnie powinno wyglądać to tak, że psychiatra najpierw zleca badania pozwalające wykluczyć ewentualne choroby somatyczne?

– Przede wszystkim powinien być bardzo zainteresowany pacjentem, bo tylko wówczas będzie w stanie przeprowadzić odpowiednio głęboki wywiad. Innymi słowy, nie powinno nas ciekawić, jakim samochodem jeździ pacjent, tylko w jaki sposób nim jeździ, czyli jak funkcjonuje na co dzień, w jaki sposób się odżywia, jak sypia, itd. To nam pozwoli do pakietu badań podstawowych, które powinny być zlecone podczas tej pierwszej wizyty, dorzucić ewentualnie jeszcze inne.

Co się powinno znaleźć w pakiecie badań podstawowych?

– Nie ma uniwersalnego kodu, ale mogę powiedzieć, jak to wygląda u mnie.

Oprócz morfologii z rozsmazem zlecam poziom glukozy, insuliny, a dodatkowo hemoglobinę glikowaną, żeby wykluczyć zaburzenia gospodarki glukozowej. Do tego hormony tarczycy, czyli TSH, FT3, FT4, i przeciwciała przeciwciwrtarczycowe, czyli ATPO i ATG, bo w tej chwili mamy do czynienia ze stale rosnącymi przypadkami niedoczynności tarczycy różnego pochodzenia. Jest też coraz więcej raków tarczycy.

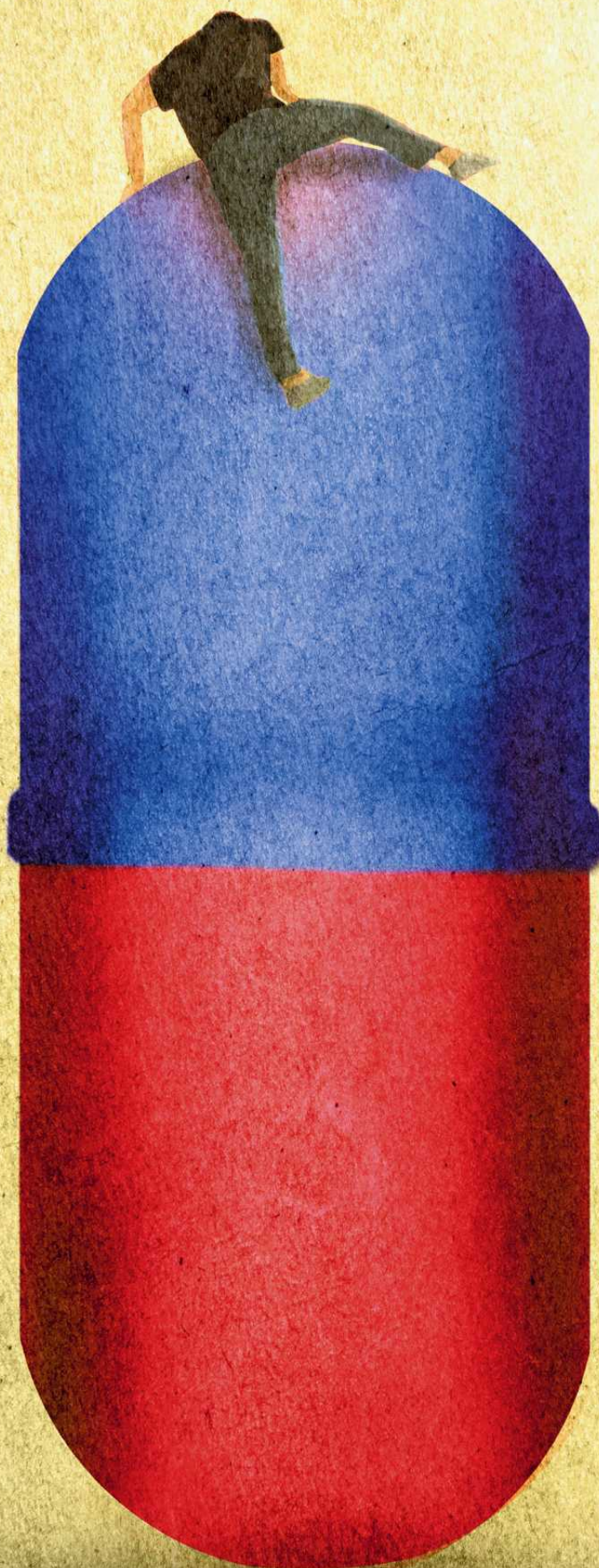
Dalej: mocznik, kreatynina, żeby ocenić funkcjonowanie nerek. Większość leków eliminowanych jest z moczem. Przy niewydolności nerek, choćby częściowej, często podejmuje się decyzję o zredukowaniu dawek leków ze względu na bezpieczeństwo pacjenta.

Wątroba?

– Oczywiście, ją też należy sprawdzić. Zlecam badania ASPAT, ALAT, czyli wskaźniki transaminazy przewlekłego obciążenia wątroby, GGTP, które pokazuje nam, czy w ostatnim czasie nie doszło do jej przeciążenia, na przykład lekami przeciwbólowymi. A do tego bilirubinę.

PRZYCHODZI CZŁOWIEK DO PSYCHIATRY

Z DR HAB. **ANDRZEJEM SILCZUKIEM**, PSYCHIATRĄ
ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**



Dlaczego ta wątroba jest taka ważna?

– Ponieważ większość leków bezpośrednio lub pośrednio jest w niej metabolizowanych.

To nie wszystko. Mężczyzn często proszę o zbadanie poziomu testosteronu po dobrze przespanej nocy, we wczesnych godzinach porannych, czyli wtedy, kiedy występuje najwyższy jego pik.

Dlatego że niski poziom tego hormonu bardzo często symuluje objawy depresji i równie często jest związany nie z dysfunkcjami układu płciowego, tylko ze stylem życia: skróconym snem, nadmiernym przetrenowywaniem i przepracowywaniem się, złym odżywianiem, używaniem alkoholu. Zmiana tych nawyków może podnieść jego poziom, co błyskawicznie przełoży się na jakość funkcjonowania i nastrój bez konieczności wprowadzenia leków przeciwdepresyjnych.

To jest standard?

– O co pani pyta?

O tak głęboką diagnostykę przed ewentualnym wprowadzeniem leków psychiatrycznych.

– Mam nadzieję, że tak. A czy bywa niespełniany przez lekarzy? Oczywiście. Natomiast zakładam, że to jest aberracja, bo teoretycznie wszyscy odebraliśmy taki sam model kształcenia.

Wielu pacjentów i pacjentek wchodzi do gabinetu na pierwszą wizytę, wychodzi z receptą na leki przeciwdepresyjne i nikt im takich badań nie zleca. Teraz przynajmniej będą wiedzieli, czego oczekiwać.

– Jest jeszcze druga strona medalu – system ochrony zdrowia dzieli się na prywatny i państwowy. W ramach tego państwowego część badań można zrobić na NFZ. Jeśli ktoś natomiast korzysta z prywatnego psychiatry, nie ma takiej możliwości. Chyba że poprosi lekarza rodzinnego o zlecenie takiego pakietu badań.

Moje doświadczenie jest jednak takie, że lekarze rodzinni często odmawiają albo redukują taki pakiet do 30 proc., mówiąc, że to wystarczy. I z tym już się nic nie robi poza tym, że można prosić pacjenta, żeby dorobił konieczne badania z własnej kieszeni.

Co jeśli fizyczne przyczyny zostały wykluczone i pacjent jednak musi skorzystać z leków przeciwdepresyjnych? Co powinien usłyszeć, zanim zrealizuje receptę?

– Jeśli już szukamy wzorcowej wizyty psychiatrycznej, to zanim pojawi się komunikat: „Chciałbym pani, panu wypisać receptę na te leki”, warto poznać opinię pacjenta na ich temat. Dlatego że są osoby nastawione albo sceptycznie, albo bardzo lękowo. Sceptyczni mają przekonanie, że wszystko, byle nie leki, bo a nuż zrobią im jakąś krzywdę. Ci bardzo lękowi, choć brzmi to podobnie, po prostu boją się, że leki ich zmieniają.

Zmieniają im osobowość, będą usypiać...

– ...uzależnią, spowodują tycie. Zresztą lek przed utyciem jest uzasadniony, bo większość leków z tej grupy koreluje ze zwiększeniem masy ciała.

Dlaczego ważne jest, by wiedzieć, jaka jest postawa pacjenta wobec tych leków?

– Bo głównym celem tej wizyty, nazwijmy ją pierwszorazową, chociaż może się ona składać z dwóch lub trzech wizyt, jest zbudowanie z pacjentem relacji terapeutycznej, czyli czegoś, co się bardzo ładnie nazywało sojuszem albo przymierzem terapeutycznym.

Chodzi o to, żeby pacjent lekarzowi zaufał?

– To ma być wzajemny rodzaj zaufania. Spotykając się z drugim człowiekiem w gabinecie, spotykamy się na płaszczyźnie biurka gabinetowego. A rolą lekarza jest, żeby nie doprowadzić do jej pochylenia, o co bardzo łatwo: siada pani po drugiej stronie, zakłada fartuch albo szykowną marynarkę, chowa się za ekranem laptopa i decyduje. A to nie o to chodzi.

Tylko o to, że przed nami siedzi osoba partnerska w procesie leczenia, która posiada atomowe narzędzia. Bo nawet jeśli ta wizyta zostanie przeprowadzona przez wirtuozerkę czy wirtuoza sztuki, to najważniejszy etap zaczyna się w momencie, w którym pacjent albo pacjentka opuszczają gabinet z czterocyfrowym kodem recepty.

Teraz zapadać będą kluczowe decyzje: czy udało mi się uzyskać odpowiedzi na wszystkie pytania? Czy propozycja leczenia mnie przekonuje? To pierwsze kilkanaście minut.

Co potem?

– Trzeba wejść do apteki, stanąć w kolejce. A może za długa? Następnie jest rozmowa z farmaceutką. A może się usłyszy: „U nas tego leku nie ma”. Jak dużą trzeba mieć motywację, żeby zamówić lek albo pójść do kolejnej apteki? Później trzeba się zmierzyć z ceną, niektóre leki są drogie. Następnym krokiem jest wzięcie tego opakowania do domu. Czasem trzeba odczekać do kolejnego dnia, bo większość leków przeciwdepresyjnych przyjmuje się rano.

Można się rozmyślić.

– Na każdym z tych etapów. Następnie trzeba wyjąć tabletkę z opakowania, ale najpierw jest ulotka. I tu decyzja: czytać, nie czytać? Znow, jeśli pacjent czyta ją sam, to jej treść może stać się dodatkowym źródłem lęku. Bo mamy tam objawy niepożądane, interakcje, środki ostrożności.

Trzeba wyjąć tabletkę z opakowania, ale najpierw jest ulotka. I tu decyzja: czytać, nie czytać?

Dlatego czasem niezłym pomysłem jest przeczytanie ulotki wspólnie, jeszcze w gabinecie. Jeśli uda się przejść i przez tę bramkę, to następną jest wyjęcie z opakowania blistra, wyluszczenie tabletki, włożenie do ust, popicie i tak... codziennie przez kolejne 15 miesięcy, na przykład. W międzyczasie są kolejne wizyty. Możliwe, że zmiany, na przykład zwiększenie dawki leku, dołączenie innych itd.

Zatrzymajmy się tu. Co pan robi, kiedy pacjent na pierwszej wizycie mówi, że bardzo się boi tego rodzaju leków?

– Jeśli ma nasilone zaburzenie lękowe, niepokój związany z farmakoterapią i niechęć do niej może być również objawem tego zaburzenia, więc to jest ważna informacja.

W sytuacji, w której pacjent wyraża taki niepokój, wątpliwości, a czasem kwestionuje ten rodzaj leczenia, bo zdarzają się też osoby, które mówią: „Ale skąd pan wie, że to zadziała?”, „Jakie są te mechanizmy dokładnie?”, „A ja czytałem »Zmącony obraz« Whitakera i tam było napisane, że to wszystko to bujda na resorach, że nie istnieje nierównowaga neurotransmitterów, że to wszystko spisek Wielkiej Farmy”...

...to są zasadne pytania.

– Tak, i lekarz ma szansę na nie dobrze odpowiedzieć pod warunkiem, że przyjmie perspektywę absolutnej życzliwości. Nie liłości, nie wyższości, tylko właśnie życzliwości, która opiera się na wierze, że jestem w stanie tej osobie pomóc.

Wówczas negocjacje z pacjentem polegają na tym, że rozmawiamy szczerze nie tylko o korzyściach farmakoterapii, ale i o ryzyku i kosztach. I nie wolno ich pomijać.

Co jest w tych kosztach?

– Wiemy, że większość z tych leków może spowodować tycie. Część będzie powodo-

wała objawy niepożądane. Do tych, które są najbardziej istotne, należą wszelkie reakcje alergiczne. Z tym że każdy lek może je wywołać, leki przeciwdepresyjne się na tym tle nie wyróżniają.

Jak taka alergia może się objawiać?

– Katarem, piekącymi oczami, wysypką. To mogą być gwałtowne wysypki i zmiany skórne, ale też zmiany na słuzówkach. Ich konsekwencją będą biegunki, bóle brzucha, wzdęcia. Jeśli taka silna reakcja wystąpi, trzeba zmienić lek.

Na początku leczenia pacjenci często się skarżą na: suchość w ustach, bóle głowy, szumy uszne, nudności, niepokój, podenerwowanie, a nawet rozedrganie, drżenie mięśni, ale w większości przypadków te objawy przemijają w ciągu dwóch do 14 dni.

Jeśli jednak się utrzymują, to znow, jesteśmy w relacji partnerskiej. I jeśli osoba lecząca się wraca do nas z komunikatem „nie-dobre”, „szkodzi”, to możemy sobie przede wszystkim przybić piątkę. Bo to oznacza, że zbudowaliśmy na tyle bezpieczną relację, że ta osoba podzieliła się swoim dyskomfortem, a nie pomyślała: „A to niezły konował. Nie wracam do niego, bo mnie truje”.

Wśród możliwych objawów niepożądanych na wczesnym etapie leczenia są też myśli samobójcze. To może przerażać.

– Badania pokazują, że część leków przeciwdepresyjnych w początkowej fazie leczenia rzeczywiście może nasilać objawy myśli

samobójczych. Pytanie, w jaki sposób zarządzamy ryzykiem. Czy ta relacja jest na tyle mocna, że wiemy, że jeśli takie myśli się pojawią, to pacjent nam o nich powie? Czy pacjent ma wsparcie?

Pamiętajmy też, że większość osób z depresją, które nie mają nasilonych granicznie objawów depresyjnych, nie wymagają hospitalizacji, po wdrożeniu leczenia w ciągu kilkunastu, kilkadziesiątu dni zaczyna odczuwać istotną poprawę. Jak mawiał znany psychiatra Antoni Kępiński: jakby zrzuciły „ciężkie drewniane drzwi z pleców”.

Co jeśli te myśli są nasilone?

– Najważniejszy jest stosunek pacjenta do nich. Czy jest ich świadomy. Wie, że mogą się pojawić, ale ma na przykład wewnętrzne przekonanie, że by tego nie zrobił?

Bardzo ważne jest, żeby usłyszał w gabinecie: „Jeśliby się tego typu myśli pojawiły, to proszę pamiętać, że one mogą być naturalnym, choć dokuczliwym objawem na początku leczenia. Ale jeśli w pani, pana głowie zaistnieje jakiegokolwiek wyobrażenie, że to się może urzeczywistnić, to proszę nie czekać, tylko niezwłocznie zgłosić się na izbę przyjęć do szpitala psychiatrycznego. To się nie musi wiązać z hospitalizacją, ale daje możliwość przegadania tego, co się dzieje”.

I każdy pacjent, z jakimkolwiek ryzykiem samobójczym, powinien taki komunikat usłyszeć. Słowo „niezwłocznie” jest tu kluczowe.

Co jeśli te niepożądane objawy nie mijają po kilku tygodniach?

– Oczywiście, możemy leki zmienić. Pamiętajmy jednak, że dla osób, które nigdy wcześniej ich nie przyjmowały, samo ich włączenie jest, po pierwsze, nowym doświadczeniem siebie. A po drugie, jeśli te osoby wiedzą o objawach niepożądanych, to troszcz-

kę mogą je sobie wywołać na zasadzie efektu placebo.

Na przykład?

– Zjadłem posiłek, który siadł mi na żołądku, a zakładam, że te nudności są na pewno polekowe. Albo wiem, że po tych lekach mogą przemijająco pojawić się trudności z zasypianiem, więc zaczynam rozmyślać: „O, już jest 24, wciąż nie zasnąłem, to pewnie leki”, itd. Zaczynam się nakręcać. I to może spowodować, że będę zbierać dowody przeciwko tym lekom.

Prawdopodobieństwo, że takie nakręcanie się wystąpi, jest większe u osób lękowych. Jak pan z nimi o tym rozmawia przed rozpoczęciem leczenia?

– Szczerze. Mówię na przykład tak: „Gdyby się zdarzyło, że pojawi się ból głowy, zwiększony niepokój czy trudności z zasypianiem – proszę się nadmiernie nie niepokoić. To jest naturalne i zwykle ustępuje po kilku dniach”. Uśmiecha się pani...

Uśmiecham, bo są pacjenci szczególnie wrażliwi na leki przeciwdepresyjne z grupy SSRI (selektywnych inhibitorów zwrotnego wychwytu serotoniny).

– Są.

I oni doświadczają potwornego nasilenia lęku po ich wdrożeniu. Bezsenności, która nie mija nawet po kilku tygodniach. Objawy, z którymi zgłosili się do lekarza, są zwielokrotnie i to trwa, czasem wiele tygodni. Dlatego niektórzy lekarze, dopóki mogą nie przyzwyczaić się do nowej substancji, do leków przeciwdepresyjnych dodają jeszcze leki o działaniu uspokajającym – najczęściej benzodiazepiny albo pregabalinę. Pan też to robi?

– No dobrze, to otwieramy teraz nowy, ważny wątek.

Jeśli dane mówią, że w Polsce mamy prawie dwa miliony osób, które korzystają z farmakoterapii psychiatrycznej z powodu depresji albo zaburzeń lękowych, to nie ma możliwości, żeby w tej grupie nie pojawiły się osoby, które mają hipersensytywność serotoninową. To znaczy, że reagują bardzo intensywnie nawet na małe dawki leków z tej grupy.

Podręczne portfolio leków przeciwdepresyjnych sięga przynajmniej 30 różnych substancji, więc jest z czego wybierać. I osobiście nie jestem piewcą strategii dodawania benzodiazepin albo pregabaliny jako leków wspierających farmakoterapię.

Dlaczego?

– Wynika to zarówno z moich doświadczeń klinicznych, jak i z zainteresowań naukowych dotyczących uzależnienia od tych środków. A także poczucia absolutnej odpowiedzialności za zredukowanie ryzyka uzależnienia pacjenta z winy lekarza.

To oznacza, że zastosowanie leków, o których wiemy, że mają potencjał uzależniający, powinno zostać ograniczone do przypadków absolutnie bezwzględnych, czyli na przykład w szpitalu przed operacją, w nagłych stanach, na przykład padaczkowych, w celu ratowania życia. Niech to będzie wyrazem mojego radykalizmu.

Poza benzodiazepinami jakie jeszcze leki mają potencjał uzależniający?

– Leki nasenne z grupy z (np. zolpidem, zopiklon). Do tego możemy dorzucić pregabalinę, o którą pani pytała, ale też szerokie spektrum stymulantów, między innymi metylofenidat. Także grupę silnych leków przeciwbólowych, zwłaszcza opioidy syntetyczne.

Co w takim razie pan robi w przypadku takiego wrażliwego na leki przeciwdepresyjne pacjenta?

– Jeśli się zorientowaliśmy, że mamy do czynienia z osobą nadwrażliwą na leki z grupy SSRI, możemy przejść na przykład na grupę leków SNRI albo SARI, które działają w nieco innym mechanizmie. Jeśli i one nie za-

działają, możemy poszukać substancji jeszcze inaczej działających.

Portfolio leków przeciwdepresyjnych jest na tyle duże, że możemy szukać do skutku. Pod jednym warunkiem – ilekroć pacjent wraca i mówi: „Czuję pogorszenie i jest to bezpośrednio związane z wdrożeniem leku”, sprawdzamy, czy dobrze poprowadziliśmy diagnozę. Bo może się okazać, że popełniliśmy błąd, a w związku z tym zaproponowaliśmy nieodpowiednią substancję.

Na przykład ktoś się zgłasza z objawami lękowymi. Po leku z grupy SSRI czuje znaczne pogorszenie. Wraca. Dopytujemy, poszerzamy kontekst, po czym się okazuje, że ten jego lęk nie jest objawem zaburzenia lękowego, jak sądziliśmy, tylko jest na przykład psychotyczny, urojeniowy. I podając mu lek przeciwdepresyjny, tylko nasilamy mu objawy psychotyczne.

Ale przechodzi mi jeszcze jedna rzecz do głowy.

Jaka?

– Nasilenie objawów po wdrożeniu farmakoterapii w depresji albo w zaburzeniach lękowych czasami jest interpretowane przez pacjentów jako konsekwencja wzięcia leków. Pacjent mówi: „Od momentu, jak zacząłem je brać, depresja mi się nasiliła. Czuję jeszcze większą beznadność. Nie jestem w stanie wstawać z łóżka”.

W takiej sytuacji warto pamiętać, po pierwsze, że większość leków z grupy SSRI zaczyna przynosić efekty najszybciej po dwóch, najczęściej po czterech, a niektóre po sześciu tygodniach. A po drugie, że depresja albo zaburzenia lękowe to jest taki ogromny pociąg towarowy, w którym ktoś, podejmując leczenie, nagle włącza hamulec. I zanim się ten pojazd zatrzyma, to on się jeszcze przez kilkaset metrów przetoczy.

Wtedy warto takiej osobie powiedzieć: „Bardzo dziękuję, że pani przyszła w tym momencie, bo możliwe, że dziś nie wyszłaby pani już z domu. Poczekajmy, cierpliwości, jeszcze trochę”.

Wróć jeszcze do benzodiazepin, pregabaliny itp. dodawanych do leków przeciwdepresyjnych. Słyszałem lekarzy, którzy mówili, że podają je pacjentom „tak na pół roku, żeby się nie uzależnili”. Prawda jest taka, że po dwóch tygodniach stosowania benzodiazepin istotnie zwiększa się ryzyko uzależnienia. To znaczy część osób może je przyjmować nawet powyżej tego okresu i się nie uzależni, ale inni mogą się uzależnić w tak krótkim czasie.

Nasze mózgi kochają benzodiazepiny, bo one przynoszą błyskawiczny, tonizujący efekt. Działają nie tylko na ten sam receptor w mózgu co alkohol, ale też na tę samą podjednostkę.

Psychiatra Anna Lembke nazywa je „alkoholem w tabletkach”.

– Mówi się też na nie „suchy alkohol”. Dlatego powinny być absolutnie przeciwwskazane u osób, które nie mają uporządkowanej relacji z alkoholem, bo takie osoby, dostając benzodiazepinę, dostają ciepły nóż do maselka.

Pregabalina działa na te same receptory co benzodiazepiny?

– Tak, ale na inną podjednostkę. I też ma udowodniony potencjał uzależniający, choć słabszy. Przede wszystkim ten proces dotyczy narastania tolerancji. To znaczy, że dotychczasowa dawka przestaje pacjentowi wystarczać. I żeby osiągnąć ten sam efekt, trzeba ją podwyższyć.

Z tych złych scenariuszy ten jest bardziej optymistyczny. Dużo mniej optymistyczny jest taki, że jeśli ktoś rozpoczął leczenie pregabalina u osoby, która miały w przeszłości historię nadużywania benzodiazepin, środków nasennych z grupy z albo alkoholu, to pregabalina może u niej wyzwolić głody tamtych substancji i prowadzić do nawrotu. Nawet jeśli ta osoba była długo trzeźwa.

Ryzyko związane z pregabalina jest jeszcze takie, że można stosować zalecone dawki, ale wraz z rozwinięciem tolerancji na nie objawy lękowe mogą powrócić. A stamtąd

jest już krótka ścieżka do odkrycia benzodiazepin albo alkoholu.

Jako dodatku do tej pregabaliny?

– Tak. I to jest bardzo niebezpieczne, bo dołączenie tych substancji może wzmocnić jej działanie, co z kolei może prowadzić do zatrucia.

Powiem coś jeszcze: pacjentów, u których mogłoby być uzasadnione podanie benzodiazepin ze względu na ogromne nasilenie objawów lękowych, wcale tak dużo nie ma.

To są pacjenci, którymi można się zająć nie tylko farmakoterapeutycznie, ale również roztaczając nad nimi opiekę psychoterapeutyczną, na przykład poznawczo-behawioralną, ucząc ich relaksacji, treningu oddechowego. Wydaje mi się, że to jest skuteczniejszy i bezpieczniejszy kierunek.

Dlaczego właściwie jedne osoby przyjmujące leki przeciwdepresyjne typu SSRI czują przez tydzień suchość w ustach, trochę ich boli brzuch i to mija, a inni tygodniami odczuwają pogorszenie? Skąd ta nadwrażliwość?

– Po pierwsze, ktoś może mieć indywidualną predyspozycję do reagowania w ten sposób na tę grupę leków. Po drugie, może to być związane z dietą.

Pewne produkty są przeciwwskazane przy zazywaniu tych leków, na przykład cytrusy, zwłaszcza grejpfruty.

Bo szlaki metaboliczne substancji zawartych w tych owocach częściowo pokrywają się ze szlakami leków przeciwdepresyjnych,

Niski poziom testosteronu często symuluje objawy depresji

co może spowodować wystąpienie dokuczliwego, choć niespecjalnie zagrażającego zespołu serotoninowego.

To stan, który objawia się m.in. podenerwowaniem, szumami usznymi, metalicznym smakiem w ustach, poczuciem, że wszystko w środku się trzęsie, drżeniem mięśni. Do tego można dodać ból głowy, suchość w ustach, całą gamę dyskomfortów, które intensywnie narastają.

Zespół serotoninowy może też spowodować interakcja leku przeciwdepresyjnego z lekami na migrenę, na przykład tryptanem. Na ogół mija po kilku godzinach. Jeśli jednak wystąpi, zwłaszcza nagle, to jest bardzo ważna informacja, żeby sprawdzić, co zostało tego dnia spożyte.

Bo być może wypijanie litra soku pomarańczowego do śniadania nie jest dobrym pomysłem.

Co jeszcze może zaostrzyć niepożądane objawy? Ludzie biorą teraz mnóstwo suplementów, na przykład „na mózg”.

– Świetnie, że pani o to pyta. Ashwaganda. Dziurawiec. O tym drugim wiele osób myśli, że to takie nieszkodliwe ziółko, ale ono zawiera substancję podobną do leków przeciwdepresyjnych typu MAO-I, czyli inhibitorów monoaminooksydazy. One, po pierwsze, są przeciwwskazane w ciąży, bo mogą uszkadzać płód. A po drugie, niektóre zioła i suplementy takie jak te bardzo intensywnie krzyżują się z lekami typu SSRI, wywołując silne zespoły serotoninowe.

Współczesny rynek suplementów jest tak ogromny, że trudno jest mi się nawet spróbować zmierzyć z jego monitorowaniem. Podejrzewam jednak, że takich suplementów, które wchodzi w interakcje z lekami SSRI, a przez to utrudniają leczenie, jest mnóstwo.

Pacjenci mnie często zresztą pytają, czy mogą przyjmować jakieś preparaty do leków, które im przepisałem. Jeśli to są chińskie ziołko albo zioła od mongolskiego znaną chora, których składu nie znam, to bardzo ich proszę, żeby tego nie robili.

A jak jest z alkoholem? Wiele osób przyjmujących leki przeciwdepresyjne nie rezygnuje z niego. Na ulotce mają napisane, na przykład: „Leku X nie można przyjmować jednocześnie z alkoholem, chociaż nie wykazano oddziaływania leku X z alkoholem”.

– Sprytne, prawda?

Jak ktoś chce, to zrozumie to tak, że nie może popić tej tabletki winem czy piwem, a poza tym – droga wolna.

– Rzeczywiście, w części badań, zwłaszcza w modelach teoretycznych, nie wykazano, żeby leki przeciwdepresyjne nasilały działanie alkoholu albo odwrotnie. Natomiast wiemy o dwóch rzeczach. Po pierwsze, leki przeciwdepresyjne mogą obciążać wątrobę, dlatego prosimy pacjentów, żeby raz na pół roku, raz na rok powtórzyli próby wątrobowe.

Z punktu widzenia strategii leczenia używanie w tym samym czasie alkoholu, co do którego nie mamy wątpliwości, że działa na ten organ toksycznie, jest bez sensu. Dlatego że jeśli badania kontrolne wykażą, że z wątrobą jest coś nie tak, to pierwszym chłopcem do bicia będzie lek przeciwdepresyjny.

A ta druga rzecz?

– Alkohol jest neurotoksyczny. Działa uszkadzająco nie tylko bezpośrednio na tkankę mózgową, ale też na inne organy, m.in. komórki jelitowe, którym utrudnia wchłanianie witamin z grupy B, co z kolei wpływa na pogorszenie funkcjonowania neuronów.

To określenie z ulotki, że nie zaleca się „łączonego” stosowania leków przeciwdepresyjnych i alkoholu, pomija bardzo istotną rzecz, a mianowicie czas wchłaniania substancji leczącej, osiągnięcia przez nią maksymalnego piku i jej eliminacji. W przypadku większości leków przeciwdepresyjnych z grupy SSRI wynosi on 23 godziny. Po tym czasie wartość przyjętej dawki zmniejsza się w organizmie o połowę.

To oznacza, że określenie „nie przyjmować łącznie z alkoholem” nie ma tak naprawdę znaczenia, ponieważ przez całą dobę, nawet przy pominięciu dawki, stężenie leku przeciwdepresyjnego nie zmniejsza się do zera. I niezależnie od tego, po ilu godzinach od wzięcia leku spożyje się alkohol, trafi on na intensywnie wysycone nim środowisko.

W którym momencie uznaje pan, że można u pacjenta spróbować odstawić leki?

– Swego czasu było zalecenie, które mówiło, że przy pierwszym epizodzie depresji leczenie powinno się składać z dwóch faz. Z fazy ostrej, w której po przeprowadzeniu procesu diagnostycznego i wdrożeniu leczenia próbujemy dobrać lek, który w jak najszybszym czasie doprowadzi do ustąpienia objawów i nie będzie dawał dokuczliwych skutków ubocznych, które uniemożliwią kontynuowanie farmakoterapii.

Ta faza trwa zwykle do trzech miesięcy. Oraz z fazy drugiej, podtrzymującej ten efekt. W tej fazie mózg ma się przyzwyczaić do stanu rzeczy i uczyć się samodzielnego podtrzymywania status quo. Faza druga, według różnych źródeł, powinna trwać od 6 do 12 miesięcy.

Czyli w sumie całe leczenie pierwszego epizodu powinno trwać od 9 do 15 miesięcy.

– Przy czym jest dobrą zasadą traktowanie pewnych zmiennych, takich jak choćby pora roku, jako okresu, kiedy nie dokonuje się redukcji dawek ani nie odstawia leków. Poza szczególnymi przypadkami: ciąży, złej to-

lerancji leku czy wtedy, kiedy mamy absolutne przekonanie, że będzie to bezpieczne, a pacjent się świetnie czuje.

Dla mnie od, powiedzmy, połowy października do połowy kwietnia okno transferowe na takie zmiany jest zamknięte.

Dlaczego?

– Mamy w tym czasie dwa przesilenia klimatyczne: jesienne i wiosenne. Wszyscy czujemy się nieco przesadnie zmęczeni, mamy tendencję do melancholii, jest nam zwyczajnie gorzej. Gdyby na dwa, trzy tygodnie wcześniej zacząć pacjentowi redukować dawkę leku przeciwdepresyjnego, to jeśli nastąpi pogorszenie, nie będzie pewne, z czego ono wynika.

Czy ze zmniejszenia dawki, czy z przesilenia?

– Właśnie. Natomiast gdy utrzymujemy stabilną dawkę, która wcześniej działała, i ktoś wchodzi w ten czas, kiedy to z głośników sączy się muzyka do poplaskania, a do zaśnięcia czyta się smutne książki, to znacznie łatwiej jest sobie z tym okresem poradzić, bo ma się poczucie: „Mam swój lek. To się nie ześlizgnie. Byłem tu już, byłem tu już, dam radę”.

Drugim powodem, dla którego nie odstawia się leku w tym czasie, jest okres świąteczno-noworoczny, który coraz rzadziej jest ciepłym, rodzinnym wydarzeniem, a coraz częściej generuje dużo napięć. Zresztą, styczeń jest jednym z tych miesięcy, w których najczęściej podejmuje się interwencje terapeutyczne i lekarskie.

Powiedzmy, że mamy pełną wiosnę albo lato. Skąd pan wie, że to właściwy moment na próbę odstawienia leków poza tym, że na przykład pacjent sam mówi: „Chcę”.

– To jest częsta i naturalna motywacja wynikająca z tego, że mamy dużą potrzebę niezależności.

Jeśli pacjent czuje się dobrze, zdrowo, nie ma objawów, tylko odczuwa pewnego rodzaju zniewolenie rytuałem przyjmowania tabletek, to jest dobry znak. O to nam trochę chodzi, żeby doprowadzić do momentu, w którym jedyną rzeczą przypominającą o tym, że coś się kiedyś działo, będzie ta codzienna konieczność przyjmowania leku oraz wizyta u lekarza psychiatry, powiedzmy, raz na trzy miesiące.

Wyobrażam sobie, że ktoś może chcieć zrezygnować z leków, mimo że jeszcze ma jakieś objawy. Wydaje mu się, że sobie poradzi.

– Tak też się zdarza. Zadanie domowe dla lekarza jest takie, żeby to przewidzieć i porozmawiać o tym z pacjentem. Można to zrobić już na pierwszej wizycie albo wtedy, gdy pacjent przyjdzie i powie po raz pierwszy: „Panie doktorze, pani doktor, wreszcie czuję się uwolniony, uwolniona! Niesamowite, jak te leki zadziały”.

Warto wtedy nie tylko powiedzieć, że dla nas to również wielka radość, ale też wyjaśnić, jak ważna jest ta faza podtrzymująca. I że leków nie można odstawiać zbyt szybko. Możemy tu dać analogię do antybiotyków. Mechanizm jest dość podobny.

Gdy mamy infekcję bakteryjną, trafiony antybiotyk gasi ten pierwszy ogień właściwie natychmiast, w ciągu pierwszy 12-24 godzin. Bardzo szybko czujemy gwałtowną poprawę. Zalecenie jest jednak takie, żeby ten antybiotyk kontynuować, na przykład jeszcze przez tydzień. W przeciwnym razie istnieje ryzyko, że się nie docleczymy.

Pacjenci leczący się lekami typu SSRI mówią, że po jakimś czasie czują się, jakby byli za szybko, że ich emocje – zarówno nieprzyjemne, jak i przyjemne – są jakby wystudzone.

– To też jest częsta motywacja do odstawienia leków. Pacjenci opisują to doświadczenie tak, że wcześniej potrafili pójść na występ ulubionego komika i śmiać się do bólu brzucha, a na tych lekach, mimo iż czują się zdrowo, nie są się w stanie już tak śmiać się

całymi sobą. I że to „zaszybień” im przeszkadza.

Również w relacjach.

– Tak. Nie wspomnieliśmy jeszcze, że znaczna część tych leków powoduje zaburzenia libido, czyli z jednej strony spadek chęci na doświadczenie seksualne, a z drugiej strony – zmniejszoną wrażliwość fizyczną, sensualną na bodźce, a przez to trudność w osiągnięciu orgazmu.

I to też może mieć wpływ na decyzje pacjentów.

Jeżeli pacjent mówi: „Nie czuję się jakoś super, mam gorsze nastroje, czasami nadmierny lęk, ale chcę zejść z tych leków”, to co pan odpowiada: „Dobrze, spróbujmy” czy „Wstrzymajmy się”?

– Powiedzieliśmy sobie, że to ma być relacja partnerska, ale prawda jest taka, że głównym dowodzącym w tej relacji jest pacjent. I jeśli on czy ona mówią: „Chcę odstawić leki”, to ja jako lekarz się cieszę, że mieli ochotę przyjść o tym pogadać. To znaczy, że nadal jesteśmy w dialogu.

Bo przecież pacjent, który naprawdę chciałby pokazać swoją siłę, nie przyjdzie do gabinetu, tylko sam odstawi leki. Albo przyjdzie po pół roku w rozspyce, w ogromnym cierpieniu, z dużym zawstydzeniem. Wtedy też powinniśmy sobie pogratulować, że do nas wrócił.

Co się może wydarzyć, jeżeli odstawi się tego rodzaju leki z dnia na dzień, na przykład po 1,5 roku ich brania?

– Już tłumaczę. W przypadku leków uzależniających mamy do czynienia z zespołem odstawiennym. Nie ma żadnego badania, które potwierdzałoby, że taki zespół istnieje w przypadków leków przeciwdepresyjnych.

Zasadnicza różnica jest taka, że w zespole odstawiennym od substancji uzależniającej występuje głód, czyli silny wewnętrzny przymus zażycia danej substancji. Ale tak jak alkoholik marzy o chłodnym piwie czy wódce, palacz o dymku, tak nikt nie marzy o tym, żeby połknąć białą, gorzką tabletkę leku przeciwdepresyjnego.

Te leki, odstawione nagle, z dużych dawek, przez to, że w czasie od 24 do 48 godzin dochodzi do gwałtownego obniżenia ich stężenia w surowicy, ale nie do całkowitego ich usunięcia, mogą wywołać zespół nazywany zespołem dyskontynuacji, czyli przerwania leczenia.

I on też bywa nieprzyjemny. Wiąże się z gwałtownymi bólami głowy, uczuciami uderzeń gorąca, suchością w ustach, często ogromnym niepokojem. Mogą towarzyszyć

temu: duża bezsenność, lęki, włącznie z lękiem panicznym, skoki ciśnienia, przyspieszone tętno.

Część osób przyjmujących te leki może doświadczyć tego stanu przejściowo jeszcze w trakcie leczenia, kiedy na przykład pominą jedną dawkę, bo zapomną.

Po dobie, dwóch od gwałtownego odstawienia leku te objawy się rozkręcają, aż stają się nieznosne. Z tym, że to się zwykle nie pojawia po odstawieniu dawki podstawowej leku, tylko wyższej.

Czym jest dawka podstawowa?

– To najmniejsza dawka, jaka może przynieść efekt leczniczy. Zwykle jest to dawka najmniejszej tabletki, jaka jest dostępna. Natomiast każda jej wielokrotność, nagle odstawiona, może wywołać zespół dyskontynuacji. Sposobem na to, by go uniknąć, jest stopniowe, rozłożone w czasie zmniejszanie dawek. A przerwy pomiędzy kolejnymi redukcjami powinny trwać między miesiącem a dwoma miesiącami.

Powiedzmy, że ktoś przez półtora roku brał escitalopram w dawce 15 mg?

Co to oznacza w praktyce?

– Jeśli chcielibyśmy u tej osoby rozpocząć procedurę odstawiania leku, osobiście nie robiłbym tego w czasie jednego roku, czyli nie wychodziłbym z tego leku w czasie jednego okna transferowego – od pełnej wiosny do wczesnej jesieni.

Najwyższa dawka przy tej substancji wynosi 20 mg. To znaczy, że ktoś, przyjmując 15 mg, przyjmuje 75 proc. maksymalnej dawki. Jeśli nie ma bezpośredniego wskazania, żeby zrobić to szybko, typu ciąży czy obciążona wątroba, to moim zdaniem warto najpierw na 3-4 miesiące zejść do 12,5 mg i poobserwować, co się dzieje.

Jeśli jeszcze okno transferowe trwa, można spróbować zejść do 10 mg i sprawdzić, jak będzie wyglądał na tej dawce cały ten okres jesienno-zimowo-wczesnowiosenny, zanim zrobi się kolejny krok.

To oznacza kolejny rok leczenia. Dlaczego pan tak to rozciąga? Wielu lekarzy odstawia leki w ciągu kilku tygodni do kilku miesięcy.

– Bo wychodzę z założenia, że skoro nasilenie objawów nie zostało wygaszone na 5-10 mg tej substancji, tylko trzeba było wejść na 15 mg, to lepiej jest nie wychodzić z leków zbyt pośpiesznie. Chodzi też o to, żeby pacjent miał poczucie, że da radę: „Jestem teraz na najniższej skutecznej dawce, jaką jest 10 mg, i będę w stanie przejść przez tę cholerną jesień, a potem zobaczmy”.

To oznacza, że czasem proces schodzenia z leków jest dłuższy niż samo leczenie?

– Może trwać dłużej, na przykład dwa, trzy lata. Uważam, że tak jest bezpieczniej.

Problem w tym, że objawy odstawienia leku przeciwdepresyjnego mogą być bardzo podobne do objawów zaburzenia, z jakim zgłosił się pacjent czy pacjentka. Jak pan odróżnia: czy to zespół dyskontynuacji czy może już nawrót?

– Mamy tu związek przyczynowo-skutkowy, to znaczy objawy dyskontynuacji pojawiają się od razu po zmniejszeniu dawki albo po odstawieniu leku, do tego charakterystyczne są dla niego na przykład skoki ciśnienia. Nawrót zwykle występuje po jakimś czasie od odstawienia leku.

Ale u niektórych osób, w przypadku niektórych leków zespół dyskontynuacji może się pojawić niezależnie od tego, jak delikatnie się z nich schodzi. Bardzo rzadko, ale się zdarza. I jeśli do tego dojdzie, wymaga to szczególnej finezji i współpracy lekarza z pacjentem, żeby to schodzenie z leku jeszcze bardziej spowolnić.

Prosimy wtedy pacjenta, żeby zredukował dawkę o jak najmniejszy możliwy schodek i pozostał na niej tak długo, aż wygaszą się dokuczliwe objawy, czyli aż mózg się do niej zaadaptuje. Czasami ta adaptacja trwa kilka, a czasami kilkanaście tygodni.

Jak pacjent może sobie pomóc w tym czasie z obniżonym nastrojem, z nasilonym lękiem?

– Lęk niewiadomego pochodzenia będzie brutalniejszy. Dlatego, jeśli lekarz powie: „Pani Agnieszko, w czasie redukcji dawek mogą się pojawić tego typu objawy. One są zupełnie naturalne, wiążą się z tym, że mózg został przyzwyczajony do pewnej substancji, a teraz mu ją powoli zabieramy, ale to minie”, to będzie miała pani zupełnie inny poziom kontroli nad sytuacją, prawda?

Pomaga też psychoterapia, kontakt z emocjami. A także psychoedukacja i zarządzanie sobą na poziomie behawioralnym. Czyli, jeśli czuję, że na przykład narasta mi niepokój i zaczyna mi się kłębić w głowie automatyczna myśl, że na pewno mam napad paniki, to mając tę świadomość, zwracam uwagę na tempo oddychania i świadomie je spowalням. Dobieram się do mózgu od zewnątrz, od fizjologii. Wyciszam sprawę, dlatego że mam ze sobą kontakt.

Pacjenci, którzy mają za sobą doświadczenie odstawiania leków, mówią, jak ważny jest sen, zdrowe odżywianie, ruch. To banały, ale jednak...

– Bardzo istotne!

Depresja jest chorobą cywilizacyjną i ma bardzo mocne związki ze stylem życia.

Na pewno zapożyczanie się z budżetu ciała przez odbieranie sobie szansy na dobry sen jest robieniem sobie krzywdy, szczególnie w tak delikatnym okresie. Podobnie używanie używek typu kofeina czy innych stymulantów, zwłaszcza kiedy ktoś ma dużo niepokojów. Znaczenie mają też: higiena cyfrowa, obecność alkoholu czy innych substancji psychoaktywnych.

Powiedzmy, że ten epizod depresyjny czy zaburzenie lękowe udało się wyleczyć. Dużo pacjentów wraca?

– Nie mam danych, ale nie mam poczucia, że wracają częściej niż kiedyś, na przykład 20 lat temu, kiedy zaczynałem. Poza okresem pandemii, który był trudny dla wszystkich, w tym również dla osób, które doświadczyły kryzysów w przeszłości.

Możemy popatrzeć na to w ten sposób: w 2003 roku depresja była na piątym miejscu na liście najczęściej rozpoznawanych chorób. WHO grzmiało wówczas, że w 2020 roku znajdzie się na miejscu drugim, zaraz po chorobach infekcyjnych górnych dróg oddechowych. Ale w 2023 roku awansowała na czwarte miejsce, nie drugie.

Dla mnie to informacja, że jednak robimy dobrą robotę, edukujemy ludzi. Dzięki temu epizody na poziomie lekkim, które jeszcze nie wymagają farmakoterapii, mogą zostać częściowo zaopiekowane.

Teraz prognozuje się, że w 2030 roku depresja wskoczy na pierwszej miejscie najczęściej występujących chorób na świecie.

– No i tu pytanie, czy my mamy w tej chwili kapitał, by udźwignąć kolejny wielki kryzys globalny. Oraz jakie będą tego efekty? ●



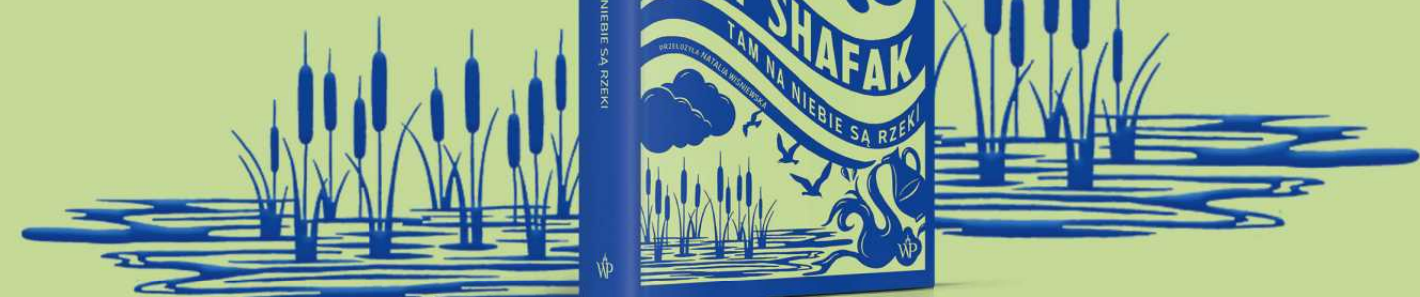
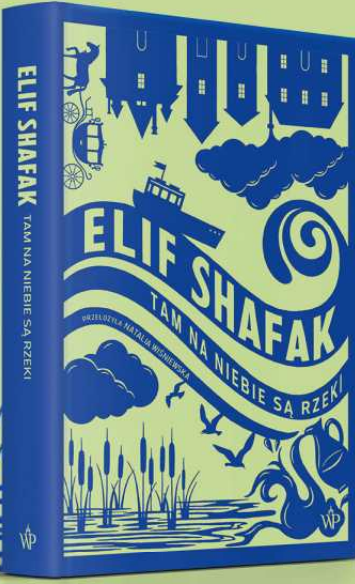
***dr hab. Andrzej Silczuk**

• naukowiec i lekarz psychiatra, wykładowca Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, dyrektor medyczny Wellbee oraz SZPZLO - Ochota, prowadzi autorski podcast „Andrzej Silczuk Podcast”.

REKLAMA

Kraj/34380406

Od starożytnej Niniwy po współczesny Londyn – poznaj losy trojga bohaterów splecione jednym żywiołem!





ZAMÓW KSIĄŻKĘ NA **wydajenamsie.pl**

Wydaje
nam się

Katarzyna Tubylewicz

Pracowała na czarno jako sprzątaczką. Mieszkała tygodniami w nielegalnej noclegowni, bo chciała opisać świat pracujących w Szwecji na czarno robotników z krajów dawnego ZSRR.

Nazywa ich pańszczyźnianymi: to oni budują dziś Szwecję w warunkach, których nikt nie kojarzy ze słynnym szwedzkim modelem.

Harują po kilkanaście godzin dziennie za bardzo niskie stawki, bez zabezpieczeń przy pracy na wysokościach, bez odpowiednich ubrań – bywa, że w sandałach zimą, bez przerw na lunch.

Jeśli ich pracodawca nie płaci lub ich oszukał, to o ich interesy nie zawalczą szwedzkie związki zawodowe ani policja. Może za to pomóc czeczeńska mafia, rzecz jasna za odpowiednią opłatą.

Kraj pańszczyźnianych? – Liza Alexandrova-Zorina opowiada o Szwecji, której nie znacie

Rosjanki kupują ukraiński paszport

– Policja nie udziela nielegalnym pomocy – mówi, kiedy odwiedzam ją w jej podstokholmskim mieszkaniu. – Słyszałam historie o osobach bez dokumentów, które poszły na komisariat poskarżyć się, że nie zapłacono im za pracę, a policjanci, żeby coś z tym zrobić, chcieli najpierw zobaczyć umowę. Jaką umowę?!

Liza się śmieje, a ja myślę, że w jej reportażach poza powagą jest coś z filmów Barei, surrealistyczne poczucie humoru, które miewają ludzie funkcjonujący w systemach dysfunkcyjnych.

Nikt nie wie, jak duża jest w Szwecji diaspora mówiących po rosyjsku imigrantów na fałszywych papierach, z krajów byłego Związku Radzieckiego. Prawdopodobnie jest ich kilkaset tysięcy.

To rządzący się swoimi prawami świat, w którym lingua franca jest rosyjski i, o którym przeciętny Szwed nie wie nic, mimo że ma z tym światem nieustannie do czynienia.

– Niby jest kryzys, wysokie ceny, oszczędza się na artykułach spożywczych i podróżach, ale przebudów i remontów nie ubywa. Dlaczego? Bo firmy budowlane nie podwyższają cen, one obniżają stawki pracownikom, tym, którym da się je obniżyć.

Z reporterskich książek Lizy Alexandrovej-Zoriny – antyputinowskiej dysydentki od sześciu lat w Sztokholmie – wylania się obraz społeczeństwa równoległego, wykorzystywanego i żyjącego poza prawem.

Jest tam frustracja, przemoc względem kobiet, zagrożenie religijną radykalizacją, są Uzbegy, Tadźcy, Kazachowie, ale też Rosjanie i Ukraińcy, którzy mimo wojny żyją obok siebie, jest czeczeńska mafia i Rosjanki z Moskwy lub Nowosybirsk, które zamieniają na Facebooku miejsce zamieszkania na Charków i za 2000 szwedzkich koron kupują fałszywy ukraiński dokument tożsamości, żeby jeździć za darmo komunikacją miejską. W Sztokholmie bilet miesięczny kosztuje trochę ponad 1000 koron, więc po dwóch miesiącach inwestycja staje się opłacalna.

– Nie bałaś się, przeprowadzając się do nielegalnej noclegowni? – pytam. – Masz małe dziecko.

Liza znowu się śmieje.

– Pamiętaj, że ja jestem z Rosji. Życie w Rosji jest dużo bardziej niebezpieczne od mieszkania w nielegalnym hotelu w Haninge pod Sztokholmem i udawania, że jestem sprzątaczką. Zwłaszcza że w Rosji brałam udział w protestach.

Oczywiście, nocując w Haninge, zawsze miałam przemyślaną drogę ucieczki i wiedziałam, co zrobić, jeśli wyda się, że jestem dziennikarką i że nagrywam rozmowy. Zdarzyło się, że byłam blisko bycia rozpoznaną, raz w noclegowni zatrzymał się mężczyzna, z którym robiłam wywiad do mojej wcześniejszej książki „Dzieci imperium”.

Brał udział w wojnie o Karabach i nie widział na jedno oko. Bałam się, że mnie zdemaskuje, ale jakoś skutecznie go unikałam. Szwedzcy dziennikarze tak nie działają, tutejsze redakcje mają swoje przepisy bezpieczeństwa, nie chcą ryzyka.

Liza wybucha śmiechem, a ja myślę, że poza językiem rosyjskim łączy ją z jej bohaterami ta zawadiacka duma.

Pani premier nie ratuje sprzątaczkę na czarno

W książce „Kraj pańszczyźnianych” opisana jest rzeczywistość, w której nielegalni robotnicy są zatrudniani na wszystkich szwedzkich budowach, nawet

PAŃSZCZYŻNA PO SZWEDZKU



tych najbardziej renomowanych firm. Właściciele firm niekoniecznie o tym wiedzą, wykonawcy mają podwykonawców i tak to idzie.

Zorina znalazła pracujących na czarno robotników z byłych Sowietów nawet na budowie wili twórcy Spotify, miliardera Daniela Eka. I w sumie nie jest to zaskakujące, jeśli przypomnimy sobie skandal sprzed paru lat, kiedy wydało się, że wille socjaldemokratycznej premier Magdaleny Andersson sprzątała nielegalnie przebywająca w Szwecji Chilo Martinez z Nikaragui.

Podczas sprzątanía przypadkiem włączyła alarm, została złapana i deportowana. Pani premier socjaldemokratka nie próbowała jej ratować w imię solidarności i feminizmu, ale cała sprawa jej nie zaszkodziła. Zatrudniała firmę sprząającą „na bialo”, a fakt, że firma zatrudniała pracowniczkę „na czarno”, uznano za kwestię poza kontrolą osoby zamykającej usługę.

Alexandrova-Zorina pytana, jak Szwedzi mają się uchronić przed nieświadomym podtrzymywaniem nielegalnego rynku, sugeruje, żeby próbować rozmawiać z pracownikami. Jeśli nie znają ani szwedzkiego, ani angielskiego, coś może być na rzeczy. Z drugiej strony: czy społeczeństwo naprawdę jest zainteresowane jakąś zmianą?

Liza opowiada, że, chodząc po Sztokholmie, widzi ludzi pracujących na budowach bez zabezpieczenia, ale większość przechodniów ich nie widzi i nie reaguje.

– Kiedy odbieram synka z przedszkola, przechodzę codziennie obok domu, w którym remontowany jest dach. Siedzą tam ludzie bez sprzętu ochronnego, bez kasków. To zabronione w Szwecji, ale nikt nie zwraca na to uwagi. Któregoś dnia zareagowałam więc ja, imigrantka.

Zrobiłam zdjęcia, zanotowałam numer rejestracyjny samochodu budowlanców. Porozmawiałam z nimi, że muszą mieć kaski. Byli z jednego z krajów postsowieckich i nie chciałam wydać ich inspekcji pracy, bo wiedziałam, że ich wtedy mogą deportować.

Po naszej rozmowie robotnicy szybko zniknęli, a wczoraj na tym samym dachu zobaczyłam innego mężczyznę, który też pracował bez zabezpieczenia. Przy rusztowaniach stał samochód znanej szwedzkiej firmy budowlanej, zadzwoniłam do nich, zrobiłam awanturę. Nie wiem, czy to coś da.

Sprzątanie, ale najpierw seks

Że Alexandrova-Zorina ma dziecko, wiedziałam od jakiegoś czasu, bo o tej rosyjskiej dziennikarce otwarcie krytycznej względem Putina i wojny w Ukrainie po raz pierwszy było głośno w Szwecji w 2022, kiedy Urząd ds. Migracji zdecydował, że z przyczyn niedopatrzeń formalnych ma opuścić kraj w ciągu miesiąca.

Była już żoną obywatela Szwecji – znanego tłumacza i dramaturga białoruskiego pochodzenia – i mamą czternastomiesięcznego syna także ze szwedzkim obywatelstwem. W Rosji ryzykowała

Rosjanki za 2000
szwedzkich koron
kupują fałszywy
ukraiński dokument
tożsamości,
żeby jeździć za darmo
komunikacją miejską



• **Zorina w swoich książkach opisuje Szwecję, której często nie znają sami Szwedzi. Świat pracujących tu nielegalnie (głównie na różnych budowach), za pół darmo robotników ze wszystkich krajów dawnego ZSRR. Na zdj. budowa osiedla w Malmö** FOT. LINUS HOOK/BLOMBERG VIA GETTY IMAGES



• **Liza Alexandrova-Zorina, rocznik 1984, pisarka i blogerka, jest rosyjską dysydentką, która od sześciu lat mieszka w Szwecji** FOT. SERGEY LESCHINA/CC BY-4.0

Znalazła pracujących na czarno robotników z byłych Sowietów nawet na budowie willi twórcy Spotify, miliardera Daniela Eka

więzienie. Na szczęście zaprotestował świat kultury i Zorina została.

Rosyjskie ministerstwo sprawiedliwości za jej krytyczne teksty w prasie szwedzkiej wpisało ją na listę agentów zagranicznych, czyli osób, które uważane są za wrogów kraju.

Zorinie się zdarza, że na przykład szwedzka lekarka nie wierzy, że jest dziennikarką, i upiera się, że jej alergia na skórze to efekt uczulenia na środki czyszczące, których na pewno używa w pracy. Bo przecież Rosjanka to na pewno sprzątaczką.

Jednocześnie szwedzcy krytycy – w Szwecji nadal jest tak, że dobra książka zbiera długie i szczegółowe recenzje – porównują Zorinę do Dickensa i Kapuścińskiego. O opisanych przez nią problemach dyskutuje się w Riksdagu. Ale kiedy dziennikarz prowadzący z nią spotkanie autorskie zaczął się doszukiwać w jej reportażach podobieństw do Dostojewskiego, przerwała mu:

– To nie jest czas na rozmawianie o „wielkiej rosyjskiej literaturze”. Jako Rosjanka od początku krytyczna względem wojny czuję, że to nie jest w porządku!

W jej książkach pojawia się wielu bohaterów z Ukrainy, Alexandrova-Zorina podkreśla, że pisanie o nich i o relacjach Ukraińców i Rosjan w Szwecji jest dla niej kwestią niezwykle delikatną. Z ukraińskim robotnikami zawsze rozmawiała po ukraińsku.

Zwraca uwagę na trudną sytuację Ukrainek, które często znajdują się w takiej samej sytuacji jak nielegalne imigrantki z krajów byłego ZSRR, które szukają pracy na rosyjskojęzycznych stronach internetowych dla imigrantów. Dostają oferty, jakie i ona dostawała, gdy podszywała się pod nielegalną imigrantkę: sprzątanie za małe pieniądze, ale najpierw seks.

Poza tym Ukraińcy niby mają w Szwecji status uchodźców, ale nie przysługuje im jak innym uchodźcom bezpłatna nauka języka szwedzkiego.

– A język jest podstawą – mówi Alexandrova-Zorina swoim może nieidealnym, ale bardzo bogatym leksykalnie szwedzkim. – Tym bardziej że w Szwecji jest specjalny szklany sufit dla kobiet z zagranicy, nawet tych z dobrym wykształceniem.

Jest tu na przykład wiele Ukrainek z wykształceniem medycznym. Może nie byłyby jeszcze w stanie pracować jako lekarki, ale jako pielęgniarki przecież tak, tym bardziej że pielęgniarek brakuje. Tymczasem najczęściej mają co najwyżej pracę sprzątaczką.

To imigrantki idealne, w Niemczech, gdzie teraz robię research do kolejnej książki, chce się, żeby Ukraińcy zostali, w Szwecji nie ma chyba takiej woli politycznej. Nie ma debaty i nadal jest tematem tabu, że niektórzy imigranci asymilują się łatwiej, a inni trudniej.

Szukam pracy w Szwecji, mam polskie pozwolenie na pracę

Bohaterowie książek Alexandrowej-Zoriny przyjeżdżają do Szwecji na różne sposoby, najczęściej używając fałszywych dokumentów i pozwoleń na pracę wyrobionych w jakimś innym kraju europejskim, często w Polsce. Bywa, że udają uchodźców.

Bywa, że mają umowę o pracę i zaświadczenie o przyzwoitych zarobkach, ale mają też ustalone z pracodawcą, że połowę pensji, dzięki której Urząd ds. Migracji pozwoli im zostać w Szwecji, natychmiast po wypłacie zwrócą pracodawcy.

Pytam Zorinę o wątek polski. O co chodzi z tymi pozwoleniami na pracę i polskimi kartami pobytu, które są podobno dość często spotykane.

– Są różne typy wykorzystywanych dokumentów, część z nich to zwykłe podróbki paszportów, praw jazdy. Ale są też dokumenty, które nazywam szarymi, takie, które są rzeczywiście dokumentami wyrobionymi dzięki korupcji urzędników, szare wizy, szare pozwolenia na pracę.

Wśród nich polskie dokumenty są najpopularniejsze. W krajach pochodzenia emigrantów są tak zwani agenci, czasem to całe firmy, w Kazachstanie, Uzbekistanie czy Tadżykistanie. Oferują polskie pozwolenie na pracę albo polskie wizy, które są gwarancją wjazdu do UE. Może to kosztować 1200 euro, czasem mniej czy więcej.

Firmy te wyrabiają zainteresowanym umowę o pracę z polską firmą i wysyłają ją do konsultatu. Wpłaca się pieniądze i dostaje polską wizę i jeśli ktoś z tą wizą chce jechać do pracy w Szwecji, to najpierw jedzie do Polski, a potem do Szwecji tak zwaną taksówką. To są minibusy, które jeżdżą w tę i z powrotem.

Często jest tak, że służba graniczna wie, o co w tym chodzi, ale chyba im to za bardzo nie przeszkadza. W efekcie na rosyjskojęzycznych stronach w Szwecji pojawiają się ogłoszenia na przykład z Uzbekistanu czy Armenii: „Szukam pracy w Szwecji, mam polskie pozwolenie na pracę”. I wszyscy wiedzą, co to znaczy. Zastanawiam się czasem, ile o tym wiedzą polskie władze i jak na to patrzą.

Trudno nienawidzić ludzi tylko dlatego, że są bogatsi

Można powiedzieć, że skoro Zachód potrzebuje tanich pracowników, a Wschód ma tanią siłę roboczą, to wszyscy powinni być zadowoleni, Liza Alexandrova-Zorina twierdzi jednak, że za tańsze remonty, społeczeństwa płać sporą cenę. Nierówność rodzi problemy. Poza tym część tej ceny to zagrożenie radykalizacją.

– W Europie często się zapomina, że wielu imigrantów z krajów byłego ZSRR to muzułmanie. Część z nich ulega radykalizacji, dotyczy to szczególnie Czeczenów, ale nie tylko ich. Radykalne organizacje, także te o charakterze terrorystycznym, są aktywne wśród imigrantów, bo to grupa podatna na frustrację.

Nie zawsze chodzi tylko o brak dokumentów i zwykłej pracy, tylko o pewien rodzaj wykluczenia. Brakuje dużej rodziny, która w bardziej tradycyjnych społeczeństwach jest ogromnie ważna, brakuje wsparcia. W ogóle myślę, że każdy człowiek, który przeprowadza się do nowego kraju, przechodzi okres, kiedy czuje się zupełnie inny, nieprzystosowany, zawieszony w próżni.

Ja też to czasem czuję. Ale potem znajduje się swoje miejsce. Ale jeśli tak się nie stanie, a na brak możliwości zasymilowania się narażeni są szczególnie imigranci nielegalni, narastają frustracja i samotność. I wtedy, gdy pojawi się grupa serdecznych ludzi, którzy mówią „chodź do nas”, a potem ofiarowują ci zupełnie nową narrację usprawiedliwiającą nienawiść do otoczenia, to łatwo temu ulec.

Trudno jest nienawidzić ludzi tylko dlatego, że są bogatsi i mają lepsze życie, ale jeśli okazuje się, że problemem jest to, że nie są oni muzułmanami albo nie wyznają właściwej formy islamu, a więc są grzesznymi niewiernymi, to nienawiść do nich staje się usprawiedliwiona.

– Pisziesz też o tym, że Europa rozumie już, iż rosyjski kościół prawosławny jest powiązany z władzą i ortodoksyjne Kościoły za granicą bywają formą agentury, ale zapominamy, że Putin w podobny sposób wykorzystuje islam – mówię.

– Tak, uważam, że ten temat jest bagatelizowany, bo zapomina się, że Rosjanie to nie tylko wyznawcy prawosławia. A naprawdę nie jest islamofobią dyskutowanie o tym, że Rosja zawsze traktowała religię i Kościół jako narzędzia politycznego wpływu, więc Putin ma z pewnością także wpływy w świecie muzułmańskim. Nie oznacza to oczywiście, że wszyscy muzułmanie są agentami Putina, podobnie jak nie są nimi wszyscy Rosjanie!

– Ale czy Rosjanie w diasporze są krytyczni względem wojny i Putina?

– Według mnie diaspory są z reguły bardziej konserwatywne niż kraje, z których pochodzą ich członkowie, i często nie lubią krytyki kraju pochodzenia. Kiedy jeszcze mieszkalam w Rosji, odwiedzałam różne europejskie targi książki. Na moje spotkanie przychodzili często mieszkający w tych krajach Rosjanie i wielu z nich było hurrapatriotami, którym bardzo się nie podobało, że mówię o cenzurze i represjach, że „oczerniam” Rosję.

Alexandrova-Zorina ma zwyczaj doszukiwać się prawdy i pokazywać ją światu. Jest porównywana ze słynnym niemieckim dziennikarzem wcieleniowym Günterem Wallraffem, który, żeby opisać życie ga-starbeiterów, zatrudniał się razem z nimi pod przybranym nazwiskiem.

Dlatego w Szwecji o pracy dziennikarzy wcieleniowych mówi się, że zajmują się „wallraffowaniem”. Kiedy o tym rozmawiamy, Liza przypomina mi, że długo zanim Wallraff stał się słynny, w Szwecji pracowała dziś trochę zapomniana dziennikarka Ester Blenda Nordström, która w roku 1914 zatrudniła się jako służąca, żeby opisać w szwedzkiej gazecie sytuację kobiet na służbie!

Wygląda na to, że to jej śladem podąża pisząca po szwedzku rosyjska dysydentka. ●

Z ADAMEM GÓRALEM
ROZMAWIA PIOTR MIĄCZYŃSKI

Wygrana Donalda Trumpa...

...nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia. To amerykańscy wyborcy o tym zdecydowali. My zaś powinniśmy korzystać z ich decyzji i zachęcać każdego prezydenta USA do jeszcze lepszej współpracy z Polską.

Jeśli my, Europejczycy, będziemy przegrywać, to nie przez Trumpa i Stany Zjednoczone, ale przez brak własnej mądrości – że nie rozumiemy, jaki mamy potencjał. Jestem wielkim fanem Unii Europejskiej...

Ale?

– Unia jest większa niż kilka, kilkanaście lat temu, ale jest również zagubiona w wielu wymiarach. Nie jest też w stanie podejmować szybko koniecznych decyzji, bo wystarczy, że jedno państwo się sprzeciwi, i już proces decyzyjny zaczyna się ciągnąć. Unia, której pierwotna koncepcja pochodzi z lat 50. ubiegłego wieku, miała inne cele. Głównie była unią handlową. Teraz powinna mieć też inne cele, bo świat się zmienił.

Już dzisiaj powinniśmy powołać w Unii zespół do stworzenia nowej koncepcji UE. Amerykanie nie są przypadkowo przywódcami świata. Sukces USA bierze się też stąd, że zorganizowali inny system.

A my, Europejczycy, powinniśmy próbować zrozumieć, co w systemie amerykańskim stanowi o jego skuteczności – nie kopiować go dokładnie, bo jak każdy ma swoje wady, tylko zastanowić się, jakie elementy stamtąd zabrać, żeby stworzyć swój efektywny model federacyjny.

Polska stanem Europy?

– Nie nazywałbym Polski „stanem”, bo to zwyczajnie źle się kojarzy. Tak samo ta federacja nie powinna się nazywać Stany Zjednoczonej Europy, tylko raczej Państwa Zjednoczonej Europy. Bo Polska jest Polską i tak ma zawsze być. Mądry model federacyjny nie zabija tożsamości Państw tworzących federację. Federacja byłaby budowana na podstawie tego, co nas łączy, a nie dzieli.

Myślę, że w ten sposób został zbudowany model amerykański. W Unii Europejskiej płacimy cenę za fakt niedopracowania tych czynników, nad którymi opłaca się wszystkim krajom tworzącym Unię pracować razem.

A jakie są te istotne?

– Pierwsza rzecz, która nas powinna połączyć, to bezpieczeństwo. Spójrzmy na Rosję. Przecież Putin ma ziemi, ile chce. I na większości tej ziemi czyni ludzi biednymi. A cały czas chce więcej. Do czego? Nie wiem. Ale musimy się przed tym bronić. Powinniśmy mieć wspólną armię oraz wspólny budżet przeznaczony na te cele, tak jak Stany Zjednoczone.

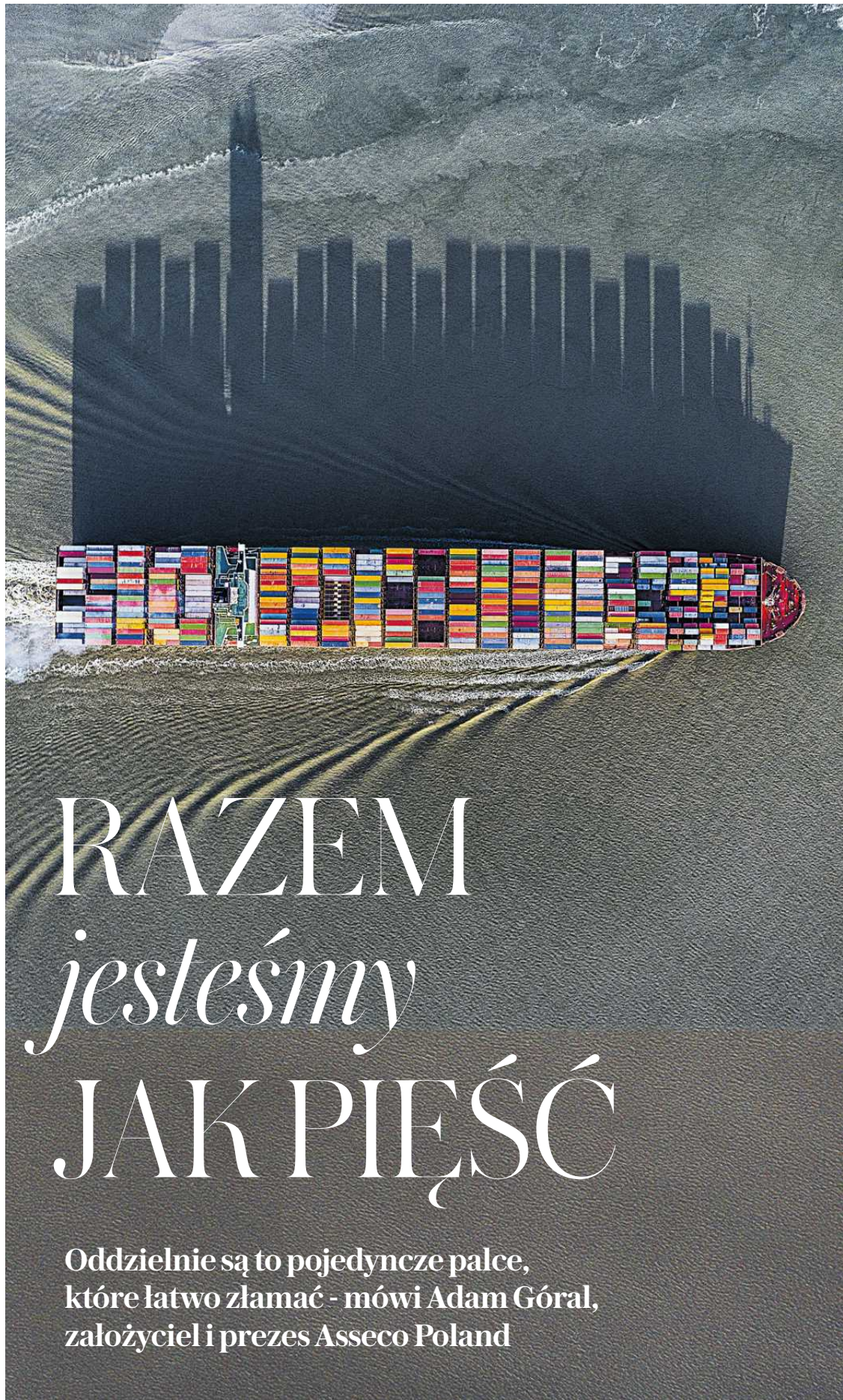
Trzeba przyjąć do wiadomości, że jeśli chcemy, aby Ukraina była z nami, to będziemy musieli przez długie lata wydawać tam znaczące pieniądze. Nie wiem, czy nas – Europę – na to stać. Nie wiem, czy Niemców na to stać, bo oni byliby tu głównym płatnikiem. I nie wiem, czy mają ochotę na taki wydatek. Ale inaczej z Ukrainą stanie się to samo, co stało się z Gruzją, którą świat Zachodu porzucił. A niskim kosztem USA i Unia mogły uczynić z tego kraju stosunkowo bogate państwo. Gdyby Gruzja była bogata, to Rosjanie, którzy by tam podróżowali, byliby zazdrośni. Zobaczyliby, że ten Gruzin, który za czasów, kiedy oni tam rządili, był biedny, stał się niezależny finansowo. I wystarczyło, że poszedł do innego systemu gospodarczego – i nagle wszystko się zmieniło.

A druga rzecz?

– Ile osób wie, kim jest pani Ursula von der Leyen? Bo jej się, że większość Polek i Polaków nie ma pojęcia. Jest nam wszystko jedno, kto jest szefem Komisji Europejskiej, kto jest szefem Parlamentu Europejskiego – człowiek się nad tym nie zastanawia. Uczciwie mówiąc, mnie też przez wiele lat było to obojętne. Powinniśmy wspólnie wybierać prezydenta, bo wtedy wszyscy wiedzielibyśmy, że mamy prezydenta Unii Europejskiej, który nas reprezentuje w sprawach, które nas łączyły. Tak, żeby ludzie czuli, że ta federacja jest ich, że mają na nią wpływ, że jest ktoś, kto Unię na zewnątrz reprezentuje.

A już kwestią do dyskusji jest, jak powinna wyglądać relacja między prezydentem Polski a prezydentem UE – w jakiej sprawie prezydent Polski nie może zrobić czegoś bez prezydenta Państw Zjednoczonych Europy itd.

Przecież rola gubernatorów USA – którzy w naszej Unii byliby prezydentami – jest potężna. I w konsekwencji różnice pomiędzy poszczególnymi stanami są ogromne.



RAZEM jesteśmy JAK PIĘŚĆ

Oddzielnie są to pojedyncze palce,
które łatwo złamać - mówi Adam Góral,
założyciel i prezes Asseco Poland

Tutaj już ciśnienie paru osobom mocno skacze.

– A co jest alternatywą? Oczywiście, Niemcy mogą dbać tylko o swoje, Hiszpanie o swoje, Francuzi o swoje, Włosi o swoje. I wszyscy będą rozgrywać i ogywać. Unia Europejska ma ok. 4,4 mln km². Stany Zjednoczone (USA) – ok. 9,8 mln km². Unia to 449 mln ludzi. Stany Zjednoczone – 341 mln ludzi.

Gospodarka USA jest największa na świecie – to jakieś 28 biliona dolarów. Ale UE jako blok to druga gospodarka świata – ok. 18,6 biliona dolarów. Razem jesteśmy jak pięść. Oddzielnie są to pojedyncze palce, które łatwo złamać.

Jedność Europy jest problemem i dla USA, i dla Chin. Dlatego oni nigdy nie będą dbali o to, żebyśmy byli lepiej zintegrowani. Raczej postarają się – i starają się – rozgrywać swoje interesy między poszczególnymi państwami. Po to, żeby Unia nie była dla nich konkurencją. Jeżeli nie zaczniemy wspólnie lepiej działać, będziemy traktowani przedmiotowo. My, Europejczycy, mówimy, że projekt Państw Zjednoczonej Europy jest niemożliwy do realizacji, bo w poszczególnych krajach wszyscy uważają to za utratę tożsamości. Żeby jednak tak stwierdzić, to najpierw należy ten model precyzyjnie zdefiniować, a później zastanawiać się nad konsekwencjami jego wprowadzenia.

Tymczasem, ponieważ model obecny nie jest do końca zrozumiały, dajemy pożywkę tym wszystkim, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, że nasze spo-

czeństwa, działając samodzielnie, przegrają długofalowo w konkurencji światowej.

Sceptycy powiedzą, że przy nacjonalizmach rozdzierających Europę już teraz można sobie usypać taki kurhanek i powiedzieć, że jest pozamiatane.

– Lepiej by było, gdybyśmy podchodzili do tego z wiarą. Po to, aby wywierać presję na polityków, którzy na koniec robią to, co im się opłaca, czyli to, czego chcą wyborcy. I wiem, że jak spojrzymy na fakty, to podtrzymywać tę wiarę jest trudno. Ale to nam się opłaca.

Jak?

– Model federacyjny, przez nas stworzony w Grupie Asseco, nie zabija przedsiębiorczości, nie zabija samodzielności. Mogłem prowadzić firmę Comp Rzeszów przez całe lata – bylibyśmy na rynku bankowym w Polsce znaczącą firmą, Europa by w ogóle nie wiedziała, że istniejemy. Żyłbym z tego wygodnie. Ludzie, którzy by przy tym pracowali, byliby w miarę majątni, ale to nie miałyby żadnej przyszłości. Dlatego poszedłem wiązać z nami inne firmy. I po latach zbudowaliśmy taką mini Unię Europejską złożoną z mniejszych firm w postaci Grupy Asseco.

Kiedy zaczęliśmy wychodzić jako firma za granicę, konkretnie na Słowację, to na kartce spisaliśmy kilka prostych zasad. Jeżeli ja kupuję coś od ciebie, to ci płacę. Jeżeli ja wdrażam twoje projekty w Polsce, to ty mi masz zapłacić. Tych zasad się trzymamy.

Nikt nie ma u nas pretensji, nikt nie czuje się okradany. Jesteśmy przyjaciółmi, szanujemy swoją tożsamość, szanujemy identyfikowanie się z konkretnym państwem, szanujemy inne języki.

Był u mnie niedawno w Madrycie Guy Bernstein – szef naszej izraelskiej spółki Formula Systems. Wspominaliśmy stare lata, bo jesteśmy już razem kilkanaście lat. Formula Systems w Izraelu miała wówczas, gdy zaczynaliśmy, trzy filary: spółki Matrix IT, Sapiens i Magic Software. Na początku wszystkie trzy firmy były dobre, ale bez wielkich strategii. Były małe w stosunku do tego, czym są dzisiaj. Ich postęp dzięki modelowi federacyjnemu jest nieprawdopodobny.

Bernstein realizował biznesy i swoje pomysły, a my nigdy byśmy go nie zastąpili. Bo – też sobie to uczciwie powiedzmy – nie ma Polaka, który jako lider poradził by sobie na bliskowschodnich rynkach.

Kiedy opowiadam o tym, to wszyscy twierdzą, że w Unii to nierealne. Ale jak pytam, co jest nierealne – nie potrafią odpowiedzieć. Tak długo, jak nie zdefiniujemy modelu federacyjnego, to go nie odrzucamy.

O ekonomii świata decydują obecnie trzy rzeczy. Handel – czyli ten, kto to realnie sprzedaje klientowi końcowemu – technologia informatyczna i logistyka. Bo wyprodukować każdy potrafi. I w tych trzech dziedzinach Amerykanie i Chińczycy są teraz najwięksi na świecie.

– Czy przewaga USA i Chin, jeżeli chodzi o Artificial Intelligence czy o chmurę, jest przypadkiem? Nie. Ona jest też konsekwencją ograniczeń, które UE tworzy dla Europejczyków.

Mario Draghi [włoski ekonomista, były prezes Europejskiego Banku Centralnego] napisał w raporcie „Przyszłość konkurencyjności europejskiej”, że my jesteśmy często przeregulowani, staramy się być święci, a powinniśmy zadbać o swoje interesy i stworzyć bardziej sprzyjające środowisko dla inwestycji oraz wzrostu europejskich przedsiębiorstw.

W obecnym świecie ogromna władza jest wkładana w ręce pojedynczych firm. Ale na czele tych firm stoją pojedynczy ludzie i tam, gdzie podejmowane są strategiczne decyzje, pól świata zależeć będzie od decyzji takiego człowieka. Tyle że te firmy są amerykańskie albo chińskie.

Byłem jakiś czas temu na konferencji zorganizowanej przez dużą chińską firmę online’ową. Był tam menedżer wysokiego szczebla, który powiedział: A my teraz nauczymy Europę, jak się robi e-handel, ponieważ Europa tego nie wie. I faktycznie – w porównaniu z nimi nie wiemy, jak to się robi. Żyjemy w spokojnym przekonaniu, że jesteśmy najlepsi.

– Może musimy się przebudzić? Zrozumieć, gdzie jesteśmy w tym momencie. Może my, Europejczycy, nie mamy świadomości, że zostaliśmy w tyle, a za moment zostaniemy jeszcze bardziej? Inne nacje też myślały, też pracują – nie jesteśmy nikim wyjątkowym. Trzeba na to wszystko patrzeć mądrze i z pokorą. Żyjemy złudzeniem, że kraje arabskie to wielkie stacje benzynowe, które śpią na pieniądzach, i że bardzo łatwo im wszystko sprzedać. A my działamy w Arabii Saudyjskiej i widzimy, że dzieci tych bogatych ludzi mają już za sobą studia na najlepszych uczelniach. Większość z nich ma obowiązek powrotu. Są wykształceni w kulturze zachodniej. Przetargi robi się tam według najlepszych europejskich zasad.

Polacy ciągle uważają, że Chińczycy to specjaliści od tandety.

– Moi ludzie pojechali do Chin i wrócili oszołomieni. Pokazano im ruch każdej osoby z wycieczki od momentu pojawienia się na lotnisku. Ich technologia, systemy rozpoznawania twarzy umożliwiają złapanie złodzieja czy osoby, która przeszła na czerwonym świetle, w ciągu godziny.

Lekceważenie postępu, który w Chinach stał się faktem, jest błędem. A ten postęp my, Europejczycy, przyspieszyliśmy przez nasze naiwne myślenie, że przesuwanie produkcji do Chin, potanianie tej produkcji, to będzie dla nas niesamowity biznes.

To było krótkofalowe myślenie. Zwłaszcza że to jest inna kultura, inna moralność.

Znowu podkreślę: postęp Chin nie jest przypadkowy. Z cierpliwością, z pokorą uczyli się od Amerykanów. Jeździli na najlepsze uczelnie, zapraszali do siebie najlepszych profesorów amerykańskich.

Na początku, owszem, kopiowali rozwiązania zachodnie, ale to doprowadziło do tego, że dzisiaj – w rankingu uczelni – uczelnie chińskie rządzą.

W najnowszym rankingu szanghajskim (Academic Ranking of World Universities, ARWU) z 2024 roku Chiny mają największą reprezentację – 225 uczelni

◀ **UE jako blok to druga gospodarka świata – ok. 18,6 bln dol**

FOT. GETTY IMAGES

wśród 1000 najlepszych na świecie. Najwyższa chińska uczelnia jest na 22. miejscu. Polska? Najwyższe miejsca zajęły ex aequo Uniwersytet Jagielloński i Uniwersytet Warszawski – znalazły się w piątej setce.

– Tymczasem my w swoim oderwaniu od rzeczywistości oczekujemy, że jesteśmy tak samo mądrzy jak ci wykształceni na najlepszych uczelniach świata. To zwyczajnie niemożliwe. Jak ktoś jest wykształcony na Princeton, Harvardzie, MIT, teraz na najlepszych uczelniach chińskich – przez wybitnych profesorów – to zwyczajnie będzie lepszy. Znajdziemy pojedynczych Polaków, którzy skończyli tam studia. Tyle że w narodzie, który ma 38 milionów mieszkańców, zawsze będzie grupa ludzi wybitnych, którzy bez żadnego dodatkowego systemu dadzą sobie radę w dowolnym miejscu na świecie.

To jest wąska grupa, prawda? Dlaczego Wojtek Zaremba, który jest współzałożycielem OpenAI, osiągnął tak wiele? Pomogło mu to, że znalazł się w odpowiednim miejscu, w odpowiednich uwarunkowaniach, w grupie megazdolnych ludzi. W pewnej strukturze, której w Polsce nie ma.

Jeżeli czegoś nie zrobimy z edukacją...

–...to częściowo zaprzepaścimy wysiłek mojej grupy wiekowej, tych już starszych ludzi, którzy mieli ambicje, żeby coś pokazać światu, bo przecież wyrwaliśmy się z beznadziejnych czasów komunistycznych.

Młodzi ludzie w Polsce nie będą mieli nigdy naszych emocji, bo ich kompleksy są mniejsze, bo podróżując, bo dzięki rodzicom i ich wysiłkowi przez długie dekady już ich na to stać.

Nie są tak głodni.

– Dokładnie tak. I całe szczęście, że nie ma tego głodu. Ale jeżeli nie poprawimy edukacji, to w przyszłości możemy przegrywać. Bo będziemy tylko przeciętni, a to teraz za mało. Żyjemy w świecie ogromnej konkurencji. I ta konkurencja jest wielowymiarowa. Konkuruje ze sobą ludzie, firmy, miasta, jesteśmy pozycjonowani w świecie globalnym, przepływ informacji jest dzisiaj błyskawiczny.

Świat się przez to zmniejszył.

A na czym te zmiany w edukacji mogłyby polegać? Wysoka pozycja amerykańskich uczelni bierze się na przykład z tego, że mają wśród kadry laureatów Nagrody Nobla. To automatycznie w rankingu szanghajskim podnosi pozycję takiej szkoły.

– Powinniśmy przede wszystkim zacząć od pogodze-

telewizor Samsunga, to się wstydził do tego przyznać. Wolął mieć jakiegoś Philipsa albo najlepiej Sony.

Koreańczycy z pokorą kopiowali lepsze rozwiązania, mieli coraz lepsze ceny, to, co zarabiali, mądrze wydawali i dziś są liderami. Dzisiaj wszyscy wiedzą, co to Samsung, nikt się nie wstydzi, że ma w domu telewizor Samsunga, nikt się nie wstydzi, że jeździ koreańskim samochodem. I nam tego brakuje jako nacji – refleksji.

Znowu, siła Asseco polega na tym, że mamy się z kim porównywać. Oczywiście, że nie jesteśmy Oracle, nie jesteśmy Microsoftem, ale biorąc pod uwagę drogę, którą przebyliśmy, to mamy wiele powodów do dumy. Sporo już potrafimy, jesteśmy numerem jeden w Polsce, Słowacji, Czechach, na Balkanach, w Izraelu. I jeżeli ciągle będziemy myśleli, że jesteśmy niedoskonalni, ciągle szukali swoich słabości i je zmieniali, to za 10 lat będziemy dalej na bardzo wysokim poziomie.

Ale musimy mieć w sobie zdrowy niepokój i pokorę. Musimy mieć świadomość, że to, co robimy, jest niedoskonałe. Musimy umieć rozmawiać o swoich problemach. Bo jeśli cały czas będziemy usiłowali zrozumieć, dlaczego inni są lepsi, to będziemy się rozwijali.

Politycy nam mówią, że zaraz przegonimy całą zachodnią Europę, łącznie z Niemcami.

– Nawet niedawno ktoś mnie spytał, czy Polska dogoni Niemcy na przestrzeni 10 lat.

I co pan odpowiedział?

– Że w ogóle nie chcę się z żadnymi Niemcami ścigać, nie interesuje mnie to, a ich potencjalne przegonienie wcale nie musi oznaczać sukcesu.

Mam inne marzenia. Takie, żeby w Polsce nie było biednych ludzi, żebyśmy z roku na rok coraz lepiej żyli, żebyśmy się rozwijali, żebyśmy rośli. Jeżeli Niemcy będą jeszcze bogatsi, niż dzisiaj są, to dla mnie, dla Europejczyka, jest to dobre.

– Dlaczego do nas nie dociera, że prawie 30 proc. naszego eksportu trafia do Niemiec? I że słabość gospodarki niemieckiej od razu przekłada się na Polskę? Już jesteśmy mocno powiązani. Jak my, Europejczycy, nie nauczymy się życzyć sobie nawzajem dobrze, to przegramy.

Poza tym całe to gonienie innych krajów odbywa się z punktu widzenia PKB.

Widzę, że jest pan sceptyczny

– Bo bogactwo państwa polega nie tylko na tym, co

Doprowadziliśmy do sytuacji, kiedy jedna grupa ludzi mówi: „tylko my jesteśmy patriotami”, odmawiając innym — którzy też są świetnymi Polakami — prawa do nazywania się w ten sposób

nia się z tym, że nas tam nie ma. Że skoro od lat nie widzimy żadnego specjalnego postępu, to znaczy, że coś robimy źle. A nasze środowisko naukowe – moim zdaniem – nie umie rozmawiać o swoich problemach, słabościach.

Co robi, jak ktoś im coś zarzuca?

Zaczyna się bronić.

– Massachusetts Institute of Technology jest numerem jeden na świecie wśród uczelni technicznych. Gdybym był rektorem polskiej uczelni, pojechałbym tam, wziął program MIT, zaprosił dziesięciu amerykańskich profesorów jako visiting professors, a do nich oddelegowałbym po kilku doktorów, magistrów, asystentów, którzy musieliby chodzić na każdy wykład i go spisywać. Po roku ci profesorowie by wyjechali, dałbym swoim doktorom dalej prowadzić zajęcia, ale różnica byłaby taka, że oni mówiliby już o tym samym i tym samym językiem co światowi innowatorzy.

Oczywiście nie byłiby tacy świetni jak oni. Wysyłałbym ich więc dalej na światowe konferencje, aby się uczyli i zadawali pytania. Bo mieliby już podstawy, wiedzieliby, o co pytać. Teraz zwyczajnie nie wiedzą, a uważają, że są świetni.

To zjawisko widzieliśmy w ostatnich latach w biznesie – w Chinach, w Korei. Proszę sobie przypomnieć, jak to wyglądało 15 lat temu. Jak ktoś kupował

państwo dzisiaj produkuje, ale również na tym, jakim majątkiem dysponuje każdy obywatel.

Pamiętam, patrzyłem na Hiszpanię, kiedy byli w największym kryzysie. Bezrobocie wśród młodych? Astronomiczne, wynosiło wtedy 40 bądź 50 proc. I byłem zszokowany, że ci ludzie dalej żyją, chodzą uśmiechnięci po kawiarniach, mimo że nie mają pracy. Dlaczego? Bo ich rodzice, dziadkowie zgromadzili przez ostatnie dekady tyle kapitału – oszczędności, mieszkań – że te dzieci miały i mają z czego żyć.

My ciągle zaś jesteśmy na etapie pierwotnej akumulacji. Oczywiście to się zmienia. Moja generacja będzie wymierała, coś po sobie zostawi i tak dalej. Już wchodzimy na ten inny etap, ale to jest proces, który będzie trwał. W porównaniu z nimi ciągle jesteśmy na dorobku.

Powinniśmy być dumni z naszych osiągnięć?

– Oczywiście. Mamy wiele powodów do dumy, stworzyliśmy naprawdę transparentne państwo. Jasne, bywały sytuacje patologiczne, ale zasadniczo nie rozdaliśmy państwowego majątku, nie oddaliśmy KGHM czy PKO BP i setek innych firm, nie stworzyliśmy żadnej klasy oligarchów.

Nasi przedsiębiorcy w lwiej części wzbogacili się swoją pracą. Pamiętam, lata temu sprawdzałem, że pięciu Czechów miało tyle, co stu najbogatszych Polaków.

Teraz suma majątków pięciorga najbogatszych Czechów: 51,3 mld dol, z Renátą Kellnerową na czele – 18 mld dol. Suma majątków pięciu najbogatszych Polaków to jakieś 23,21 mld dol, przy czym Michał Solowow ma coś koło 7 mld dol.

– Ta różnica bierze się stąd, że oni umieli rozegrać czeski model prywatyzacji, czyli tzw. kuponówkę. Państwo rozdało kupony, które można było zamienić na akcje firm, a ci dzisiejsi najbogatsi skupili je od ludzi. Nie do końca widzę zresztą coś w tym złego. Potworzyli swoje majątki, ale stworzyli też firmy, które funkcjonują do dzisiaj, pracują dla Czech. Poszliśmy jednak inną drogą. I mamy wiele powodów do dumy, bo postęp, który zrobiliśmy, jest ogromny.

Jest pan patriotą?

– Zacząłem unikać słowa „patriotyzm”. Niestety, ostatnie lata zdeprecjonowały to słowo. Zawsze myślę o swoim kraju, ale nigdy nie użyłbym stwierdzenia, że ja jestem patriotą, a ktoś, kto ma inne poglądy, patriotą nie jest. Nie śmiałbym tak powiedzieć.

Tymczasem doprowadziliśmy do sytuacji, kiedy jedna grupa ludzi mówi: „tylko my jesteśmy patriotami”, odmawiając innym – którzy też są świetnymi Polakami – prawa do nazywania się w ten sposób.

Dlatego dzisiaj obawiam się mówienia o patriotyzmie. Zamieniłem to słowo na „mądrość gospodarczą”. Wolę działać w interesie wspólnoty, niż o tym mówić.

Jako Polak, jeżeli mogę wybrać polskie, to wybieram polskie. Jeżeli kupuję meble i jest dobra polska firma, która ma dobrą cenę, czas realizacji zlecenia mi odpowiada, będę miał gwarancję, wiem, że będę poważnie traktowany, to moim obowiązkiem jest wybrać właśnie ją. Jeżeli tego produktu nie ma w Polsce, to powinienem wybrać coś z Unii Europejskiej.

Jak pracujesz dla zagranicznej firmy, to masz swoją postawą promować Polskę. Czyli ściągać tu pieniądze, ściągać inwestycje, sprawiać, żeby ta firma chciała inwestować w Polsce, bo te inwestycje budują nasz kraj.

Ta mądrość gospodarcza polega choćby na tym, że płacimy podatki w miejscach powstawania przychodu.

Uczciwie płacę podatki w Polsce. Czuję się współodpowiedzialny za swój kraj, chcę go budować, jeżdżę po drogach, które tworzone są z podatków, ludzie, którzy u mnie pracują, korzystają z publicznych szpitali.

Państwo, aby sprawnie działać, musi mieć pieniądze. A ja mam wtedy prawo komentować, czy ktoś je wydaje dobrze czy źle.

Nie żał panu tych pieniędzy? Często ludzie twierdzą: płaciłbym więcej, ale zmarnują.

– Nie. Nie traktuję tego jako zubożenie. Absolutnie i bezapelacyjnie chcę się składać na to państwo. Ale chciałem, żeby Słowak też czuł się dobrym Słowakiem. W związku z tym nie robiliśmy sztucznych kosztów w Słowacji, żeby przenieść pieniądze do Polski i tu zapłacić podatek. Bo chcę, żeby lider słowacki też miał poczucie, że jest dobrym Słowakiem.

I tym różnimy się od wielkich korporacji, bo one optymalizują, przesuwają zysk do miejsca, gdzie ten podatek jest najniższy. Oczywiście mają do tego prawo, nie krytykuję ich, ale dla nas nie chciałem takiego modelu.

Narzekacie jako przedsiębiorcy, że system podatkowy w Polsce jest kiepski.

– My, przedsiębiorcy, jesteśmy klientem państwa. Jeślibym budował system bankowy bez bankowca, to tego banku zaraz by nie było. A system podatkowy przez lata był budowany bez naszego znaczącego udziału.

Wini pan państwo?

– Nie. To my jesteśmy odpowiedzialni jako przedsiębiorcy za to, że nasz system podatkowy jest kiepski. Usiłuję przekonać nasze organizacje biznesowe do myślenia, że jeśli na coś narzekamy, to jesteśmy absolutnie współwinni. Bo my, przedsiębiorcy, nie stworzyliśmy wspólnej reprezentacji dla państwa. Co jest sukcesem dla organizacji biznesowej w Polsce? Jak premier czy minister finansów chcą się z nią spotkać. Przez przypadek uczestniczyłem w czymś takim w Rzeszowie w trakcie Kongresu 590. Była wtedy bodaj pani minister Teresa Czerwińska. Siedziałem przy tym stole, pełno przedsiębiorców: jeden mówi o przemyśle spożywczym, drugi o informatyce, trzeci reprezentuje deweloperów.

Powiedziałem wtedy: „Pani minister, przecież to jest strata czasu”. Puste spotkania. Po co to komu? Żeby wspólne zdęcia zrobić?

Ale skoro my, przedsiębiorcy, nie jesteśmy w stanie stworzyć wspólnej, skutecznej reprezentacji, to nie powinniśmy mieć pretensji do państwa. My, przedsiębiorcy, chcemy mieć dobry system podatkowy? To powinniśmy opłacić nieprzeciętnych ludzi, którzy zbudują koncepcję takiego systemu, który naszym zdaniem byłby systemem fair.

Aha.

– Ja nie mówię, że państwo od razu za tym podąży, ale gdyby te nasze precyzyjne koncepcje czekały, to być może jakieś grupy polityków by się nad nimi pochyliły. To nie oznacza, że my nie chcemy płacić podatków.

A co?

– Koncepcja systemu oznacza, że my chcemy rozumieć ten system. Skąd się biorą narzekania? Z braku precyzji systemów przygotowanych dla nas. Po czasach komunistycznych został nam jakiś system prawny, później coś tam kasowaliśmy, coś tam dokładaliśmy, żeby powalczyć o głosy wyborców. Dużo zmieniły regulacje unijne. I w efekcie stopień komplikacji stał się nieprawdopodobny. Urzędnik nie do końca potrafi jednoznacznie zinterpretować przepisy, a przedsiębiorca nagle jest ścigany. Mimo że w zdecydowanej większości przypadków chciałby żyć uczciwie, zapłacić, mieć spokój, ale nie wie, ile to powinno być. I później jest karany. Za niewiedzę. Nie tylko swoją, ale i innych.

My chcemy żyć zgodnie z prawem, chcemy być fair w stosunku do naszego państwa, tylko nie chcemy płacić ceny za błędy urzędnicze czy, jak kto woli, błędy państwa. To jest pierwsza rzecz. A druga – oczekujemy od państwa ciągłości zasad. Niedawno na naszym evencie występował Piotr Krupa z Kruka i mówił właśnie o tej ciągłości. Że jest rozalony, bo ledwo uchwalono przepisy o fundacjach, które poparły wszystkie partie polityczne, a już w nowym rządzie pojawiły się poglądy, że fundacja będzie miejscem do optymalizacji podatkowych. To bardzo krzywdzące dla nas przedsiębiorców.

Dlaczego powstała ustawa o fundacjach? Dlatego, że majątki wielu Polaków były wprowadzone do innych krajów: na Cypr, do Liechtensteinu, Szwajcarii, Niemiec, Austrii. To lepiej, żeby te fundacje były w Polsce czy za granicą? Ktoś coś sprzedaje? Pieniądże nadal zostają w fundacji, zostają w Polsce.

Niestety, w budowaniu systemu podatkowego zwycięża u nas myślenie, że prawie każdy chce kraść. I my budujemy systemy na tych pojedynczych ludzi, którzy takie rzeczy robią, a cierpi z tego powodu reszta. Musimy to zmienić przez uproszczenie systemu. Po takich zmianach nasze środowisko będzie się w pełni godziło na eliminację z naszego grona ludzi prawdziwie nieuczciwych.

Co się panu jeszcze nie podoba w Polsce?

– W ciągu kilkudziesięciu lat demokracji nasze elity polityczne nie zdefiniowały świętości, nie określiły, co nas łączy. Nawet gdy uderzały w nas wielkie nieszcześcia, jak Smoleńsk czy śmierć papieża Jana Pawła II, to był zaledwie moment spokoju. Niby wszyscy cierpimy, niby jesteśmy razem, ale zaraz zaczyna się gra polityczna: jedni mówią, że był święty, drudzy – że niekoniecznie. To mnie martwi, bo to jest nasza wielka słabość.

Są takie rzeczy, które łączą – wydatki na zbrojenia, pomoc Ukrainie.

– To nie jest przemysłane. To jest wymuszone. A ja oczekiwałbym od elit politycznych – które oczywiście powinny się różnić, spierać – żeby powiedziały społeczeństwu, co jest dla nas świętością. Gdzie kończy się spór polityczny, a zaczyna wspólnota. Obecnie takiej granicy nie ma. A na tym polega przewaga dojrzałych demokracji nad nami – że one mają swoje sacrum. A u nas z każdej kwestii robi się wyścigi na populizm.

Świat polityki sugeruje na przykład, że bank powinien nie zarabiać. To modne teraz. Tymczasem każdy z nas powinien się bać, jeśli ma pieniądze w banku, który nie zarabia, bo może te pieniądze stracić. Bank, który nie zarabia, jest bankiem niebezpiecznym. Banki mają rosnać, mieć większe kapitały – wtedy mają większą zdolność do kredytowania gospodarki i ludzi. Takich rzeczy jest mnóstwo. Premier polskiego państwa, odpowiedzialny za wydawanie 700 czy 800 miliardów złotych rocznie, zarabia 20 tysięcy złotych miesięcznie. A my porównujemy jego zarobki z tym, co dostaje emeryt. Tak – w porównaniu z emerytem premier jest bardzo bogaty. Tyle że ten premier jest współodpowiedzialny za setki spółek państwowych, w których prezesi zarabiają dziesięć razy więcej od niego. Ile zarabia polski parlamentarzysta?

Okolo 13 tysięcy brutto.

– Porównajmy to z europarlamentarzystami, którzy zarabiają 10 tysięcy euro brutto.

Premier i parlamentarzyści powinni dostawać więcej?

– Nie wiem, ile dokładnie powinien zarabiać polski premier. Ale skoro jest odpowiedzialny za wydawanie dziesiątków miliardów złotych, to chcę, żeby był odpowiednio wynagradzany. A obecna polityka prowadzi do patologii.

Oczekiwania społeczne są takie, że politycy będą pracować za bardzo niskie peni-

dze – i nie ma tu znaczenia, że premier zarabia tyle co menedżer średniego szczebla.

To jest mit.

I co, mamy udawać, że pieniądze dla polityków nie mają znaczenia? Że mamy prawo tylko od nich wymagać? Dla zdecydowanej większości pieniędzy są ważne: żeby utrzymać rodzinę, wyedukować dzieci, dać im wybór w życiu.

A my nie płacimy dobrze osobom, które zajmują kluczowe funkcje w państwie, a później się dziwimy, co się dzieje z państwowymi spółkami. Rozumiem, że nowa ekipa polityczna chce wymienić wszystkich prezesów spółek skarbu państwa. Ale pozwólmy temu prezesowi wybrać, z kim będzie pracował. A nie, że wszyscy członkowie zarządu są z nadania innego ugrupowania politycznego. Przecież sterowanie taką firmą to będzie koszmar, a morale załogi – niskie. Jak prowadzić zarząd, kiedy nie wiadomo, czy wszyscy jednakowo interpretujemy cele firmy.

Świat polityki to biznes. Politycy realizują to, co jest korzystne dla ich własnego biznesu. W tym sposobie myślenia interes ogólny właściwie nie istnieje – liczy się interes określonej klasy politycznej.

– I właśnie w ten sposób wróci kiedyś myślenie profesora Leszka Balcerowicza, że najlepiej wszystko sprzedać. Dlaczego? Uważam, że jeśli nie mamy polskiego kapitału prywatnego, który byłby w stanie przejąć własność w sektorach strategicznych, to wolę, żeby te firmy pozostały państwowe. Oczywiście mam świadomość, że państwowe często ma wady. Ale nawet w spółkach skarbu państwa musi istnieć ciągłość zarządzania. Zarządy powinny dostawać konkretne cele: masz rosnać, masz płacić dywidendę – i z tego mają być rozliczani.

Ostatnie pytanie. Wracając do Trumpa, od którego zaczęliśmy: czy jego prezydentura może jakoś otrzeźwić Europę? Bo nagle jesteśmy bardziej zdani na siebie.

– Jeśli otrzeźwi – to świetnie. Ale ja patrzę na to trochę inaczej. Europa ma nieprawdopodobny potencjał, którego wciąż nie potrafi wykorzystać. Wystarczyłoby się przeorganizować. Przecież my w Europie potrafimy wyprodukować wszystko. W USA wygrywa teraz myślenie, że bardziej opłaca im się zdeorganizowana Europa. Tyle że to błąd.

Tylko silne Stany i silna Europa mogą być równorzędnym partnerem dla Chin. ●



FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCIA WYBORCZA.PL

Adam Góral

• ur. w 1955, przedsiębiorca, doktor nauk ekonomicznych, założyciel i prezes zarządu Asseco Poland, jednej z największych firm informatycznych w Europie. Współzałożyciel Wyższej Szkoły Zarządzania w Rzeszowie i konsul honorowy Republiki Słowackiej

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34380122

W ŚRODĘ W „WYBORCZEJ”

Sanatoria i uzdrowiska

- Alfabetyczny katalog miejscowości
- Zabiegi i pomysły na czas wolny
- Sprawdź, dokąd pojechać na leczenie i rehabilitację

DODATEK SPECJALNY





PÓŁ
WIEKU Z
Angelina

Najpierw była
skandalistką,
symbolem seksu
i heroiną kina akcji.
Potem media
wykreowały ją
na koszmar
każdej żony.
Angelina Jolie
kończy 50 lat.

FOT. KRISTY SPAROW/GETTY IMAGES

Marta Górna

Był czas, że tłumaczyła się z rozmiaru piersi komputerowej ikony seksu. Do roli nosiła stanik powiększający jej własne, bo z Larą Croft trudno było w tej materii konkurować. – Nie mam płaskiej klatki piersiowej, ale dajcie spokój. Musieliśmy mnie nieco podrasować, Lara z gry nosi rozmiar DD, ja noszę 36C. Lara nie przeprosza za to, jak wygląda, więc ja też nie będę za nią przeproszała – mówiła.

Jest bohaterką kilkunastu biografii. Nieautoryzowanych. I setek tysięcy artykułów we wszystkich językach, może poza łaciną, choć stuprocentowej pewności nie mam.

A jednak pozostaje w dużej mierze tajemnicza. Choć nie można powiedzieć, żeby skąpiła mediom szczegółów ze swego życia, zwłaszcza tego prywatnego: w miłości zawsze była ostentacyjna. A może jej osobiste wynurzenia zawsze były częścią kreowania wizerunku?

I trudno też uwierzyć, że 4 czerwca obchodzi 50. urodziny. Angelina Jolie wydaje się bowiem wiecznie młoda. Nie tylko z powodu urody czy hollywoodzkiej aury, jaka zawsze ją otacza. Czas w świadomości wielu widzów zatrzymał się dla niej gdzieś na początku XXI wieku: jest trochę jak zatopiona w bursztynie, choć przecież nie poszła na aktorską emeryturę.

Pół Brangeliny

Gdyby śledzić jej życie tylko z perspektywy medialnych nagłówków, można by je podzielić na to przed Bradem i po Bradzie. Czyli przed związkiem z Bradem Pittem, który dla Jolie – postrzeganej jako ekscentryczna piękność z Oscarem na koncie – zostawił ulubienicę publiczności Jennifer Aniston.

Media ochrzciły tę parę Brangelina, a sama Angelina stała się uosobieniem lęków wielu żon: kobietą piękną i niezależną, dla której mężczyzna, nawet zakochany po uszy, traci głowę.

Trudno z taką łatką buduje się dalszą karierę. Ale dla Jolie to nie było pierwsze rodeo. W latach 90., kiedy zaczynała, już nazywano ją królową skandalu. Głośno mówiła o tym, że chce być seksualnym zwierzęciem, dobrze się bawić, na czerwonych dywanach całowała się w usta z rodzonym bratem. Wytatuowana, wystylizowana na frontmankę kapeli psychobilly – gatunek muzyki rockowej, który blenduje sznyt Elvisa Presleya z motywami punkowymi i zapożyczonymi z kina grozy – budziła zainteresowanie każdym wypowiedzianym zdaniem, nawet jeśli nie było specjalnie przemyślane.

Magazynowi „Rolling Stone” opowiadała np., jak to były już małż, aktor Billy Bob Thornton znalazł ją pewnego dnia w wannie ubraną w piżamę. Karmiła ukochanego szczura ciastem dyniowym. – To jedna z tych rzeczy, które tylko ktoś, kto bardzo mnie kocha, uzna za urocze – mówiła. Małżeństwo przetrwało ledwie trzy lata, choć – a może właśnie dlatego – zakochani nosili na szyjach fiołki ze swoją krwią.

Dziś już się uspokoiła, ma w sobie więcej z diwy niż niegrzecznej dziewczynki. I stanowczo za mało mówi się o tym, że Jolie zrobiła dla świata wiele dobrego.

Usta cyborga

Na początku lat 90. wydawało się, że pojawiła się znikąd: zjawisko o przeszywającym spojrzeniu i wydatnych ustach, które stały się jej znakiem rozpoznawczym. Zadebiutowała w 1992 r. rolę zbuntowanej cyborgi w kontynuacji kultowego w wąskich kręgach „Cyborga” z Jeanem-Claudem Van Dammem.

Nie był to udany debiut: twierdzi, że po obejrzeniu filmu poszła do domu i zwymiotowała. Przez kolejny rok nie wybrała się również na żaden casting, tak bardzo czuła się rozczarowana aktorstwem. Nie poprosiła jednak o pomoc ojca. – Kiedy postanowiłam zostać aktorką, do niczego mnie nie zmuszał, wiedział, że chcę poradzić sobie sama. Nie chciałam być kojarzona z jego nazwiskiem, miałam plan, by stanowić sama o sobie.

Raz nawet, na antenie hiszpańskiej telewizji, zaprzeczyła, że w ogóle się znają.

Urodziła się w Los Angeles, blisko Hollywood, w dodatku w hollywoodzkiej arystokracji. Jej ojcem jest Jon Voight, laureat Oscara za „Powrót do domu”, nominowany też m.in. za „Uciekający pociąg” czy „Nocnego kowboja”. Obecnie również specjalny wysłannik Donalda Trumpa w Hollywood.

Matką Jolie była zmarła w 2007 r. piękność Marcheline Bertrand – aktorka, która porzuciła zawód, by zająć się dziećmi: Angeliną i jej starszym bratem Havem. Rodzice Jolie się rozstali, kiedy Angelina miała rok. Dziś twierdzi, że w wieku 16 lat zapragnę-



▲ **Od 2001 r. jako specjalna wysłanniczka UNHCR, agendy ONZ ds. uchodźców, regularnie odwiedza ich obozy na całym świecie. Na zdj. obóz uciekinierów z Syrii w Dżaber w Jordanii**
FOT. UNHCR/O.LABAN-MATTEI

ła zostać aktorką dzięki filmom, które pokazywała jej mama, a nie zainspirowana sukcesem ojca. Mniej więcej w tym samym czasie zaczęła się uczyć, jak posługiwać się nożem (umiejętnościami zadziwia, a noże kolekcjonuje do dziś). Marzyła też przez chwilę o karierze szefowej domu pogrzebowego, zresztą sama nosiła się tak, jakby była od dawna zabalsamowana: na czarno, błada, z czerwonymi ustami.

Początkowo dostawała role dekoracyjne, częściej można było oglądać ją w teledyskach niż filmach. Po „Cyborgu 2: Szklanym cieniu” wystąpiła w przasných z dzisiejszej perspektywy „Hakerach” (1995): o grupce nastoletnich cyberprzestępców w pstrokatych strojach. Na planie tego filmu poznała pierwszego męża, brytyjskiego aktora Jonny’ego Lee Millera. Podczas ślubu przysięgę złożyła ubrana w lateks i białą ko-

szulkę, na której własną krwią wypisała – czystą igłą chirurgiczną – imię ukochanego.

Magazynowi „Empire” powie w 1996 r. z prowokacyjnym uśmieszkiem, że nie było to wesele białe, a całkiem czarne. Jak satanistyczna msza. Wygłosi też coś, co zabrzmi potem jak prorocstwo: „Dostaję sporo ról silnych kobiet, ale tego gorszego typu: tych w podkoszulkach, bez stanika pod spodem, kobiet, które wiedzą, jak złożyć pistolet. Chciałabym grać twardzielki, które są jednocześnie kobiece”.

Choć kilka lat później dostała Oscara dla najlepszej aktorki drugoplanowej za rolę niezrównoważonej, ale charyzmatycznej Lisy w „Przerwanej lekcji muzyki” (1999), to dopiero dzięki swojej kolejnej bohaterce stała się międzynarodową gwiazdą. Przy okazji także seksybnym przełomu wieków, aktorką kojarzoną z seksapilem, a nie talentem.

No i dwoma beretami zatknietymi w kabury niepokojąco obciążające kuse portki.

Wykapana Lara Croft

Kiedy w 1999 r. w świat poszła fama, że powstaje ekranizacja „Tomb Raidera”, jednej z najpopularniejszych gier komputerowych wszech czasów, gamin-gowa społeczność i branża filmowa stanęły na baczność. Wszystkich interesowało głównie jedno: kto wcieli się w bohaterkę gier, seksowną archeolożkę z arystokratycznej brytyjskiej rodziny Larę Croft.

Croft już wtedy traktowana była przez fanów jak prawdziwa osoba, choć jej gigantyczny biust i sięgający pasa warkocz stworzone były z pikseli. O rolę starały się największe gwiazdy Hollywood końca lat 90., m.in.: Ashley Judd, Jennifer Lopez, Demi Moore i Catherine Zeta-Jones.

Wybór Jolie nie spodobał się wielu wielbicielom Croft. Po pierwsze dlatego, że była Amerykanką, po drugie, z powodu jej, już wówczas budzącego kontrowersje na całego, wizerunku. Reżyser Simon West uciszył wątpliwości. – To musiała być Angelina – powiedział. – Lara sypia z nożami i nie daje sobą pomiatać. Tak jak Jolie.

Jako Lara Croft wycisnęła z roli wszystko, co się dało. Użytych postaci z gry wideo swojej pewności siebie i uroku, choć widzowie narzekali, że jej Lara to prostaczka. Recenzje filmu były druzgocące, ale hit świetnie radził sobie w kinach: był w chwili premiery drugą pod względem dochodowości adaptacją gry komputerowej w historii.

Gdyby Jolie się zagapiła, od Lary Croft mogłaby się nigdy nie uwolnić. Być może trzeba by jej nawet do trumny włożyć dwa pistolety, pochować w podkoszulku i w szortach. Na szczęście na to nie pozwoliła.

Koszmar każdej żony

Zanim jednak ponownie dała się poznać jako dobra aktorka, stała się czarnym charakterem jednego z największych hollywoodzkich skandali w historii. Na planie komedii „Pan i pani Smith” z 2005 r. poznała Brada Pitta: złotego chłopca Hollywood i od pięciu lat męża Jennifer Aniston – Rachel z uwielbianego na całym świecie sitcomu „Przyjaciele”.

Nie trąbi w mediach, że była w ponad 40 krajach dotkniętych kryzysami humanitarnymi i zaliczyła też 30 misji pokojowych

► **Początek lat 90. to wersja „niegrzeczna”. Krótkie fryzury, skórzane kurtki, tatuaże, mocny makijaż. Od 2008 r. preferuje styl diwa: długie włosy, koki, suknie w stylu starego Hollywood, a na codzień ubrania proste i wygode**
FOT. GENE SHAW/GETTY IMAGES





działa, że nie zaprzestanie wspierania uchodźców i nagłaśniania ich problemów.

Powrót Czarownicy

Wraz z Jolie ambasadorką narodziła się też wrażliwsza aktorka. W 2008 r. wybitną rolę – matki, której porwany syn wraca do domu, lecz nie wydaje się sobą – zagrała u Clint Eastwooda w kryminale „Oszukana”. Występ ten przyniósł jej kolejną nominację do Oscara i zachwycił krytyków. Nie stroniła od kina akcji, ale przez ponad dekadę częściej można było ją usłyszeć w kinie familijnym: użyczyła głosu tygrysy w licznych częściach animacji „Kung-fu Panda”. Swoisty, ciekawy aktorsko powrót zaliczyła w 2014 r., kiedy w disnejowskim megahicie wcieliła się w tytułową Czarownicę: nie taki znowu czarny charakter z animowanej „Śpiącej królowej”. Pięć lat później zagrała w drugiej części „Czarownicy”, ale jej wielkim aktorskim powrotem miała być rola w głośnej „Marii Callas” (2024) Pablo Larraina, biograficznym filmie o tragicznej i uwielbianej grecko-amerykańskiej sopranistce, diwie operowej. Jolie przez siedem miesięcy uczyła się do roli śpiewu operowego, a na planie znów dała z siebie wszystko. Film miał premierę na Festiwalu Filmowym w Wenecji, gdzie publiczność oklaskiwała kreację aktorki przez osiem minut. Media przewidywały, że „Maria...” przyniesie Jolie przynajmniej nominację do Oscara, a najpewniej i statuetkę. Ostatecznie jednak aktorka nie znalazła się nawet na liście nominowanych.

Efekt Angeliny

Możliwe, że Jolie była zawsze traktowana bardziej jak ikona niż aktorka, a nasiliło się to zwłaszcza w ostatniej dekadzie. W 2013 r. „New York Times” opublikował gościnny artykuł jej autorstwa, w którym wyznała, że prewencyjnie usunęła sobie jajniki i jajowody. Dwa lata później poddała się także mastektomii (z jednoczesnym odtworzeniem piersi). Tłumaczyła, że lekarze ocenili u niej ryzyko nowotworu na blisko 90. proc.: na raka zmarły jej matka, babcia i ciotka. Media w 2015 r. pisały o „efekcie Angeliny”, „Time” umieścił ją na okładce. Kobiety na całym świecie zaczęły sprawdzać genetyczne ryzyko zachorowania, w Australii liczba badań profilaktycznych wzrosła wówczas trzykrotnie, w Wielkiej Brytanii dwa razy. Jolie, symbol kobiecego piękna, ideał urody, znów użyła swoich wpływów, by wykorzystać wizerunek i zmienić świat. Na łamach „New York Timesa” dodała, że po rekonstrukcji piersi czuje się piękna, a bliźni po operacji też mogą być zachwycające. „Najpiękniejsza kobieta na świecie zdefiniowała piękno na nowo. To uczyniło nas wszystkich nieco mądrzejszymi” – skomentował „Time”. Ale czy naprawdę? Kiedy się spojrzy na karierę Angeliny Jolie, nietrudno zauważyć, że jej osobiste decyzje zawsze przysłańiały jej nawet najbardziej szlachetne przedsięwzięcia, a wizerunek – tych miała na przestrzeni trzech dekad całkiem sporo – przytłaczał prawdę o niej. To, że tej prawdy nigdy, mimo kontrolowanego przez nią samą, jak się wydaje, ekshibicjonizmu, nigdy nam nie pokazała, świadczy o tym, że Jolie posługuje się opinią publiczną równie sprawnie jak nożami. ●

Pitt i Jolie zagraли w tym filmie znudzone rutyną małżeństwo tajnych agentów, a na ekranie oboje prezentowali się niedorzecznie atrakcyjnie. Na planie zakochali się w sobie, a już rok później ogłosili, że spodziewają się dziecka. Choć do tanga trzeba dwojga, uwaga mediów skupiła się na Jolie. Porzucone i zdradzone kobiety na całym świecie współodczuwały z Aniston i jej współczuły. Wizerunek Jolie mocno podupadł, jakby biedny i bezwolny Brad Pitt wpadł w sidła niebezpiecznej kusicielki, a rozwód wydarzył się właściwie bez jego udziału. Jolie tłumaczyła mediom, że jej ojciec zdradził matkę, więc romansem z żonatym mężczyzną szczególnie się brzydzi. Nikt jej jednak nie słuchał. Para doczekała się szóstki dzieci: trójki własnych (Shiloh, bliźniaki Knox i Vivienne) ora trójki adoptowanych z Kambodży (Maddox), Etiopii (Zahara) i Wietnamu (Pax). Jolie i Pitt, najpiękniejsza para Hollywood, wzięła ślub we Francji w 2014 r. Dwa lata później aktorka złożyła pozew o rozwód, który sfinalizowano trzy lata później. Na sali sądowej wielka miłość nabrała gorzkiego smaku. Ona oskarżała go o przemoc i pijactwo, on ją o manipulacje i izolowanie dzieci. Jolie wycofała się z życia publicznego, grała sporadycznie, poświęciła dzieciom oraz działalności humanitarnej.

„Zawsze będę punkową z tatuażami”
Już podczas kręcenia pierwszego „Tomb Raidera” (2001) w Kambodży na własne oczy zobaczyła jak wygląda kryzys humanitarny. Paradoksalnie opowiadała o tym w mediach, które wywiady tytułowały m.in.: „Angelina Jolie o tym, jak udało jej się wypełnić miseczki DD Lary Croft”. Niezrażona mówiła prasie m.in. o minach, które ograniczały plan zdjęciowy, gdzie i niedoli Kambodżan, ale też o ich wielkim sercu.

Po powrocie z Kambodży zaoferowała pomoc ONZ. Z ramienia organizacji zaczęła odwiedzać obozy dla uchodźców na świecie – m.in. w Iraku, Afganistanie i Tanzanii – współfinansować budowę szkół i szpitali, w kilka lat zaprzyjaźniła się też z Kofi Annanem (od 1997 do 2006 sekretarz generalny ONZ). W zaledwie trzy lata zrobiła tyle, że w 2004 r. ONZ uhonorowało ją laurem dla Obywateli Świata („We the Peoples”), który otrzymują globalni liderzy. – W głębi serca jestem i zawsze będę punkową z tatuażami, nadal jestem zdziwiona tym, że wpuszczają mnie na te wszystkie rauty. To niezwykle, kiedy okazuje się, że nie trzeba mieć doskonałych ocen i prestiżowej edukacji, żeby dawać światu coś od siebie. Dowiedziałam się, że jeśli mówi się z serca i naprawdę szczerze walczy się o jakąś sprawę, można znaleźć swoje miejsce – opowiadała „Vogue’owi”. Od tamtej pory Jolie, nie trąbiąc o tym w mediach, odwiedziła ponad 40 dotkniętych kryzysami humanitarnymi krajów, wyruszyła w 30 misjach pokojowych, została również mianowana specjalną wysłanniczką António Guterresa, obecnego sekretarza generalnego ONZ. Po drodze zaczęła też kręcić swoje filmy, a reżyserką i scenarzystką okazała się politycznie zaangażowaną. Zadebiutowała w 2011 r. filmem „Kraina miodu i krwi”: o miłości w ogarniętej wojną Bośni. Sukces artystyczny i komercyjny odniosła dzięki wojennemu, nominowanemu do trzech Oscarów „Niezlomnemu” (2014): o olimpijczyku Louisie Zamperinim schwytanym przez Japończyków i walczącym o przeżycie w obozie dla jeńców wojennych. Za opowieść o Kambodży „Najpierw zabili mojego ojca” (2017) dostała nominację do nagrody BAFTA. Z oficjalnych funkcji zrezygnowała w 2022 r., ale w wydanym wspólnie z ONZ oświadczeniu zapowie-

▲ **Larę Croft, archeolożkę, która jeńców nie bierze. grała dwa razy (2001 i 2006). Dzięki tej roli stała się symbolem seksu**
FOT. LANDMARK MEDIA / ALAMY STOCK PHOTO

▼ **Świetna rola w dramacie „Maria Callas” (2024) była jej ekranowym powrotem, ale dostrzeżono ją tylko w nominacjach do Złotych Globów**
FOT. PABLO LARRAIN / KINO ŚWIAT



◀ **Przez lata byli superparą Hollywood, ale po rozwodzie przez 6 lat w sądzie walczyli o opiekę nad dziećmi. W końcu Pitt opuścił. Trójka adoptowanych jest już zresztą pełnoletnia. Na zdjęciu z matką na premierze „Eternals” w Londynie: Shiloh, Zahara, Vivienne, Maddox i Knox. Brakuje trzeciego syna Paxa**



– Czasem czułem frustrację, że, kurczę, dostałem szansę, żeby stworzyć moją ukochaną rolę, i ktoś mi zatruwa gadaniem spełnienie mojego marzenia

Z **HUGO TARRESEM**, GRAJĄCYM HAMLETA W TEATRZE NARODOWYM W SZTUCE W REŻYSERII JANA ENGLERTA ROZMAWIA **MAJA STANISZEWSKA**

Ustalmy na początek, ile masz lat, bo informacje w tej kwestii są sprzeczne.
– 21. Jestem rocznik 2004.

Jesteś zatem bardzo młody Hamletem.
– Tak wyszło. To nie była moja decyzja.

Nie bałeś się?
– Cholernie. To ważny tekst dla mnie i miałem wrażenie, że za wcześnie, ale taki był pomysł inscenizacyjny, więc wszedłem w to.

Jan Englert, reżyser spektaklu w Teatrze Narodowym, mówił u nas w wywiadzie, że kiedy krzykniesz na ulicy: „Hamlet!”, to każdy aktor się odwróci.
– To prawda. Każdy ma w sobie swojego Hamleta, nieważne, czy kobieta, czy mężczyzna i w jakim wieku. Wchodząc w tę rolę, miałem z tyłu doświadczenie innych: Borysa Szyca czy Benedicta Cumberbatcha, wszystkie te role mi się połączyły w jedno, ale musiałem odstąpić, bo ich konteksty były inne. I musiałem się wziąć za siebie.

To ilu różnych „Hamletów” obejrzałeś?
– Bardzo dużo. Kiedy zacząłem pracę, umówiłem się ze sobą, że nie oglądam żadnego, żeby się nie inspirować podświadomie, bo świadomie, to czemu nie? Ale już po premierze obejrzałem dwóch: z Andrew Scottem i Christopherem Plummerem. Ten ze

Scottem jest świetny. I bardzo dobrze, że go nie obejrzałem wcześniej.

Bo podobny do waszego? A aktorki grające Ofelię są podobne nawet fizycznie?
– Właśnie. I nawet Bob Dylan leci w pewnym momencie. A miałem pomysł, żeby pod koniec pierwszego aktu u nas Hamlet grał Dylanowskie „Masters of War”, zachowałem to jednak dla siebie i ostatecznie nasz Hamlet zostawia gitarę na scenie. Ale widziałem też Hamleta Mela Gibsona, Kennetha Branagha, Iana McKellena, Krzysztofa Szczepaniaka czy Richarda Burtona reżyserowanego przez Johna Gielguda.

A spektakl „Kim jesteś w Hamlecie?” o powstawaniu tej inscenizacji? W nim Richard Burton, który zbliża się do czterdziestki, strasznie się Hamleta boi.
– Obaj jesteśmy w podobnej sytuacji, choć z różnych powodów. Ta rola jest raczej przeznaczona dla starszych aktorów.

Spory o to, ile lat ma Hamlet, trwają od stuleci. Choć grabarz mówi, że pracuje 30 lat od dnia, w którym stary Hamlet pokonał starego Fortynbrasa i urodził się młody Hamlet. W waszej inscenizacji tego fragmentu nie ma.
– Harold Bloom [amerykański krytyk literacki] mówił, że Hamlet zaczyna jako dwudziestoparolatek, bo jego zapal, inspiracja, ogień musi być młodzieńczy. Ale z Anglii wraca jako dojrzały, trzydziestoletni człowiek i stąd te 30 wiosen grabarza. Ale może mieć i 16 lat, i jak Ian McKellen 82 lata. Jak już mówiłem, każdy ma swojego Hamleta.

A ty?

– „Hamlet” wzbudził we mnie miłość do aktorstwa. Strach i miłość. Pierwszy raz zobaczyłem go w gimnazjum. W Teatrze Współczesnym grał go Borys Szyc, reżyserował Maciej Englert, a przekład był Paszkowski. Myślałem, że to będzie ciężkie doświadczenie, ale zauroczyłem się absolutnie.

Chodziłem potem co weekend, w domu uczyłem się monologów, w końcu znalazłem sztukę na pamięć. Z jakiegoś powodu był to dla mnie ważny tekst, ale nie umiałem sobie wtedy wytłumaczyć, na czym to polegało. Coś jednak dotyczyło mnie bardzo głęboko, więc zacząłem chodzić do teatru.

Teraz już wiesz?

– Nie mam dużego doświadczenia jako człowiek, ale z tego, które mam, wynika, że to się odnosi do dychotomii człowieka, który wiecznie jest w rozterce i musi wybrać. Stare czy nowe życie? Działać czy nie działać? Być albo nie być? To jest dla mnie Hamlet. On sobie dość jasno odpowiada i mnie się ta jego odpowiedź bardzo podoba: działać.

Miałam wrażenie, oglądając twojego Hamleta, że to jest kula gniewu ściśnięta w kształt młodego człowieka, który w każdej chwili może wybuchnąć.
– Bałem się bardzo pretensjonalności. Że wychodzi młody chłopak i ma pretensje, krzyczy, jest przeciwko całemu światu.

Nie od tego są młode chłopaki i dziewczyny, żeby mieć pretensje do starych?
– Oczywiście, choć dopiero gdzieś przy trzeciej próbie generalnej zrozumiałem, że nie ma co się bać, bo to jest część tej historii. Historii o tym, że tacy młodzi, aktywni ludzie są bardzo łatwi do wykorzystania, do manipulacji. Także politycznej. I dla mnie o tym jest ten spektakl: że uderzamy kogoś w serce, żeby wykorzystać prawdziwy ból i traumy.

Hamlet się buntuje, krzyczy, chce sprawiedliwości.

– Idealista. „Wierzyłeś w kryształowe pojęcia, a nie w glinę ludzką”.

Znałeś na pamięć „Hamleta” w tłumaczeniu Paszkowskiego – trudno było w Narodowym przejść na Barańczaka?

– Ja w ogóle jestem największym fanem Ulricha. To jest piękny poeta i jego tłumaczenia są wybitne. Zgadzam się, że Barańczak jest najbliższy współczesności, ale mam problem, kiedy mówi wierszem. Szekspir lubił tworzyć frazy, które składają się z podobnych wyrazów, żeby podkreślić wagę tego, o czym mówi. Barańczak nie umie tego wykorzystać.

Tak, miałem problem. Pół roku pracowałem nad tekstem, przyjaciel codziennie pomagał mi go powtarzać. Przed próbami czytania miałem tekst na pamięć, a teraz pracuję nad tym, żeby do tego, co zbudowaliśmy z panem Englertem, dodać większą frajdę ze swobodnego się nim posługiwania. Wciąż odkrywam coś nowego i nie wiem, czy kiedyś mi się ta postać znudzi.

Hamlet to nie jest twój debiut teatralny. Na szczęście czy na nieszczęście?

– Na szczęście, i to duże. Zadebiutowałem także Szekspirem, w Teatrze Muzycznym Capitol we Wrocławiu gram Merkucja w musicalu „Romeo i Julia” w reżyserii Jana Klaty.

Mój Merkucjo jest diablo inteligentny i bardzo szybki w myśleniu. Tak szybki, że czasami, rano przed spektaklem mam wrażenie, że nie mam na niego siły, a przed wyjściem na scenę jestem jak koń w maszynie startowej, robię pompki w kulisach. W „Hamlecie” tego nie mam, gram sobie na gitarze, słucham kakofonii głosów, którą uwielbiam, w pierwszej scenie wychodzę na środek z intencją: „Dzień dobry państwu. Nazywam się Hugo i dzisiaj państwu

zagram Hamleta”, wtedy pojawia się Ofelia i zaczynamy zabawę.

Ale to właśnie dzięki temu, że to nie jest debiut i że Jan Kłata pokazał mi, jak wyciągać sens z prawidłowego posługiwania się wierszem, którego nauczyłem się w szkole.

Nabyłem u niego jakąś pewność, choć początek był trudny. Na pierwszej próbie nie rozumiałem swojego monologu o królowej Mab. Jestem dyslektykiem, poezja była zawila, nie łapałem sensów, nie znałem niektórych słów, bo kto normalny wie, co to jest „sążeń”... Reżyser się zdenerwował. Nie spałem całą noc i wkulem praktycznie całą rolę. Następnego dnia powiedziałem ten monolog i zaczęliśmy pracę.

Jak się znalazłeś w „Romeo i Julii”?

– W marcu ubiegłego roku z moim dobrym kumpłem z roku Mateuszem Tomaszewskim wystąpiliśmy na Przeglądzie Piosenki Aktorskiej, który organizuje Teatr Capitol. I udało nam się wygrać, co było jakimś kompletnym marzeniem.

Po PPA zadzwonił do mnie dyrektor artystyczny Capitolu Konrad Imiela i zapytał, czy chciałbym spróbować Merkuja u Jana Kłaty. To było kolejne marzenie. Wszyscy wiemy w szkole, kim jest Jan Kłata. Czasami się pojawia, bo jest wykładowcą, i za każdym razem robi furorę ekstrawaganckim stylem i legendą, jaka mu towarzyszy. Ogromnie szanuję jego teatr, bardzo mi się podobał „H.”, jego adaptacja Hamleta. I zatrudnił mnie, we wrześniu była premiera.

A w „Hamlecie”?

– W Akademii Teatralnej miałem zajęcia z profesorem Englertem, a mówiło się, że z każdego roku jedna osoba trafia do jego zespołu. I wszyscy na tych zajęciach mieli ciśnienie, żeby udowodnić, że to na nich czeka miejsce w Teatrze Narodowym.

Dla mnie to było raczej spotkanie z ciekawym człowiekiem. Dobrze nam się razem pracowało, nad ciekawymi tekstami: „Brytanik” Racine’a, „Księżniczka na opak wywrócona” Rymkiewicza, „Balladyna” Słowackiego – to wszystko razem dawało ciekawą mieszaninę. Egzamin, o czym nie wiedziałem, był swoistym castingiem na Hamleta. Zorientowałem się, że coś się dzieje, gdy pan Jan zapytał, kiedy gram u Kłaty. A potem na inauguracji trzeciego roku podszedł do mnie i powiedział, że ma propozycję nie do odrzucenia. Pół roku ciężkiej pracy później mieliśmy premierę.

A co z Akademią?

– Jestem na trybie indywidualnym, ale chodzę na główne zajęcia i staram się zaliczać wszystko z moją grupą. Można powiedzieć, że wybrałem drogę pod górę. Chciałbym zrobić z przyjaciółmi z roku spektakl dyplomowy, ale nie wiem, jak z tym będzie.

Koledzy ci nie zazdroszczą? W zawodzie jest duża konkurencja.

– Jeżeli tak, to tej zazdrości nie widzę. Bywa, że sam czuję zazdrość, to jest normalna sprawa, ale wydaje mi się, że inteligencja emocjonalna polega na tym, że jeżeli coś odczuwam, to niekoniecznie muszę to przetrzącać na drugą osobę.

Mój rok jest niesamowity. Patrzę na nich, i się wzruszam, jakie to jest skupisko talentów. A to koleżanka jedzie do Cannes ze swoim filmem, a to kumpel gra Witkacego w teatrze, a drugi Jezusa w innym teatrze, a to ktoś ze Smarzewskim współpracuje.

Wszyscy działają i chyba dlatego nie ma aż takiej rywalizacji. Szkoła to jedyne miejsce, w którym mogę pracować z przyjaciółmi. To się rzadko zdarza, więc korzystam.

Student, który występuje z niemal całym zespołem Teatru Narodowego. Jakie to uczucie?

– Onieśmiałające, ale to też są superludzie. Wiem, że to był szok dla nich, tak jak dla mnie. Gdybym był dojrzałym profesjonalistą, który jest w zespole teatralnym w takim teatrze, i dowiedziałbym się, że Hamleta ma grać 21-latek z trzeciego roku, który zrobił jakiś film komercyjny, byłbym wściekły.



FOT. MARTA ANKERSZTEJN

Stare czynnowe życie? Działać czy nie działać? Być czy nie być? To dla mnie Hamlet. On sobie jasno odpowiada i mnie się ta jego odpowiedź bardzo podoba: działać

- Na zdjęciu: Hamlet (Hugo Tarres) w pojedynku z Laertesem (Paweł Brzeszcz)

Jedyne, co mogłem, to się nie wychylać, być przygotowanym, uprzejmym i nikogo nie przekonywać, że mi się coś należy. I okazało się, że znalazłem wiele przyjaznych mi osób i partnerów na scenie.

Jak się czuleś, kiedy w mediach rozpętała się afera z oskarżeniami dyrektora Englerta o nepotyzm, bo obsadził w spektaklu żonę i córkę?

– Mnie to aż tak nie dotyczyło. Choć pojawiły się pewne insynuacje...

...że jesteś chłopakiem Heleny Englert?

– Tak. Czasem czulem frustrację, że, kurczę, dostałem szansę, żeby stworzyć moją ukochaną, bardzo mi bliską rolę, i ktoś mi zatruwa gadaniem spełnienie marzenia. Ale raczej skupiałem się, żeby swoją pracą obrobić dobre imię pana Jana, Heli i całego zespołu. Dla mnie to była tylko inspiracja do działania, do dania z siebie wszystkiego.

Recenzje pokazują, że wyszedłeś z tarczą. I dyskusja się urwała po premierze.

– Na szczęście.

Ten komercyjny film, o którym mówisz, to „Piep*zyć Mickiewicza”, o „trudnej” młodzieży z peryferyjnego warszawskiego liceum. Tam też przez chwilę grasz Szekspira. Dorośli film zignorowali, krytycy zmiążdżyli, ale młodzież polubiła.

– To był mój debiut filmowy, wiedziałem, co to za film i dla kogo. I znów – starałem się wykonać jak najlepiej swoją pracę. Z całą obsadą włożyliśmy w to dużo serca i wydaje mi się, że to widać.

Publiczność docelowa zareagowała. Pierwszą część zobaczyło w kinach 200 tysięcy widzów, ale drugą już ponad 600 tys. I będzie trzecia.

– Można pytać, jak aktor, który gra Hamleta w Teatrze Narodowym, może wystąpić w komercyjnym filmie dla młodzieży. Może. Ja się tego nie wstydzę.

Chyba nikt nie chce, żebyś się wstydził?

– Kiedy zaczynałem szkołę, miałem wizję aktora, jakim chciałbym zostać. Założyłem się ze sobą, że będę mówił tylko prawdę, a zagram tylko w czymś, czemu mógłbym oddać serce. To się okazało bardzo ograniczające. Dziś uważam, że w „Piep*zyć Mickiewicza” także jest przestrzeń na prawdę, na człowieka.

Myślisz, że widzowie tych filmów przyjdą na „Hamleta”?

– Już przychodzą. Czasem czekają pod teatrem, mówią, że Szekspir jest ekstra. Ma-

ją po 15 lat, a ja przypominam sobie siebie w pierwszej gimnazjum, jak poszedłem do Współczesnego na Szekspira i się zakochałem. To jest piękne.

Zawsze chciałeś być aktorem?

– Chciałem być piłkarzem. Później rozważyłem zostanie prezydentem Polski.

Skąd ten pomysł?

– Chyba status mi odpowiadał. Ale w czwartej klasie podstawówki wracaliśmy z kumpłem z piłki, odprowadzałem go na plac Konstytucji, a on powiedział, że chce być aktorem, bo aktorzy dobrze zarabiają, a on musi spłacić dług ojca.

Czwartoklasista?

– Tak. Trudna sytuacja. Ale chyba chciałem go skopiować. Szukałem akceptacji, a aktorstwo wrzuca na piedestał. Miałem szczęście, że ten pierwszy poziom poszukiwań, czyli „spójrzcie na mnie”, przypadł na podstawówkę.

Chodziłem na zajęcia w Teatrze Roma, gdy zrozumiałem, że aktorstwo to coś więcej niż leczenie kompleksów małego dziecka, który potrzebuje, żeby ludzie na niego patrzyli i go słuchali.

Pojawiły się konkursy recytatorskie, poznałem ciekawych ludzi. Zacząłem się odzywać, bo wcześniej byłem raczej milczącym chłopcem. Zacząłem zwracać na siebie uwagę. I przestałem być grzeczny. Poszedłem do ogniska teatralnego „U Machulskich” i tam faktycznie zajęliśmy się graniem. Nie recytowaniem, tylko budowaniem scenicznych sytuacji.

Twoja kariera trwa półtora roku, ale masz na koncie już trzy filmy i dwa duże spektakle, serial i to zwycięstwo w Przeglądzie Piosenki Aktorskiej.

– Dopiero wchodzę w to wszystko. Mam bardzo dużo znaków zapytania. Staram się trzeźwo stąpać po ziemi, więc muszę wypracować jakiś zdrowy tryb życia. Ale znów całe lato mam zapełnione, zdecydowanie przesadziłem z rzeczami, które chcę zrobić.

Nadkompensacja też o czymś świadczy... Trzeba żyć!

Miałam zapytać o ryzyko wody sodowej, ale im dłużej z tobą rozmawiam...

– ...tym jesteś spokojniejsza? (*śmiech*) Mam gwardię ludzi za sobą, którzy, gdyby mi coś sodowopodobnego wleciało do głowy, są gotowi strzelić mi z liścia. Więc też jestem spokojny.

Dużo ludzi mi o tej wodzie sodowej mówi, zacząłem się zastanawiać, na czym to polega. Może to działanie obronne? Łatwiej

jest przeżyć porażkę niż sukces i woda sodowa to jest odreagowywanie? Bo im większy „high”, tym większy „low”. Im większy sukces, tym bardziej wątpię w to, że udało mi się go osiągnąć.

Jak zareagować, jak słyszysz o sobie jako „obietnicy na przyszłość”?

Ktoś tak powiedział o tobie?

– Tak. Ale dla mnie przykładem był od początku Janusz Gajos. Także Grzegorz Damięcki, Al Pacino, Jan Komasa. Osoby, które nie egzaltują się sobą, które, z całym szcunkiem, są nudne w życiu prywatnym.

Systematyczność i koncentracja – tego mi potrzeba. Jako uczeń byłem zdolny, ale leniwy, miałem spory problem z przygotowywaniem się, nawet z pracami domowymi. Mam dobrą pamięć i dużą wiedzę, ale nie wykorzystywałem tego w liceum. Teraz uczę się w 15 minut czterech stron dialogu i przychodzę przygotowany, bo odkrywam, że przygotowywanie się daje dużo większą przyjemność niż spontaniczność.

Chyba trudno było w szkole o motywację, skoro dwa licealne lata spędziłeś na zdalnych z powodu pandemii?

– Miałem za to bardzo dużo czasu na filmy, obejrzałem wtedy dużo starych filmów.

Kiedyś spytano cię o cztery ulubione, wymienileś: „Na nabrzeżach”, „Na wschód od Edenu”, „Ojca chrzestnego” i „Cały ten zgiełk”. Są starsze nie tylko od ciebie, ale i ode mnie.

– Ale są świetne, z każdego mogą ci wyrecytować całe dialogi. To jest podstawa kina, które rozumiemy teraz, podstawa psychologii i naturalizmu.

A coś nowszego?

– Tak naprawdę zaczęło się od „La La Landu” w 2016 roku. Miałem 12 lat, zacząłem się interesować Oscarami i pamiętam, w jakim byłem szoku, kiedy wygrał „Moonlight”. Obrazilem się na ten film i go nie obejrzałem. Dopiero w zeszłym roku mi się przypomniało. To jest wybitne kino. Ale lubię komercyjne filmy też.

Jesteś fanem Marvela?

– Byłem, do „Avengers: Koniec gry”. I jako „człowiek kultury” bardzo się tego wstydzilem. (*śmiech*)

Chciałam cię jeszcze zapytać o nazwisko.

– Jestem w połowie Hiszpanem, w połowie Polakiem. Mój ojciec jest z Kraju Basków, ale wychował się w Katalonii. Ja prawie całe życie mieszkam tutaj. Jestem dwujęzyczny, ale kiedy jadę do mojego miasteczka w Katalonii i rozmawiam z ludźmi, to patrzą na mnie dość niepewnie i często odpowiadają po angielsku.

Rodzice nie mieli nic przeciwko aktorstwu?

– Jakoś to zaakceptowali. Pojawiło się tak dawno temu, i to nie jako zająwka, tylko od zawsze pasja, więc zdążyli się przyzwyczaić.

Mój ojciec jest bardzo inteligentnym facetem i jak mu powiedziałem pod koniec podstawówki o tym aktorstwie, zapytał, czy wiem, kto to jest Stanisławski. Wróciliśmy do domu i od razu kupił mi w sklepie internetowym krakowskiej Akademii Sztuk Teatralnych „Pracę aktora nad sobą” i „Pracę aktora nad rolą”. Mam je do tej pory z notatkami z dzieciństwa. ●

Hugo Tarres

• Rocznik 2004. Aktor, student Akademii Teatralnej w Warszawie, na scenie można go oglądać w roli Hamleta w Teatrze Narodowym w Warszawie i Merkuja w „Romeo i Julii” w Teatrze Muzycznym „Capitol” we Wrocławiu. Zagrał w dwóch filmach „Piep*zyć Mickiewicza”, filmie „Przepiękne!” oraz w serialu „Krucjata. Znak bliźniąt”.



FOT. ANNA TKOCZ (2)

ROWER PIERWOTNY

Masz chwilowo dość? Kraju, polityki, pracy, jej, jego, siebie? Zapakuj sakwy i... Stop, żadne sakwy. W bikepackingu chodzi o coś innego.

Anna Tkocz

Rower, trasa, biwak, świerszcze, komary, kleszcze. Można jechać naprawdę daleko, można to zrobić zupełnie blisko, niemal pod domem. Bikepacking to zabawa w proste, może nawet szczeniackie życie, ale z dorosłymi pieniędzmi. Na wypadek, gdyby to jednak nie było to, można ograniczyć ją do weekendów i wakacji.

To połączenie rowerowej pasji i tradycyjnej włóczęgi z plecakiem, czyli backpackingu. To wszystkie najlepsze rzeczy, jakie daje kolarstwo, czyli swobodę podróżowania, prędkość przemieszczania się czy możliwość dotarcia w miejsca, gdzie inne środki lokomocji nie docierają – oraz to, co najlepsze w pieszej turystyce, czyli bycie w miejscach, które na co dzień nie są domem, obcowanie z naturą i wprowadzenie egzystencji do pierwotnych czynności.

To podróżowanie z lekkim bagażem, bez ciężkich bagażników i sakw i sączenie przez grubą słomkę różnorodnych smaków: wolności, przygody, bliskości z naturą, niewygody, strachu, euforii...

Bikepacking może, ale nie musi, być o zaspokajaniu podstawowych potrzeb, czyli o gaszeniu pragnienia, zaspokojeniu głodu i znalezieniu schronienia. Może też być o uniesieniu w obliczu piękna przyrody i o chyleniu czoła przed jej potęgą.

Jest zatem o tym, o czym mogłoby być życie, gdyby nie było o pracy, pieniądzu, obowiązkach, związkach, dzieciach, śmieciach, globalnym ociepleniu, kryzysach, polityce i platformach społecznościowych. Bikepacking to takie „prawdziwe” życie w formule na weekend.

Bikepacking może być także o konsumpcjonizmie i gromadzeniu gadżetów. Ale nie musi. Może być o wybieraniu między lepszym a dobrym, między dobrym a wystarczającym. To jak szachy – każda decyzja ma swoje konsekwencje. Czytaj, słuchaj, weryfikuj swoje potrzeby, odróżniaj je od zachcianek! W „prawdziwym” życiu też trzeba to umieć.

Ale czym to właściwie różni się od turystyki rowerowej z sakwami?

Brakiem sakw. Serio.

Korzenie bikepackingu tkwią w kolarstwie. Wziął się z potrzeby jeżdżenia na rowerze szybko i daleko, a najlepiej szybko i daleko. Większość uprawiających go doświadcza rowerów, które na co dzień służą do treningów oraz ścigania się. I nawet nie chodzi o to, że do tych rowerów bagażnik pasuje jak przyczepka typu „Niewiadów” do lamborghini. Po prostu nie bardzo jest jak go zamontować, bo „kolarka” jeździ na lekko – dwa miejsca na bidony, uchwyt na licznik i tyle.

Tylko po co tak sobie komplikować życie?

Żeby nie siedzieć nad TikTokiem! Ale też po to, by spędzić weekend w gronie podobnych sobie zapaleńców, zaszyć się na noc w dziczy (poza zasięgiem rodziców, dzieci, szefa), napić się kawy parzonej na łonie natury, dojechać gdzieś, gdzie nigdy wcześniej się nie było, zmęczyć się i jednocześnie odpocząć.

Ale – pytają czasem zaniepokojeni laicy – czy bikepacking oznacza spanie w hamaku lub pod namiotem?

Niekoniecznie. Tak zwany *credit card bikepacking* zakłada podróżowanie na lekko, bez ekwipunku noclegowego, ciężkich naczyń czy palnika gazowego, ale za to z odpowiednimi zasobami finansowymi, które pozwalają na spanie w hotelu, schronisku czy prywatnych kwaterach i spożywanie posiłków w restauracjach i knajpkach po drodze. Do wyboru, do koloru.

Co tak bardzo kusi w bikepackingu?

Iskra przygody i bycie bohaterem: że trochę straszno, że szelesty, że wilki i zimno, a ja daję radę. Dużo w bikepackingu jest spontanicznych decyzji i poczucia samowystarczalności: wytyczasz trasę, wybierasz wodopój i miejsce noclegu. Trochę walczysz z przeciwnościami, trochę się wyciszasz, uczysz, stajesz się silniejszy.

Bikepacking to urywanie z dnia momentów, które na co dzień ci się nie należą. To zabawa w niegrzeczne dzieci, w którą bawią się dorośli. To zostawianie na dworze po zmroku: oni wołają, że „do domu”, a ty siedzisz za blokiem, poza zasięgiem ich wzroku, wdychasz ten zapach, który pojawia się, dopiero gdy zajdzie słońce, trochę jakby kwiaty, trochę wilgoć, i myślisz sobie: „mam przechłapanie, ale co mogą mi zrobić?”

Tak właśnie, po czterdziestce, wkręcasz się w bikepacking.

Środa, godzina osiemnasta, jeszcze nie jest ciemno, ale gdy czekamy na siebie na miejscu zbiórki, zakładamy już cieplejsze bluzy – wrzesień to jednak nie lipiec. Nie ma czasu na wielkie wyprawy: między pracą dziś i pracą jutro każdy z nas ma nie więcej niż 16 godzin przerwy.

„Czy jeśli między Katowicami a Tychami jest 10 kilometrów lasów, to lasy dzielą czy łączą oba miasta?” – pyta Adam, upychając ogromną paczkę kielbasy do swojej podsiodłówki. Mój mózg jeszcze nie zaczął odpoczywać po całym dniu i przez chwilę wyda-

je mi się, że to takie pytanie na serio, że trzeba na nie odpowiedzieć, by to wszystko miało sens.

Adam się śmieje. Śmieje się tak za każdym razem, kiedy kogoś wkręca: najpierw śmiertelnie poważny, a potem patrzy gdzieś w nieistniejący nad nami sufit, trochę w innym kierunku, sprawdzając ruchem oczu, czy już załapałam, czy jeszcze nadwyrężam mózg w rozumowaniu.

Dominik w tym czasie ma ważniejsze zadania, próbuje upchnąć butelkę wina w koszyk na bidon, ale torba w ramie skutecznie to uniemożliwia. „Kurde, mieliśmy kupić odkręcane. Macie korkociąg?”

Jedziemy powoli (bo ta butelka!) i teraz już naprawdę jest ciemno. Świecimy rowerowymi lampkami po poboczach szutrowej leśnej drogi, lustrując grubość, liczbę i konfigurację drzew. „Tu będzie dobrze,” ktoś w końcu raczy wydać werdykt i ciesząc się, że nie ja jestem za tę decyzję odpowiedzialna. Czasem lubię, jak ktoś za mnie mówi „tu zamieszkamy, wybierz sobie kuchnię”.

Zaraz potem pojawia się ognisko, a z torb wyjeżdżają hamaki, karimaty i spiwo-ry – właściwie tyle wystarczy, żeby się wyspać i nie obudzić się rano nieżywym z wychłodzenia. Taka zwykła karimata włożona w hamak potrafi uratować noc.

Świecimy latarkami na kielbasy, żeby sprawdzić, czy już. Nie ma dorosłego czekania, nie ma „trzymaj wyżej nad ogniem, to będziesz miał ładniej wysmażoną”, jesteśmy głodni i jeśli tylko parzy w usta, to znaczy, że dobra! Jedno wino szybko się kończy, ale okrucy korka doskonale harmonizują z wytrawnym smakiem merlota i kielbasy. Można bujać się przy tym w hamaku, gadać o zupełnych głupotach, albo w ogóle się nie odzywać, tylko śmiać od czasu do czasu, odpływać w swoje krainy, płuć okrucami korka w ciemność za plecami, czasem poczuć drżenie, gdy coś poruszy się w lesie. A potem mościsz się uko-

Gadżety kolarza backpackingowego: accuweather, pompka, kawiarka i odwaga

Pytania, na jakie musisz odpowiedzieć, planując rowerową wyprawę z noclegiem „na dziko”:

• CZY PROGNOZA POGODY JEST KORZYSTNA

Niby oczywista oczywistość, ale nic na siłę. Deszcz i chłód to słabi kompani. Jeśli prognozy są kiepskie i możesz to zrobić, zrezygnuj. Jeśli zrezygnować nie wypada, bo np. bierzysz udział w bikepackingowym wyścigu, dobrze zabezpiecz ubrania i śpiwór przed wodą. I zabierz wodoodporną kurtkę, a jeśli masz, również spodnie. Co za żenująca porada? Niech pierwszy rzuci kamieniem, kto na letnią wycieczkę czy w drogę do pracy nie zabrał przeciwdeszczówki, bo Accuweather i Meteo podawały „pogodnie, możliwość opadu 5 procent”, a sprawdziły się „deszcze nawalne” z Windy, do której akurat się nie zajrzało.

• JAKI DYSTANS JESTEŚ W STANIE POKONAĆ W CIĄGU DNIA

Weź pod uwagę swoje doświadczenia: jak dużo jeździsz, w jakim terenie, jaki dystans potrafisz przejechać komfortowo – i do tego dolicz poprawkę na bagaż. Jeśli zaliczaliście tylko asfaltowe trasy, pierwszy bikepacking może okazać się potężnym wyzwaniem. Jeśli na co dzień nie pokonujesz zbyt wielu przewyższeń, nie zaczynaj od bikepackingu po górach – to może cię przerosnąć.

Jeśli zupełnie nie wiesz, jak oszacować dystans, sprawdź, jakie osiągasz średnie prędkości podczas swoich jazd. Podziel liczbę kilometrów przez 2 i pomnóż przez liczbę godzin, jaką masz do dyspozycji od startu wyprawy do zachodu słońca. Otrzymany wynik to liczba kilometrów, jaką prawdopodobnie uda Ci się przejechać w pierwszy dzień. Na przykład: *Twoja średnia w terenie to 19 km/h*
19 km/h: 2 = 9,5 km/h

Ruszasz o 8 rano, słońce zachodzi o 19:30 > masz do dyspozycji 11,5 h
9,5 km/h x 11,5 h = 109 km niespiesznej jazdy z kawą, piknikiem i robieniem zdjęć.

Jeśli nie chcesz się spieszyć, nie przekraczaj liczby wyliczonych podczas planowania kilometrów. Jeśli okazesz się szybszy, będziesz mieć więcej czasu na odpoczynek po rozłożeniu „obozu” i więcej danych podczas kolejnego planowania.

• CZY MASZ SPRZĘT DO SPRAWNEJ NAWIGACJI...

...i potrafisz się nim posługiwać, a w razie potrzeby zmienić trasę. Zapomnij o Google Maps. Chociaż, czekaj! Na początek to nie takie głupie. Nawigowanie z telefonu umieszczonego na kierownicy to najprostszy sposób: nie wymaga dodatkowych urządzeń i wielkiej filozofii przy planowaniu trasy, a przejazd z punktu A do punktu B trasą wyznaczoną przez dr Gugga testowali już wytrawni bikepacker-



si – czasem to dobra (i małołownicza) opcja.

Tip: Google nie wie, jakie masz opony i tam, gdzie to możliwe, domyślnie puści cię szutrami! Ogarniesz?

Jednak, by to naprawdę miało sens, zwłaszcza w górach, warto poświęcić na planowanie trasy więcej czasu. Przystudiować mapy, podpytać lokalsów, może nawet „ukraść komuś tracka”, czyli ściągnąć cyfrowy plik z trasą, którą ktoś wcześniej sprawdził, z odpowiedniej aplikacji.

Możesz wypróbować bezpłatny VeloPlanner, Mapy.cz, Komoot (z płatnymi mapami) lub najbardziej kołarską aplikację Strava (planowanie tras wymaga subskrypcji). A jeśli masz rowerowy licznik z GPS, to z tym urządzeniem możesz nawigować po wyznaczonej trasie: ekranik jest mały, ale wystarczająco wyraźne strzałki, by nawet w nocy dotrzeć do celu.

Nie raz słyszałam: po co inwestować w kolejny gadżet, skoro apek „licznik rowerowy” jest w bród,

a do tego smartfon ma większy ekran? No właśnie. Jest większy i cięższy, więc jeśli zainstalujesz go na gumkę czy opaskę, i tak na wertepach będzie kolebał się i obijał o kierownicę, a tobie w głowie będzie telepała się myśl, czy bardziej żał telefonu, czy karbonowej „kiery”. A stabilne uchwyty na smartfona są równie estetyczne i dyskretne, co rusztowanie.

• CZY TWOJE LAMPKI – tak przemycam pytanie: masz lampki, prawda? – pozwolą ci jechać w ciemnościach przez kilka godzin (nigdy nic nie wiadomo)

I najważniejsze: **GDZIE I JAK ZAMIERZASZ SPĘDZIĆ NOC** Od tego zależy twój ekwipunek i jego ilość. Jeśli masz pewność, że noc spędzisz pod dachem, w hotelu lub kwaterze, najcięższy, najbardziej nieporęczny (i najdroższy) sprzęt nie będzie ci potrzebny. Jeśli planujesz nocleg na dziko - patrz ramka poniżej. ●

Co zabrać na bikepacking z jednym noclegiem

• Tylko najbardziej niezbędne rzeczy. Zestaw narzędzi, odpowiednia odzież, sprzęt biwakowy dostosowany do warunków, picie i żywność wysokoenergetyczna to podstawy. Kawiarka to bonus, który jest super i jeśli tylko masz ochotę go wozić – bierz.

Elektronika

- telefon
- nawigacja GPS
- lampka przednia i tylna (naładowane lub ze świeżymi bateriami)
- powerbank, który pozwoli na doładowanie telefonu i nawigacji
- odpowiednie kable
- Jeśli masz elektryczne przerzutki, podładuj je przed wyjazdem.

ZESTAW NARZĘDZIOWY

Dobrze ustalić w grupie, kto co zabiera i dzięki temu ściągnąć parę gramów z własnego bagażu. Poniższa lista przewiduje narzędzia i części do naprawy najczęstszych usterek i defektów typu przebi-ta opona czy zerwany łańcuch. Wszystkie większe awarie i tak będą wymagały wizyty w warsztacie lub sklepie rowerowym i prawdopodobnie i tak mocno pokrzyżują plany. Nie ma sensu zabierać zapasowej przerzutki, linek, zestawu do odpowietrzania hamulców czy opony. Większe awarie to pech, którego trzeba przełknąć.

- zapasowa dętka lub dwie
- komplet zapasowych klocków hamulcowych
- mała buteleczka oleju do łańcucha
- 2 łyżki do opon
- łatki do dętek, najlepiej samoprzylepne, co do których masz pewność, że działają
- zestaw naprawczy do tubelessów, czyli sztyfto i zestaw sztyftów (jeśli jeździsz na systemie bezdętkowym)

- zestaw kluczy imbusowych i śrubokrętów, skuwacz do łańcucha
- spinka pasująca do twojego łańcucha
- pompka
- kilka trytytek, czyli plastikowych opasek zaciskowych do kabli
- kawałek mocnego sznurka
- para lateksowych lub nitrylowych rękawiczek do brudnej roboty

SPRZĘT BIWAKOWY

Dwie poprzednie listy to rzecz dość stała, lista sprzętu biwakowego zależy od warunków, preferencji i planów. Może ograniczyć się do samego śpiwora lub nawet bivi бага w przypadku ciepłych nocy i niewielkich wymagań użytkownika w zakresie komfortu, a może być dłuższa, jeśli stawia się na komfort. Tę listę należy traktować orientacyjnie, a ostateczny wybór oprzeć na rozsądnych kalkulacjach.

- dmuchana mata/materac/karimata do położenia na ziemi (wersja cieplejsza)
- lub hamak (wersja na bardzo ciepłe dni – hamak bez dodatkowej osłony termicznej lub/i przed wiatrem to jedna z najzimniejszych opcji noclegowych, choć bez dwóch zdań jedna z najbardziej otulających i uspokajających, sprzyjających odpoczynkowi).
- namiot / bivi bag (czyli oddychający, chroniący przed deszczem materiałowy worek, do którego zmieści się materac, śpiwór i ty) / tarp (duży prostokątny kawałek syntetycznego płótna, który może służyć jako dach nad biwakiem lub prowizoryczny namiot, gdy użyjesz odpowiednio długiego kijka. Tak, to coś, co nasi dziadkowie uprawiający z brezentowymi plecakami nie hiking oraz backpacking, a turystykę pieszą, nazywali płachtą biwakową albo pałatką) / folia

NRC w zależności od warunków pogodowych i w przypadku braku możliwości noclegu w wiacie lub pod innym zadaszeniem

- śpiwór (lekkie puchowe śpiwory bardzo nie lubią wilgoci)
- nóż
- krzesiwo lub zapalniczka
- Opcjonalnie
- kubek (na herbatę, kawę, zupkę)
- łyżka
- palnik i paliwo
- Odzież

Naprawdę porządnie przestuduj prognozy pogody i nie porywaj się na bikepacking, gdy są bardzo niekorzystne. To nie ma sensu. Jazda w deszczu, rozbijanie obozu w wichurze, brak możliwości wysuszenia ciuchów czy ogrzania się uczyni z wyprawy niepotrzebną walkę. Dodatkowo kumulacja zmęczenia i chłodu w nocy potrafią być bardzo przykre, gdy dodasz do tego deszcz i wiatr, jedna aspiryna nad ranem może nie pomóc.

CIUCHY, KTÓRE MUSISZ MIEĆ

- 1 zestaw do jazdy (w tym spodenki z wkładką, koszulka z krótkim lub długim rękawem w zależności od temperatury, skarpety)
- buty, skarpety na zmianę
- podkoszulka lub top
- komin
- okulary
- kurtka z kapturem chroniąca przed wiatrem/deszczem
- ciepła warstwa na wieczór i poranek (lekka puchówka, primaloft, hybrydowa kurtka lub polar)
- ciepła czapka
- legginsy / kalesony / cienkie spodnie
- cieplejsza koszulka na wieczór i noc (może być kołarska na drugi dzień jazdy)
- o kasku nie wspominam. Bo zawsze jeździsz w kasku, prawda?

Więc jak mógłbyś o nim zapomnieć.

- Opcjonalnie:
- rękawiczki kołarskie z pełnymi palcami
- czapeczka kołarska z daszkiem pod kask
- nogawki i rękawki kołarskie
- ciepła, szybkoschnąca kamizelka – świetna latem
- ciepłe skarpety
- zestaw ciuchów do jazdy na drugi dzień (przemysł inwestycję w kołarską koszulkę z wełny merino – dobrze oddycha, jest przyjemna w dotyku i nie utrzymuje przykrych zapachów, a więc można w niej jeździć dwa, a nawet kilka dni z rzędu)
- klapki
- Apteczka – nie musi mieć rozmiarów tej, którą pamiętasz, jak przy awaryjnym hamowaniu podrywała się do lotu, razem z pie-skiem kiwającym głową, z tylnej półki poloneza twojego dziadka.
- łaпка do wyciągania kleszczy
- kilka plastrów
- kilka sztuk pasków do zamykania ran
- środek do odkażania ran (mała woda utleniona lub octenisept) jałowa gaza
- leki, jeśli bierzesz na co dzień
- Kosmetyczka – w tej bikepackersa dobrze sprawdzają się drogerijne jednorazowe próbki. Albo hotelowe miniaturki, świadectwa naszych podróży popularniejsze nawet, niż magnesy na lodówkę.
- szczoteczka do zębów (pro tip: możesz odpićować końcówkę zwykłej szczoteczki, żeby otrzymać profesjonalną bikepackingową mikroszczoteczkę)
- mała pasta do zębów (zabranie tego niezbędnika można ustalić ze współtowarzyszami)
- małe mydło w kostce (podwędzone z hotelu podczas ostatniej

delegacji) zawinięte w foliowy woreczek

- spray na komary
- krem z filtrem
- mały ręcznik lub szmatka z mikrofibry
- I już. Tyle wystarczy, żeby wpuścili cię do większości obiektów użyteczności publicznej. To teraz najważniejsze i najprzyjemniejsze, czyli

Jedzenie

- Puszki i stoiki zestaw w domu. Możesz wypróbować liofilizowane posiłki, które zalewa się gorącą wodą, możesz przygotować kanapki lub liczyć na lokalną gastronomię i wiejskie sklepiki. Bez dwóch zdań wieczorne ognisko i możliwość przygotowania wspólnego posiłku to element, dla którego warto ruszyć się z domu.

Co jeszcze?

- Koniecznie jakaś gotówka, dokument tożsamości, karta płatnicza (na wypadek, gdyby padł telefon) i przynajmniej parę batoników lub żelki na czarną godzinę.



Anna Tkocz

• jeździ od 20 lat, pisze od 10, zdjęcia robi od zawsze. Mistrzyni Polski masters w przełajach i cross-country. Pisała do magazynów „Bike”, „Tour”, do „bikeBoardu”, obecnie redaktor w „ETNH Gravel Magazine” i na blogu 25x7.

śnie w hamaku za 50 złotych i rozpoczął wojnę z sobą, czy warto wstać jeszcze na siku, czy wytrzymasz do rana...

Rano jest rosa i pośpiech. Słońce wcale nie pomaga, raczej sprawia, że rosa podnosi się i temperatura gwałtownie spada. Pakujemy graty i ruszamy do domu. Na prysznic.

„Po co mi to było,” myślę. Znow pośpiech i 20 kilometrów z samego rana. Bez kawy. Żeby po sześciu latach zdać sobie sprawę, że tamtych parę godzin pamiętam lepiej niż większość czasu pomiędzy – obecna, połączona z planetą pierwotnymi potrzebami: zjeść, pośmiać się, wypaść i nie myć naczyń po kolacji!

Czego nas uczy bikepacking?

- **Minimalizmu** – z czasem odkrywasz, bez których rzeczy (czyli bez większości) możesz się obejść.
- **Planowania** – począwszy od samej trasy, przez miejsca noclegowe, listę ekwipunku, po planu B w razie niepogody, awarii, kontuzji, nawału turystów, ataku kosmitów i innych nieprzewidzianych okoliczności.
- **Czytania map** – po jakimś czasie szybciej zauważysz brak mostu lub kładki. Nie przeoczysz już gęsto (czyli nierowerowo, chyba że lubisz podejścia w sztywnych kolarskich butach z rowerem na ramieniu) ułożonych poziomic na trasie. Lub drogi krajowej, którą musiałbyś dzielić z tirami rozwożącymi tiramisu (dobre, nie?) do marketów z owadem. I z przedstawicielami handlowymi, którzy też by tak chcieli, ale nie mogą, więc tym bardziej cisną służbowe fabie i octavie.
- **Elastyczności** – nie zawsze plany da się zrealizować, ale zawsze można je zmodyfikować lub z pokorą przyjąć, że się nie udało. Wyciągając wnioski.

- **Zarządzania przestrzenią bagażową** – ponieważ nie tylko to, co zabierasz ze sobą, jest ważne, ale również, gdzie to umieścisz. Ujeżdżałeś kiedyś konia? Nie? A chciałbyś? To kup największą z możliwych torbę podsiodłową i zapakuj ją jedzeniem, namiotem i ciuchami (to teoria, tak ogromne torby podsiodłowe nadal jeszcze nie istnieją) i potem na jakimś podejściu – pardon, rzecz jasna podejździe – delikatnie pozwól przedniemu kołu zrobić to, na co ma ochotę. Pozwól mu się podnieść. I co? Bingo, środek ciężkości roweru to niezwykle ważna kwestia. Użyj tylnego hamulca, zablokuj tylne koło i każ koniowi (tu powstrzymuję się przed sucharową metaforą w stylu sprawozdawców sportowych starej daty, o stalowym rumaku) stanąć na obu kołach. Pierwsza lekcja za tobą.
Ciężkie rzeczy pakuj raczej na kierownicy, w ramie lub przytroczone do przedniego widelca, jeśli rower oferuje taką możliwość. Z tyłu wóz niewiele: ciuchy na zmianę, coś cieplejszego na wieczór, nawet jeśli gabarytowego, to wagi raczej piórkowej – podsiodłówka, jeśli nie jest sprytnie skonstruowana, potrafi opadać na tylne koło i co gorsza, huścić się na boki. Na twardym podejździe, gdy trzeba będzie stanąć w korby, poczujesz tę dodatkową siłę, która za nic nie będzie ci pomagać w utrzymaniu równowagi.
Jeśli spodziewasz się załamania pogody, kurtkę przeciwdeszczową trzymaj na wierzchu, będzie ważniejsza od pasty do zębów i piżamy. I zapamiętaj, co gdzie włożyłeś – tematyczne pakowanie szpeju ma wiele sensu.
Zdobyte podczas rowerowej włóczęgi umiejętności kompresowania, upychania, pakowania na matrioszkę i redukcowania przydadzą się, kiedy znow będziesz zachodził w głowę, jak zmieścić się na kilkudniowy wyjazd do tej saszetki, którą pewien restrykcyjny co do milimetra tani przewoźnik pozwala zabrać jako bagaż podręczny na pokład.
- **Komponowania zestawu odzieży** – to indywidualna, ale niezwykle ważna kwestia. Co koniecznie zabrać, z czego zrezygnować, co doda komfortu, a co uratuje życie – na te pytania doświadczony bikepacker coraz łatwiej będzie sobie odpowiadał. I znowu, jak z zarządzaniem przestrzenią – te odpowiedzi przydadzą się przy całym „cywilnej”, np górskiej, wyprawie.
- **Podejmowania decyzji w obliczu zmęczenia i stresu** – jasne, tego można nauczyć się, pracując z psychopatycznym szefem, ale w bikepackingu zmęczenie i stres nie budzą niepokojących myśli o zmarnowanym życiu – to normalne elementy tego sportu, zwłaszcza jeśli jest tylko częścią większego planu pod tytułem wysiłku ultra.
Dlaczego minimalizm w bikepackingu jest tak ważny? Ponieważ przede wszystkim chodzi o jazdę na rowerze, a jak wiadomo, im lżejszy rower, tym łatwiej i dalej można zajechać.
Walka o gramy może przebiegać na drodze zakupu lekkich gadżetów lub na rezygnacji z niepotrzebnego szpeju. Pierwsze rozwiązanie zakłada zasobność portfela, drugie może ocierać się o ryzyko pozostania bez czegoś, co okoliczności „uznają” za kluczowe. Najlepiej zatem, gdy wybór rzeczy do spakowania opiera się o niezbędniki, które z czasem (lub napływem gotówki) można lajtować.
Na koniec: nie czekaj, aż wszystko będzie idealne. Nie musisz mieć najlepszego sprzętu, super kondycji ani gwarancji najlepszej pogody. Wystarczy ciekawość, trochę odwagi i gotowość na to, że może nie wszystko pójdzie zgodnie z planem – i bardzo dobrze. Właśnie z tego składają się najlepsze przygody. Spakuj się, jak umiesz, rusz przed siebie i sprawdź, co stanie się po zmroku, gdy zostaniesz trochę dłużej na dworze. ●

Czy bikepacking może być niebezpieczny?

- **Bardzo.** Wypadki, nieprzewidziane załamania pogody, nieprzychylni ludzie... To sport równie ekstremalny, co kolarstwo i turystyka piesza. A serio: piękno bikepackingu polega na tym, że na odpowiednim rowerze możesz trzymać się z daleka od ruchliwych dróg, a nawet w ogóle nie wjeżdżać na asfalt.
- **Rozsądny wybór trasy i przygotowanie** na zmienną pogodę załatwia większość potencjalnych niebezpieczeństw. Zadbaj, by mieć co jeść i pić, zwłaszcza jeśli oddalas się od cywilizacji, postaraj się o ochronę przed słońcem i przed chłodem, zabierz apteczkę z podstawowym wyposażeniem, a w górach koniecznie aplikację Ratunek w telefonie. I będzie dobrze.

Gdzie nocować podczas bikepackingowej wyprawy?

- **Jeśli nie czujesz się pewnie, śpiąc** w lesie czy w punkcie biwakowym na świeżym powietrzu, możesz postawić na wersję de luxe i nocować, jakinni turyści czy wczasowicze, pod dachem. Wersja „murowana i zadaszona” jest przy okazji wygodniejsza, bo nie musisz brać ze sobą śpiwora, maty, namiotu, hamaka lub bivi бага i niestraszne ci niskie temperatury o trzeciej nad ranem. Ale wersja outdoorowa dostarcza więcej emocji i to ona przetrwa w historiach, które opowiadać będziesz wnukom (nie musisz spodziewać się wnuków, by wyruszyć na bikepackingową przygodę, na szczęście to tak nie działa).
- **Żeby przekonać się, jak wiele możliwości** darmowego, legalnego noclegu poza domem oferują polskie (i nie tylko) lasy, wejdź na stronę Wiating.pl.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34373103

Co Jest Grane

14—15.06

NOSOWSKA / KRÓŁ

EDYTA BARTOSIEWICZ
SoloAct

ROGUCKI
& NORMALNI LUDZIE

KORTEZ

PRO8L3M

FISZ EMADE TWORZYWO

KRYSZYNA JANDA
w monodramie
Teatru Polonia
oraz występ
KLUBU KOMEDIOWEGO

DWA DNI PEŁNE KULTURY:
koncerty, teatry, sztuka i mnóstwo atrakcji dla dzieci

CENTRUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ ZAMEK UJAZDOWSKI, Warszawa, ul. Jazdów 2

BILETY NA [ebilet.pl](#) i [kicket.com](#)

ORGANIZATOR:
wyborcza.pl

PARTNER STRATEGICZNY:
LOTTO

SPONSOR STRATEGICZNY:
PERŁA

PARTNERZY:
Warszawa U-jazdowski

PARTNERZY TECHNOLOGICZNI:
NASK Ministerstwo Cyfryzacji

SPONSORZY:
kinder bueno moja K Oral-B

PATRONI MEDIALNI:
ZET chillizet GAZETA.PL AMS HELIOS helios media SUNDANCE TV

eprasa.pl b2ffda2721

1 RP

101. rocznica śmierci pisarza

KOMEDIA LUDZKA *Franza Kafki*

To on ponad sto lat temu doskonale
opisał strach ludzi przed Obcym.
Traktowanie go jako potwora.



Francesco M. Cataluccio*

Moja wielką frustracją, gdy próbuję czytać Kafkę ze studentami, jest to, że nie da się sprawić, by zrozumieli, że Kafka jest komiczny. Ani nawet docenić sposobu, w jaki ta komiczność jest ściśle związana z siłą jego opowiadań”.

To słowa amerykańskiego pisarza Davida Fostera Wallace’a z jego eseju o komiczności u Kafki z 1999 r. Argumentował on, że duża część humoru Kafki wcale nie jest subtelna, wręcz przeciwnie:

„Komiczność Kafki polega na swego rodzaju dosłownym traktowaniu prawd zwykle uznawanych za metafory. (...) Zawsze jest też tragiczna, a ta tragiczność jest zawsze ogromną i pełną czci radością”.

Konkluzja Wallace’a jest taka, że opowiadania Kafki są rodzajem drzwi otwierających się na świat zewnętrzny: i to jest komiks. W końcu Philip Roth wyobrażał sobie ekranizację „Procesu” z Groucho Marxem w roli Józefa K.

Komedia jest kluczem, za którego pomocą ja również czytam Kafkę, bo instynktownie tak właśnie przeczytałem go po raz pierwszy, sam będąc zaskoczonym, w wieku 14 lat. Pamiętam, że moja mama, która nieco sceptycznie wręczyła mi swój egzemplarz jego opowiadań w czarnej okładce z chińskim murem na czerwono, była dość zdziwiona, a może nawet trochę zaniepokojona, gdy usłyszała, jak parskałam śmiechem podczas lektury „Przemiany”.

Moja późniejsza, bardziej systematyczna lektura Kafki potwierdziła to wrażenie. Nie tylko dlatego,

że w latach 80. moje częste pobyty w Europie Środkowej sprawiły, że poczułem, iż świat przedstawiony przez Kafkę stał się w tamtych realiach z biegiem lat coraz bardziej tragikomiczny.

Groteskowy koszmar tzw. realnego socjalizmu wydawał się dzięki niemu wyraźnie komiczny. Dla wielu moich przyjaciół z Warszawy i Pragi Kafka stanowił klarowny klucz do odczytywania rzeczywistości i propozycję zdrowego, mającego wymiar oporu śmiechu. I rzeczywiście, jego książki były nieosiągalne, a nawet zakazane w ZSRR.

W 1963 r., w 80. rocznicę urodzin Kafki [ur. 3 lipca 1883 r., zmarł 3 czerwca 1924], w Liblicach pod Pragą odbyła się niekonwencjonalna konferencja naukowa poświęcona jego twórczości, w której wzięli udział niektórzy z tych, którzy mieli być animatorami Praskiej Wiosny, a następnie zostali zmuszeni do emigracji po inwazji rosyjskich czołgów w 1968 r.

Jak słusznie napisał później Milan Kundera: „Wierzę, że sposób, nie tylko mój, ale generalnie Czechów, rozumienia Kafki to z pewnością inny niż wasz [ludzi z innych regionów Europy]. Dla nas Kafka jest pisarzem realistycznym, ponieważ jego spojrzenie na rzeczywistość jest klarowne. Nikt z nas nie czyta jego książek jako alegorii. Jesteśmy też dużo bardziej wrażliwi na jego humor. Specyfika humoru Kafki polega na tym, że jakaś forma komiczności towarzyszy człowiekowi we wszystkich jego działaniach”.

Kafka „realistycznym humorystą”? Pamiętam, że uroczy profesor literatury węgierskiej na Uniwersytecie we Florencji i dramaturg Miklós Hubay opowiadał kiedyś, jak po klęsce powstania 1956 r. w Budapeszcie wielu intelektualistów zostało zabranych z domów przez policję; zawiązano im oczy i zabrano ciężarówką w kilkugodzinną podróż, podczas któ-

rej wszyscy byli przekonani, że w końcu zostaną rozstrzelani.

Kiedy ciężarówka się zatrzymała, kiedy wysadzono ich i zdjęto im opaski z oczu, zobaczyli górzysty krajobraz (byli w Rumunii) z widokiem na ogromny zamek więzienie. To właśnie wtedy filozof György Lukács powiedział głośno, wywołując u wszystkich wyzwalający śmiech: „Zawsze twierdziłem, że Kafka był pisarzem abstrakcyjnym i drobnomieszczańskim. Teraz zdaję sobie sprawę z tego, że był wielkim pisarzem realistycznym!”.

Pamiętam też, jak w lutym 1988 r. widziałem w paryskim Théâtre du Gymnase wspaniałą adaptację i inscenizację „Przemiany” Kafki w reżyserii brytyjskiego reżysera Stevena Berkoffa, z Romanem Polańskim w roli głównej Gregora Samsy. Polański stwierdził, że zawsze widział w twórczości praskiego pisarza niezbyt ukrytą nutę komediową. I dodał: „Ta komediowość całkowicie umyka widzowi spoza Europy Wschodniej, przyzwyczajonemu, a może skazanemu przez szkołę i różne książki na postrzeganie Kafki wyłącznie jako pisarza winy i pustki”.

Istnieje jednak opowiadanie Kafki zatytułowane „Stara kartka” („Ein altes Blatt”), napisane w 1917 r.; zwłaszcza w dzisiejszych czasach ma ono w sobie coś niepokojącego i wcale nie komicznego.

Kafka stworzył je w samym środku wojny, która prowadziła do ostatecznego rozpadu imperium austro-węgierskiego, w Pradze sparaliżowanej głodem i brakiem węgla. Jednak w liście do swojego wydawcy Kurta Wolffa (z 7 lipca 1917 r.) napisał: „Tej zimy wszystko było dla mnie trochę łatwiejsze. Przesyłam Ci coś z pism użytkowych zrodzonych w tym okresie, 13 próz. Całość jest bardzo daleka od tego, czego właściwie chcę”.

Proza ta znajduje się w zbiorze „Lekarz wiejski” („Ein Landarzt”).

• **Franz Kafka przed swoim domem w Pradze. Zdjęcie z 1910 roku**

FOT. ULLSTEIN BILD VIA
GETTY IMAGES

O czym pisze

TO NIE „SOLI
SZTURMOWA

Początek opowiadania to gorzkie potępienie sytuacji politycznej przez narratora, szewca, który ma warsztat na placu przed pałacem cesarskim: „Wydaje się, że wiele zaniedbano w obronie naszej ojczyzny. Do tej pory nie przejmowaliśmy się tym i poświęciliśmy się pracy; ale wydarzenia ostatnich czasów nas niepokoją”.

Plac został nagle zajęty przez tłum koczowników z północy. Obozują tam, hałasują i śmieć. Nie można z nimi rozmawiać, bo nie znają „naszego języka”. A o ich języku nie może być mowy: „Między sobą porozumiewają się jak wrony”. Cały czas słychać ten krzyk wron. „Nasz sposób życia i nasze zwyczaje są dla nich tak samo niezrozumiałe, jak obojętne”. Do tego „często czynią grymasy (...), a z ich ust wydobywa się piana”.

Poczucie bezradności w obliczu tej ich okupacji i potrzeba karmienia ich, aby zachować spokój, rośnie wraz z tokiem opowieści, aż do epizodu ataku rzeźnika na żywego wołu, który zostaje zmasakrowany i pożarty na surowo, podczas gdy cesarz, być może, smutno patrzy z okna swojego pałacu.

Miałem 14 lat. Moja mama była zdziwiona i zaniepokojona, gdy usłyszała, jak parskam śmiechem podczas lektury „Przemiany” Kafki

Zakończenie opowieści pozostaje otwarte, ale zawiera rodzaj gorzkiej świadomości klasy średniej: „»Co się stanie?» – pytamy wszyscy. (...) Nam, rzemieślnikom i kupcom, powierzono zbawienie ojczyzny; ale nie jesteśmy w stanie sprostać temu zadaniu”.

W ten sposób ponad sto lat temu Kafka doskonale opisał strach przed Obcym, jego przemianę w potwora (któremu nie przysznaje się nawet prawa do posiadania ludzkiego języka) oraz dyskomfort i frustrację sklepikarzy. Przeciętny człowiek (reprezentowany tutaj przez szewca i rzeźnika) cierpi z powodu niemocy i milczenia cesarza i tęskni za „silnym człowiekiem”, który obroni go przed obcymi i przywróci „normalność”.

Milczenie cesarza i władza, która pozostawia obywateli samym sobie, to przejaw i konsekwencja tego, co wydarzyło się kilkadziesiąt lat wcześniej wraz z nadejściem społeczeństwa masowego, kiedy autorytet ojców został podważony.

Zbiór opowiadań, w które go skład wchodzi „Stara kartka”, miał być zgodnie z życzeniem Kafki dedykowany jego ojcu. Jednak jesienią 1919 r. Kafka napisał „List do ojca” („Brief an den Vater”), który, jak można sobie wyobrazić, nigdy nie został dostarczony adresatowi. Jest to piękny i cenny tekst po-

zwalający zrozumieć, czym byli „patriarchalni ojcowie” i kryzys pewnego rodzaju autorytetu, który gwarantował pewną spójność społeczną.

Kafka początkowo opisuje swojego ojca jako rodzaj boga, który góruje nad nim nawet z fizycznego punktu widzenia, i wielokrotnie to przyznaje: „byłeś dla mnie miarą wszystkich rzeczy”; „sam twój fizyczny obraz wystarczył, by mnie zmiażdżyć”; „jako ojciec jesteś dla mnie zbyt silny”; „blokuje mnie strach przed tobą i jego konsekwencjami”. Różnica między nimi jest źródłem bólu („byliśmy dla siebie tak niebezpieczni”) i sytuacji nie do zniesienia („poczucie nicości, które często we mnie dominuje, pochodzi w dużej mierze od twojego wpływu”).

Ale ten autorytet – na szczęście! – nie wytrzymuje już porównania ze współczesnym światem, w którym syn, mając ekonomiczną możliwość studiowania, emancypuje się i nie jest już w stanie (mimo miłości do ojca) podporządkować się nadmiernemu i niekwestionowanemu autorytetowi.

Wstyd i upokorzenie stają się nie do zniesienia dla syna, który jest teraz dorosły; nawet strach przed przemocą fizyczną nie ma znaczenia: „Ciągłe groźby wywołały rodzaj obojętności”. Zrzuciwszy maskę archaicznego i niemożliwego do utrzymania autorytetu, w oczach syna ojciec okazał się postacią małego formatu (jak zawsze dyktatorzy, gdy zostają zdezonizowani): „Wkrótce zacząłem obserwować i wykrywać w tobie pewne śmieszne strony”.

Stara władza i tradycyjny ojcowski autorytet wydają się anachroniczne i groteskowe, ale rodzą, w pustce, którą pozostawiają, głęboki niepokój: „Straciłem pewność siebie i zastąpiłem ją ogromnym poczuciem winy”.

Franz Kafka doświadcza początku tragikomicznego okresu niepewności i niedojrzałości, który jeszcze się nie skończył. Jego szewc boi się wszystkiego, co inne, odczuwa to jako zagrożenie, odczuwa irytację z powodu zamieszania, które zwiększa jego niepewność i bezradne poczucie winy: marzy o przywróceniu porządku i wypędzeniu cudzoziemców, nie znając ceny. Nadal brak porozumienia co do istnienia i postaci zła na świecie. ● przeł. ntw



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Francesco M. Cataluccio

● ur. w 1955 r., włoski pisarz, eseista i tłumacz. Po polsku wydał m.in. książki „Jadę zobaczyć, czy tam jest lepiej” i „Czarnobyl”.

Tytuł tekstu: „Wyborcza”

Fakt, że rosyjski kapitalizm tyle ma wspólnego z kapitalizmem, co kanciarze z Kantem, widoczny był gołym okiem. Bronisław Łagowski takich rzeczy nie widzi

Andrzej Brzeziecki

Obok tekstów prof. Bronisława Łagowskiego nie należy przechodzić obojętnie. Nawet jeśli irytują. Łagowski myśli w poprzek schematów, do których się przyzwyczailiśmy.

Przykład? Gdy my od dwóch dekad śledzimy rywalizację dwóch obozów politycznych, dla prof. Łagowskiego to jest właściwie ten sam obóz, mający te same pryncypia i zakażony tą samą megalomanią. Jedyna różnica jest taka, że część tego obozu jest bardziej dziwaczna niż druga.

Generalnie jednak różnice między rządami, na czele których stoją politycy PiS-u i PO, są właściwie niezauważalne, nieistotne i niezrozumiałe. A w oczach Łagowskiego to prof. Paweł Machcewicz dopuścił się „bezczelnego fałszu”, tworząc takie a nie inne Muzeum II Wojny Światowej. Żeby było jasne, chodzi o inny fałsz, niż miała na myśli polska prawica krytykując Machcewicza. Dla Łagowskiego poglądy tego historyka są tożsame z poglądami prezydenta Andrzeja Dudy. Nic dziwnego, bo zdaniem krakowskiego filozofa Machcewicz przeszedł w IPN-ie „pranie mózgu”...

Łagowski sam się wpisuje w nurt myśli realistycznej, mający korzenie w XIX wieku, do którego zalicza Stanisława Cata Mackiewicza, Stanisława Stommę, Aleksandra Bocheńskiego czy Stefana Kisielewskiego. Można dodać, że podobny styl myślenia charakteryzuje również krakowskiego profesora Andrzeja Romanowskiego, albo zmarłego pięć lat temu Andrzeja Walickiego.

Wydana niedawno książka Łagowskiego „Czy Polskę stać na niepodległość?” to zbiór jego felietonów z lat 1991-2019. Pisane były w różnych periodykach, ostatnio głównie w lewicowym „Przebiegu”. Felieton z racji swej formy nie zawsze pozwala na dogłębną analizę opisywanego zjawiska, operuje skrótem myślo-

wym. Sto kilkadziesiąt felietonów zawartych w tomie to jednak już materiał pozwalający ujrzeć świat ich autora ze wszystkimi niuansami. Tym bardziej, że język prof. Łagowskiego jest precyzyjny, klarowny, a jego mowa jest „tak, tak - nie, nie”.

Łagowski jest w swych poglądach trwały, co czasem uwidacznia się w powtarzanych na przestrzeni lat myślach. Jasne, że tu i ówdzie można znaleźć niekonsekwencję w poglądach, ale na przestrzeni lat to zrozumiałe. Felietony są uzupełnieniem wcześniej już publikowanych zbiorów publicystyki.

Teksty Łagowskiego to spojrzenie na historię III RP - od początków transformacji, po niemal dzisiejsze dylematy. To kronika dziejów najnowszych Polski, ale osadzona - jak na rasowego intelektualistę przystało - w szerokim kontekście historycznym i geograficznym.

Co prawda ostatni tekst pochodzi sprzed ponad pięciu lat, lecz z perspektywy autora trudno mówić tu o jakiejś poważnej zmianie, skoro wybory w 2023 r., jak się można domyślać, nią nie były. Nie pierwszy to raz, gdy PO zastąpiła PiS. Za to w polityce międzynarodowej, o której traktuje większość tekstów, tak wiele się nie zmieniło. Donald Trump już wtedy był, Władimir Putin tym bardziej. Wojna na Ukrainie toczyła się już de facto od 2014 r., Unią Europejską targali podobne sprzeczności itp. itd.

Obraz Polski, jaki wyłania się z tych felietonów, nie jest krzepiący. W skrócie: jesteśmy narodem zakompleksionym, wiecznie machającym szabelką, rozpamiętującym własne krzywdy, którym do tego łatwo manipulować kadząc mu i chwając go (co manipulatora nic nie kosztuje). Tak Polaków uwodził Napoleon, tak robią prezydenci USA, których słowa o tym, że jesteśmy ważnymi sojusznikami, bierzemy za realną walutę.

Ten typ krytyki polskości jest znany. Oczywiście od felietonów trudno wymagać, by obok zgryźliwej diagnozy dawały jeszcze kompletne recepty. A jednak przynajmniej na początku III RP Łagowski kuśił się na podpowiadanie rodakom, w którą stronę należy iść.

Gdy większość z nas cieszyła się z zalewu zachodnich (choć produkowanych w Chinach) błyskotek z plastiku, prof. Łagowski w 1991 r. wskazywał, że Zachód to nie tylko konsumpcja, ale też ciężka praca. Co więcej, konsumpcja może być różna: zachłanna i nastawiona na natychmiastowe zaspokojenie potrzeb, czy raczej zachcianek albo oszczędna i racjonalna.

Zachód ma dwie twarze: asceetyczną i hedonistyczną. Wyglądające narody Europy Wschodniej

zdawały się pragnąć tylko tej drugiej, a „europejska asceza, opanowanie, dyscyplina, higiena psychiczna i cielesna, cały ten zespół cnót cywilizacyjnych znajduje się poza zdolnością ich spostrzegania”. Łagowski uważał wtedy, że chcemy jedynie, aby Zachód nas skolonizował, bo sami nie chcemy wziąć za siebie odpowiedzialności ani podjąć wysiłku pracy i samodyscypliny.

Dużo w tym racji, choć umknął autorowi wielki wysiłek, jaki Polacy włożyli w tworzenie średniego biznesu, który na lata stał się filarem naszej gospodarki, a i uchronił nas przed oligarchizacją. Całe lat 90. XX wieku duża część Polaków zakładała firmy, produkowała dachówki, kostki brukowe, bramy ogrodowe, parkiety. Oczywiście wszystko to było przasne, reklamowane przez półnagie dziewczyny rozciągające się na piecach albo panelach, ale przecież rodzime agencje reklamowe też się uczyły.

W tamtym czasie znaczna część Polaków pracowała dużo (choć nie zawsze jeszcze wydajnie), zwłaszcza handel nie znał prawie żadnych dni wolnych. Łagowski zresztą dostrzega rolę wolnego handlu, ale jego początek widzi tylko w ustawach Wilczka z 1988 r., tak jakby reformy Balcerowicza nie miały żadnego znaczenia.

Gdy w 1994 r. Łagowski pisał, że „w centrum życia narodowego powinno się znaleźć zagadnienie pracy - i tylko ta partia odegra w Polsce historyczną rolę, która potrafi kraj tak przeorganizować, by stało się to możliwe”, z pewnością nie wiedział, że ćwierć wieku później lata 90. zostaną napiętnowane jako „kultura zapierdolu”.

Dziś Polska jest jedną z silniejszych gospodarek w Europie. Chyba tylko przegapiwszy ten wysiłek Polaków, a także inwestycje dokonane z pomocą Unii (a członkostwo w UE to także efekt ciężkiej pracy i reform), można było napisać pod koniec 2019 r., że Polska nie jest i nigdy nie będzie „silniejszą gospodarczo i wyższą cywilizacyjnie”, niż była zawsze w przeszłości. Ta słabość gospodarcza i cywilizacyjna skazywała nas, według Łagowskiego, na lekceważenie, także w przyszłości, ze strony Zachodu.

Czytając felietony z kolejnych lat nabiera przekonania, że według ich autora wszystkie narody Europy i świata są dojrzałe oraz rozumne, jedynie Polacy wciąż nie chcą zmadrzeć. Są niedojrzali, niepoważni i ciągle przekonani, „że najwyższą formą istnienia narodu jest walka”. Chętnie jako naród włączamy się w owczy pęd, tępo głosimy proamerykanizm (ten w wydaniu prometejskim, bo

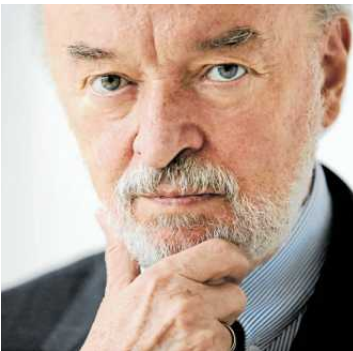
krakowski filozof

DARNOŚĆ” ŁA KAPITOL

trumpowski izolacjonizm chyba autorowi się podoba).

Można się zgodzić z większością krytyki prof. Łagowskiego pod adresem Polaków, zwłaszcza w kwestii megalomani, ale przekonanie, że inne narody są racjonalne, świadczy chyba o małej znajomości świata.

Co ciekawe, tak sceptyczny wobec zmian w Polsce prof. Łagowski dość optymistycznie postrzegał perspektywę reform w Rosji. W swoim czasie przekonanie, że kraj ten może być sojusznikiem Zachodu, było dość powszechne, ale już wiara, że będzie to kraj kapitalistyczny z prawdziwego zdarzenia, musiała dziwić.



FOT. MATEUSZ KWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Łagowski neguje tezę, że niepodległość Ukrainy leży w interesie naszego kraju. A obecność wojsk amerykańskich nad Wisłą postrzega bardziej w kategoriach zagrożenia niż zwiększenia naszych szans obronnych

W pierwszej dekadzie po 1991 r. rokrocznie ginęło w mafijno-biznesowych porachunkach ponad 20 tys. ludzi. Oligarchowie zbijali fortuny na oszustwach. Żeby wtedy przewidzieć putinizm, trzeba było chyba być jasnowidzem, ale fakt, że rosyjski kapitalizm ma tyle wspólnego z kapitalizmem, co kanciarze z Kantem, widoczny był gołym okiem. Nawet w felietonach pisanych po 2014 r. Łagowski zdaje się sądzić, że do wojny w Europie prze wojownicza Polska (zarówno PO, jak PiS), a nie żaden inny kraj...

W ocenie Łagowskiego „na politykę rządów zachodnich, a amerykańskich w szczególności, silny wpływ wywarło myślenie naukowe. Decyzje wyrastają niejako z metodycznej obserwacji faktów, z uważnej analizy związków przyczynowych. Przestrzega się zasady sprawdzalności”.

W tym idealnym zachodnim świecie, jakże różnym od naszego zaścianka, politycy rekrutują się głównie ze światłych ludzi sprawdzonych w biznesie, którzy na dodatek słuchają się prawdziwych naukowców.

Cóż, twierdzenie to wyprzedziło o kilka lat tak „racjonalne” decyzje jak ogłoszenie referendum w sprawie brexitu czy sukcesy opcji antyszczepionkowej w USA i chęć podboju Grenlandii, ale były pisane niemal nazajutrz po wielkim kryzysie finansowym i kilka lat po jakże „racjonalnej” i opartej tylko na sprawdzonych przesłankach decyzji o najechaniu na Irak... Ludzie szturmujący Kapitol w 2021 r. to nie był desant dawnej „Solidarności”, ale prawdziwi, dojrzały Amerykanie, zwolennicy teorii spiskowych, płaskoziemcy i foliarze.

Bronisław Łagowski potrafi swoje wywody prezentować niezwykle przekonująco, dlatego dla inaczej myślących czytelników dobrym ćwiczeniem może być unikanie pułapek, jakie rozsięte są po książce.

Gdy czytamy o różnych układach manipulacji historią, trudno się z autorem nie zgodzić, ale gdy czytamy, że wydawane dziś książki historyczne są równie mało wiarygodne, jak te pisane pod kontrolą cenzury w PRL-u, to aż wypada doradzić prof. Łagowskiemu, by zmienił księgarnię. Pomijam fakt, że i za PRL-u wychodziły naprawdę rzetelne książki historyczne i zgadzam się, że sporo dziś w księgarniach pozycji bałamutnych, nieraz wydawanych za publiczne pieniądze, ale przecież nie sposób porównywać obecnych czasów do tych sprzed 1989 r.

To banał, ale dziś możemy sięgnąć po książki prezentujące wszystkie poglądy na przeszłość. Te skażone megalomaństwem i bohaterszczyzną, jakby wyszły spod pióra peerelowskiego pułkownika Żaluskiego, oraz te przepełnione „pedagogiką wstydu” pisane zapewne, jak twierdzą ich krytycy, „pod dyktando Berlina” - wśród wszystkich książek dostępnych na rynku znajdują się liczne pozycje wiarygodne.

Konsekwencją wolności słowa i wolnego rynku jest konieczność posiadania umiejętności wyboru tego, co się czyta. Potępienie w czambuł PRL-u, a zwłaszcza ludzi tamtej epoki, którzy próbowali mimo wszystko robić rzeczy pożyteczne, jest okropne, jednak wybielanie tamtego okresu wiele lepsze nie jest.

Prof. Łagowski uważa, że bezpieczeństwo i stabilność bywa- ją wartością większą niż niepodległościowa fanfaronada, a okresy niepodległości w historii narodu

nie zawsze pokrywają się z okresami pomyślności społeczeństwa, bo nawet państwo lenne bywa lepiej urządzone niż całkowicie niepodległe.

Pewnie, że tak bywa, choć nie są to chyba poglądy modne na owym racjonalnym Zachodzie, gdzie aktualnie w czambuł potępia się Wielką Brytanię i inne imperia, które „niosły brzemię białego człowieka”.

Łagowski wskazuje, że Kongresówka była lepiej urządzona niż Polska przedrozbiorowa. Chyba jednak bezpieczniej byłoby wskazać na Galicję z ostatnich dekad przed I wojną światową. Chaos i anarchia Polski przedrozbiorowej były wszak suto opłacane przez Petersburg, a nieraz po prostu wymuszane przez stacjonujące na jej terenie wojska.

Gdy czytamy, że w czasach PRL-u Polacy byli już dość dobrze pojeżdżani z sąsiadującymi narodami jak Ukraińcy czy Litwini, a „Solidarność” popsuła wszystko, potępiając akcję „Wisła”, zastanawiam się, jakie książki czyta prof. Łagowski. Szczęśliwie w innych felietonach on sam nam odpowiada. Otóż ceni poglądy prof. Stanisława Biele- nia [politolog, m.in. z UW].

I tu dochodzimy do istoty przekonań Łagowskiego. Złośliwie można by napisać, że w uproszczonej wersji zaprezentował je ostatnio jeden z kandydatów na prezydenta RP, Maciej Maciak. To Zachód, według Łagowskiego, stosuje dezinformację, opisując Rosję, i diabolizuje jej prezydenta (felieton z połowy 2018 r.), natomiast biedni Rosjanie nie mogą adekwatnie odpowiedzieć, bo nie mają ani takich mediów, ani umiejętności propagandowych. Polska wspierając Ukrainę gra niebezpiecznie, a Rosję uznaje za zagrożenie wbrew realnym interesom.

Łagowski neguje tezę, że niepodległość Ukrainy leży w interesie naszego kraju, a obecność baz i wojsk amerykańskich nad Wisłą postrzega bardziej w kategoriach zagrożenia niż zwiększenia naszych szans obronnych.

Sympatia dla Trumpa, zrozumienie dla putinowskiej Rosji, niechęć do Ukrainy, multikulturalizmu to zestaw światopoglądowy, który w ostatnim czasie zyskuje zwolenników, choć „na salonach” wciąż naraża się na ostracyzm. Łagowski nie jest „ruskim trollem”, jego poglądy są autonomiczne, dlatego nie sposób nie docenić odwagi ich głoszenia - bo tak należy ocenić publikację tych felietonów tu i teraz.

Felieton, powtórzmy, ma swoje prawa, ale gdy zbiór felietonów publikuje się w książce, to już trochę inna bajka. To, co cieka-



FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA GAZETA

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Jarosław Mikołajewski

Zło się uwolniło

Uniezależniło

Już nie potrzeba mu czarnego
Źródła

Samo jest źródłem do którego schodzą
pokolenia wnuków dawnego
Morderstwa

Brunatne kwiaty zerwały się
Z lodów
I porastają betonowe trawy

Ma cały arsenał zbrodniczych
Narzędzi

Siekieri i twarze
Pięści i ołtarze

Słowa i sposoby ich wypowiadania

Zło rezerwuje sobie święte
Wzburzenie
Na wypadek że wskaże ktoś jego
Agentą

Pupila o ustach ściągniętych
W zdumienie
Że życie jest życiem
I ma prawo do życia

wi w pojedynczym tekście, trochę nuży w większej dawce. W przypadku Łagowskiego nuży więc powtarzane stwierdzenie, że - z paroma wyjątkami - właściwie wszyscy wokół niego są głupi, naiwni, nierozumiejący zasad światowej polityki, a tylko on sam wie, na czym polega realizm polityczny. Prof. Łagowski na przykład wie, że Trump lubi mijać się z prawdą, ale zdaje się pytać: i co z tego?

Często ów realizm, twierdzenie, że silniejszy ma zawsze rację, to zwykły zblazowany cynizm, którego patronem jest od XIX wieku Talleyrand - nieprzypadkowo ta postać często gości w felietonach krakowskiego historyka idei. Ja jednak widzę w tych tekstach nie tyle besserwiserski cynizm, ale pewne zgorzknienie, nostalgii za światem, którego już nie ma.

Dla Łagowskiego bowiem wspieranie dysydentów w krajach rządzonych przez dyktatury to fanaberia, a białoruscy opozycjoniści mogą swobodnie jeździć po świecie, podczas gdy ludzie tamtejszej władzy z powodu sankcji już nie. Andrzej Poczobut zaś znieważa głowę państwa, jak chce, choć nawet w Polsce to jest karalne. Uwaga o Poczobucie pochodzi z 2012 r., więc należałoby się domyślać, że obecne jego położenie prof. Łagowski uważa za bardziej odpowiednie.

Jeśli jednak tylko Polacy są tacy dziecinni i wrodoży wobec Rosji, to co w Ukrainie robi sprzęt niemiecki, brytyjski, francuski? Lista państw wspierających Ukra-

inę idzie w dziesiątki, od Australii po Kanadę. Europa sama chce się zbroić. Świat oszalał! - musi dziś myśleć Łagowski. A może świat po prostu odjechał i profesor pozostał na peronie krakowskiego dworca, tego z czasów habsburskich, widząc jedynie oddalający się koniec pojazdu?

Realizm polityczny, do którego odwołuje się prof. Łagowski, sięga tradycjami XIX wieku, gdy dominował koncert mocarstw, Polski nie było na mapie i trzeba było znaleźć jakieś modus vivendi. Podobna sytuacja miała miejsce w okresie PRL: Polska, choć istniała na mapie, była niesuwerenna.

Ale realizm to także, jak mawiał Jerzy Giedroyc, przyklejenie do rzeczywistości. A ta bywa zmienna, bo w polityce bywa- ją różne koniunktury. Gdy jest na to dobry czas, można z Rosją dialogować i, jeszcze lepiej, handlować, ale bywa też czas, gdy o dialogu mowy nie ma. Prof. Łagowski, wybitny historyk idei, zdaje się tych koniunktur konsekwentnie nie zauważać. Tym samym sprawa wrażenie, jakby sam utknął w XIX wieku na dobre. ●

Bronisław Łagowski, „Czy Polskę stać na niepodległość? Teksty wybrane z lat 1991-2019”, wybór, opracowanie i wstęp Jan Sadkiewicz, Universitas, Kraków 2024



Najczęściej pochodzili z biednych rodzin, rezygnacja z narządów płciowych była dla nich szansą na awans społeczny.

► Carlo Broschi, znany jako Farinelli (1705-82), najslynniejszy śpiewak kastrat. Portret autorstwa Corrado Giaquinto

FOT. DEAGOSTINI
/GETTY IMAGES



zaco

PAPIEŻE KOCH

Z **DR ANETĄ MARKUSZEWSKĄ**,
MUZYKOŁOŻKĄ, ROZMAWIA
ANNA S. DĘBOWSKA

Papież Leon XIV rozpoczyna pontyfikat, więc porozmawiajmy o niechlubnej historii Kościoła – o kastratach. Dlaczego papieże ich uwielbiali?

– Ten rozdział w historii Kościoła zaowocował wspaniałym rozwojem muzyki. Dziś widzimy wyraźnie, że był ufundowany na przemocy i krzywdzie, w każdym razie takie postrzeganie sprawy podpowiada nam nasza współczesna wrażliwość. A przecież wciąż chętnie słuchamy – teraz nawet chętniej niż pół wieku temu – niezwykle wartościowej muzyki tamtych czasów, która w dużej mierze powstawała właśnie dla kastratów.

Odpowiedź na pytanie, dlaczego uwielbiano kastratów nie tylko w Państwie Kościelnym, we Włoszech, ale też w większości krajów europejskich w XVII i XVIII wieku, wymaga sięgnięcia w głąb historii, nie tylko Europy, ale również Bliskiego Wschodu i Chin. Na dworze cesarskim w Pekinie odgrywali bowiem istotną rolę, o czym za chwilę.

Spójrzmy jednak na Rzym, bo tam – bliżej czasów nowożytnych – zaczęło się kulturowe szaleństwo na ich punkcie. W drugiej połowie XVI wieku pod sklepieniem kaplicy Sykstyńskiej zaczęto pisać nową historię wokalistyki. Pojawiło się wówczas dwóch śpiewaków kastratów, którzy pochodzili prawdopodobnie z Hiszpanii: Francesco Soto i Giacomo Spagnoletto. W kolejnych latach dołączyli Pietro Paolo Folignati i Girolamo Rosini.

Bulla z 1589 roku „Cum pro nostro pastoralis munere” potwierdza skład kapeli papieskiej, a w niej obecność takich śpiewaków. Wkrótce potem Rzym poznał głos Loreta Vittoriego, pierwszego wielkiego kastrata XVII wieku.

To, że Soto i Spagnoletto byli Hiszpanami, nie było przypadkowe.

– Od momentu, gdy Arabowie w VIII wieku naszej ery podbili Półwysep Iberyjski, stał się on kolebką śpiewających kastratów w Europie. Mieli oni swoje miejsce w kulturze arabskiej, między innymi jako strażnicy haremów, ale ceniono także ich piękne głosy. Co więcej, te głosy były znane wcześniej w świecie chrześcijańskim, w Kościołach wschodnich, na przykład w Konstantynopolu. I w końcu ta tradycja dotarła na zachód Europy.

Sądziłam, że kastracja wiązała się z pohańbieniem.

– To prawda, w średniowieczu karano nią przestępców i więźniów. Jeśli chciano kogoś upokorzyć lub wykluczyć, pozbawiano go męskości, uniemożliwiając w ten sposób prokreację. Średniowiecznego teologa Piotra Abelarda paryski kanonik Fulbert z zemsty kazał pozbawić narządów płciowych, którymi ów „zgrzeszył”, miłując Heloizę.

Kastracja mogła wykluczać, ale nie musiała. Wierzono, że służyła leczeniu różnych chorób, takich jak: przepuklina, trąd, padaczka czy podagra. Próbowano też za jej pośrednictwem uśmierzyć szaleństwo.

W innych kulturach kastracja miała pozytywne konotacje, wykonywano ją np. w celach religijnych, kastrując kapłanów. Orygenes, jeden z ojców Kościoła katolickiego, sam się w ten sposób okaleczył, co stało się symbolem religijnej ascezy i pogardy dla ciała.

Z kolei w świecie arabskim kastraci zapewniali towarzystwo nalożnikom sulta-

na. Wydaje się bowiem, że życie codzienne w haremach i serajach było dość mało urozmaicone, przepych i bogactwo to tylko legendy. Kobiety czekały całymi dniami, aż sułtan wezwie je do siebie, a w międzyczasie umierały z nudów. Kastraci umilali im czas w sposób, o który władca nie musiał być zazdrosny.

I tu ważna kwestia: najczęściej pochodzili z biednych rodzin, a rezygnacja z narządów płciowych była dla nich szansą na awans społeczny.

Biednemu zawsze wiatr w oczy.

– Niekoniecznie, np. na dworze cesarskim w Chinach, w Zakazanym Mieście, oczekiwano od służących tam mężczyzn, że nie będą stwarzać zagrożenia dla władcy.

Na przykład nie spłodzą dzieci z cesarzową?

– Lub w ogóle nie będą mieli własnych dzieci, które w przyszłości mogłyby w jakikol-

osoby odpowiedzialne za konserwację zabal-samowanych genitaliów. I te pudeleczka były poddawane pewnym rytuałom, składano im ofiary, dedykowano specjalne modlitwy.

Skąd wzięło się w papieskim Rzymie zapotrzebowanie na kastratów?

– Odkryto ich talenty wokalne. Można jednak przypuszczać, że nie zrobiliby aż takiej furory, gdyby nie uprzednie ucieszenie kobiet.

Z początku Kościół chrześcijański miał być wspólnotowy, kobiety śpiewały podczas kościelnych zgromadzeń. Z czasem jednak przyjęła się dosłowna interpretacja słów św. Pawła nakazująca im milczenie w świątyniach. W chórach kościelnych zastąpili je chłopcy.

Wraz z rozwojem wielogłosowości w muzyce religijnej zaczęły się jednak pojawiać problemy. Brakowało głosów wysokich, sopranów, których nie można było w satysfakcjonujący sposób zastąpić głosami chłopięcymi, tym bardziej że one szybko ulegały



• **Scena z jednej z oper Georga Fryderyka Jerzego Händla, przedstawiająca śpiewaków-kastratów: Farinello (z lewej), Francesco Sensino (z prawej) oraz sopranistkę Francescę Cuzzoni (w środku)** FOT. HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES

wiek sposób podważyć autorytet cesarskiego rodu. Po zapadnięciu zmroku w pałacu tylko cesarz mógł być jedynym „kompletnym” mężczyzną. Kto chciał mu służyć, musiał się poddać zabiegowi usunięcia penisa i jąder. Wielu mężczyzn było skłonnych ponieść tę ofiarę w zamian za przywileje.

Muszę przyznać, że w pierwszym momencie doznałam szoku, dowiedziawszy się, że jeszcze na początku XX wieku pałac cesarski zamieszkiwało 200 kastratów.

Kiedy w 1912 roku zmuszono do abdykacji ostatniego cesarza Chin Pu Yi, okazało się, że było ich tam blisko 100. Ostatni eunuch – tak najczęściej określano wykastrowanych mężczyzn, związany z tradycyjnymi Chinami Sun Yaoting, zmarł w Pekinie w 1996 roku w wieku 94 lat.

Do tego, aby w otoczeniu cesarza znajdowali się wykastrowani mężczyźni, przywiązywano wielką wagę. Taka osoba, zanim została przyjęta na służbę, była badana, aby potwierdzić, że została doskonale wykastrowana. Jeżeli taka osoba awansowała w pałacowej hierarchii, ponownie ją sprawdzano, a wszystko to dla dobra cesarza i dynastii. Sami kastraci w specjalnych pudełeczkach przechowywali swoje odcięte genitalia.

Słucham?!

– Wierzyli, że pogrzebani ze swoimi cennymi „klejnotami” (jak określano usunięte genitalia) będą mogli się odrodzić jako pełni, „kompletni” mężczyźni. Dlatego istniały

mutacji, zatem trzeba je było nieustannie zastępować nowymi.

W Kościele wschodnim zwrócono uwagę na kastratów, którzy – odpowiednio kształceni muzycznie – byli w stanie wykonywać partie głosów wysokich, i to bardzo długo. Za to w Rzymie stali się popularni nie tylko w kościołach, ale przede wszystkim w operze, w nowym gatunku wymyślonym we Florencji pod koniec XVI wieku.

W XVII i XVIII wieku ich występy budziły emocje na miarę dzisiejszych gwiazd muzyki pop, choć trzeba przyznać, że nie przyjęli się np. we Francji. Była to czysto włoska specjalność, która wraz z fascynacją włoską sztuką i kulturą trafiła dość szybko także do Polski.

Też mieliśmy kastratów?

– Zatrudniał ich król Władysław IV Waza, wielbiciel sztuk, szczególnie muzyki, który na królewskim dworze w Warszawie posiadał jeden z najwcześniejszych teatrów operowych poza Italią, kierowany przez Włochów. Wspaniałą gwiazdą tego teatru był przez 30 lat kastrat Baldassare Ferri, wysłany do Polski w 1625 roku jeszcze jako dar dla ojca królewicza Władysława, króla Zygmunta III Wazy, od kardynała protektora Rzeczypospolitej w Rzymie, kardynała Francesca Barberiniego.

Ten przykład ilustruje też ciekawe i dość częste zjawisko w środowisku ówczesnych możnowładców obdarowywania się utalentowanymi artystami śpiewakami.

Czy była jakaś papieska bulla o kastratach? Jakaś teoretyczna podbudowa procederu polegającego na kastrowaniu chłopców przed osiągnięciem przez nich dojrzałości płciowej, aby zachować ich anielski głos dla kleru?

– Nie, żadnej takiej bulli nie było, bo oficjalnie Kościół zakazywał kastracji i ją potępiał.

Czyli to się odbywało nieoficjalnie?

– Tak, za ten proceder groziły surowe kary, z karą śmierci łącznie. Przecież ciało człowieka stworzone przez Boga jest doskonałe, a zatem grzechem byłoby jego okaleczanie. Z drugiej jednak strony uważano, że piękny głos mógł służyć chwaleniu Boga, a to z kolei czyniło go cenniejszym niż zachowanie męskości.

Taka była teoria?

– Tak. I tu akurat przodowali zakonnicy, chociaż nie zawsze się ze sobą zgadzali. Część uważała, że kastracja powoduje, że mężczyźni stają się głupi i humorzaści, zdeformowani i niekompletni.

Inni, jak np. angielski benedyktyn Robert Sayer żyjący pod koniec XVI wieku, byli zdania, że śpiew ma służyć Bogu, a zatem kastracja odbywa się w imię Boże.

Przeurocza hipokryzja. Kościół potępia teraz tranżycję płci, a kiedyś przez wieki tolerował i wspierał kastrację.

– Dopisywano do tego całe opowieści, historie i legendy, dlaczego ktoś stracił męskość. Wszyscy ci kastraci mieli więc spotkania z dzikiem, doświadczyli upadku z konia lub innego nieszczęśliwego wypadku, który spowodował, że usunięcie genitaliów wydawało się jedyną szansą na trwałe uzdrowienie.

A jak usprawiedliwiano obecność kastratów w operze? Służyła przecież rozrywce, nie Bogu.

– Uznawano, że teatr, w tym teatr operowy, nie jest właściwym miejscem dla kobiet. To się oczywiście zmieniało w czasie, ale jeszcze do końca XIX wieku dominowało przekonanie, że kobieta sprzedająca na scenie swój talent placącej publiczności niewiele się różni od kurtyzany czy prostytutki.

Miejszem kobiety pozostawała sfera prywatna, powołaniem życie rodzinne, wypełnianie funkcji chrześcijańskiej żony i matki, osoby posłusznej i przede wszystkim skromnej.

Śpiewaczki i aktorki bywały ofiarami przemocy seksualnej?

– Z całą pewnością tak. Świat teatru w tamtych czasach był światem mężczyzn. Dyrektor opery, kompozytor, librecista, impresario, właściciel teatru, instrumentalści – wszyscy bez wyjątku byli mężczyznami. Do tego dochodziła grupa arystokratycznych patronów tych scen, którzy często z aktorek i śpiewaczek robili swoje kochanki.

Dlaczego tak bardzo ceniono wysokie głosy?

– Od czasów średniowiecza istniało wyobrażenie, że człowiek przez spoglądanie w górę, w niebiosa, ma szansę na zbawienie. Wierzono, że dusza ludzka dąży ku niebu, a anioły nie mają płci. Kastraci obdarzeni wysokimi, przeszywającymi, czystymi głosami wydawali się często istotami egzystującymi poza płcią, co powodowało, że stanowili doskonały łącznik między grzesznymi śmiertelnikami a Bogiem.

Jednocześnie postrzegano ich jako mężczyzn, niekobiety, ich status społeczny był wyższy od statusu kobiet. Wprawdzie kastratów uważano za pozbawionych pewnej części energii vitalnej właściwej mężczy-

ALI KASTRATÓW

znom, jednak kastracja nie skazywała ich na wegetację w cieniu, na którą skazane były kobiety.

Poza tym inaczej rozumiano w operze XVII i XVIII znaczenie głosów. Ten wyso-ki, wydobywający się z krtani mężczyzny symbolizował męskość, heroiczną, waleczność, pierwszego kochanka, generała, księcia, władcę, innymi słowy: primo uomo, rolę pierwszoplanową. Jej wielkie znaczenie w rozwoju fabuły i ustalona konwencja w dystrybucji ról tworzyły zapotrzebowanie na głosy kastratów.

To jak te „anioły” śpiewały?

– Świadkowie twierdzą, że zjawiskowo. Zachowało się dużo przekazów, ocen, opisów – ów głos nie brzmiał ani jak głos dziecka, ani jak głos kobiety. Pisano, że lekkość głosu kastratów, zwinność i piękno oraz nasycenie emocjonalne przekraczały wszelkie oczekiwania.

Fizycznie kastracja sprzyjała szalonej wirtuozerii. W wyniku braku produkcji testosteronu nie pojawiała się mutacja, krtani się nie obniżała, struny głosowe nie rosły.

Kastraci dysponowali nierzadko rozległą skalą, która – bywało – obejmowała najwyższe dźwięki kobiecego sopranu i nuty barytonu w dole skali. Umiejętnością, której od nich oczekiwano, było płynne, niezauważalne przechodzenie pomiędzy rejestrami. Z kolei rozbudowana klatka piersiowa i płuca, które wzmacniali ćwiczeniami oddechowymi, pozwalały na wykonywanie długich, skomplikowanych pasaży na jednym oddechu. Pisano, że Farinelli potrafił na jednym oddechu i jednej sylabie wykonać 150 nut.

Jakieś szaleństwo!

– Tak, ale te umiejętności były efektem katorżniczej wręcz pracy i dyscypliny od najwcześniejszych lat pod okiem wymagających nauczycieli śpiewu. Te wieloletnie studia dawały kastratom zdecydowaną przewagę nad kobietami, które zazwyczaj otrzymywały krótszą i gorszą edukację wokalną, co oznaczało też często krótszą karierę sceniczną.

A jak wyglądali?

– Kastratom brakowało drugorzędnych cech płciowych. Nie wykształcało im się jabłko Adama, nie mieli zarostu na twarzy ani na ciele, rozkład tkanki tłuszczowej przypominał ten charakteryzujący ciała kobiet. Pozbawieni hormonu hamującego wzrost mieli bardzo długie, choć słabe kości.

Zapewne chorowali na osteoporozę i byli nienaturalnie wysocy. Farinelli miał prawie dwa metry wzrostu.

Byli opisywani jako przystojni albo ładni jak najładniejsze dziewczyny. Taki wygląd umożliwiał im wcielanie się zarówno w partie męskie, jak i kobiece, na co dodatkowo pozwalało inne postrzeganie płci. Do końca XVII wieku i jeszcze przez długą część wieku XVIII obowiązywał model jedno-płciowy, w którym kobiece organy płciowe postrzegano jako odwrócenie do wewnątrz męskich genitaliów.

Męski świat widziano jako lepszy właśnie dlatego, że był zwrócony na zewnątrz. Na wertykalnej osi wyobrażano sobie mężczyznę na górze, kobietę na dole, zaś pomiędzy skrajnymi częściami tej osi znajdowała się przestrzeń, w której umieszczano „innych” – na przykład dzieci, męskie kobiety, znie-wieściałych mężczyzn (z wł. effeminato) czy właśnie kastratów. Bez problemu mogli się wcielać zarówno w heroiczných kochanków, jak i delikatne, czule bohaterki.

Ludzi fascynowała androgyniczność kastratów?

– Zachwycało to, że potrafili być tacy dziesięć-chłopięcy. Nie zapominajmy też, że w antyku, który zawsze był punktem odniesienia dla kolejnych epok, androgynia oznaczała duchową doskonałość właśnie przez połączenie cech kobiecych i męskich.

Młodzi kastraci bardzo często debiutowali w rolach kobiecych, do których predestynował ich wygląd, o którym już wspominałam. O młodym Farinellim, który debiutował

w teatrze operowym w Rzymie w takich partiach, pisano „ragazzino” – „chłopczyk”, ze względu właśnie na androgyniczny wygląd. Przez trzy sezony artystyczne Farinelli specjalizował się w partiach kobiecych.

Po 1725 roku, gdy zdobył już konkretne doświadczenie sceniczne, zaczął się wcielać w partie męskie, uwodząc słuchaczy swoim wspaniałym, wysokim głosem. Inni kastraci, jak np. Giacinto Fontana znany też jako Farfallino, nigdy nie zmieniali tej specjalizacji, cały czas kreując role kobiece.

I trzeba tu jeszcze raz podkreślić – tak było w Rzymie, gdzie kobiety miały zakaz występowania na scenach. Natomiast w wielu innych ośrodkach, w operze neapolitańskiej, która w XVIII wieku stała się najbardziej wpływową w Europie, było dla nich miejsce.

No dobrze, ale za tą przyjemnością od początku stała zbrodnia. Chłopców kastrowano bez ich zgody, okaleczając na całe życie. Kastraci śpiewający w Kościele i w operze to jest wielowiekowa historia przemocy.

– Teoretycznie wymagano zgody dziecka, w praktyce o operacji decydowali rodzice często w porozumieniu z nauczycielem śpiewu i nie traktowali kastracji jako krzywdy.

Jak to?

– Przemawia przez ciebie współczesna wrażliwość. Żyjemy w świecie, w którym ważne są prawa człowieka, a wówczas nie było nawet tego pojęcia. Kastracja dawała chłopcom wywodzącym się najczęściej z bardzo biednych rodzin możliwość poprawy własnego losu i swojej rodziny, choć z naszej perspektywy droga prowadząca do tego celu wydaje się drastycznym, barbarzyńskim wyborem.

Istnieją bardzo różne interpretacje wyjaśniające popularność zjawiska kastrowania chłopców w celach muzycznych. Amerykański muzykolog Roger Freitas bardzo interesująco opisał w tym kontekście dzieje rodziny Melanich z tokańskiego miasta Pistoia, mieszkającej tam w XVII wieku.

W tej rodzinie było siedmiu synów, z których aż czterech ojciec oddał do kastracji. Nasuwa się pytanie dlaczego. Otóż inaczej rozumiano wówczas instytucję rodziny, koncentrując się bardziej na jej statusie niż na jednostkowych potrzebach. Wedle ówczesnego prawa tylko najstarszy syn mógł się ożenić i odziedziczyć majątek, aby go nie rozdrobnić. Dla pozostałych małżeństwo – nawet z kobietą, która wniosłaby posąg – było bardziej kosztowne od życia w pojedynkę.

Kolejni synowie wybierali więc stan duchowny, służbę w wojsku, życie w samotności. Oraz – gdy wykazywali się talentem wokalnym – karierę śpiewaka po uprzedniej kastracji.

Rodzina mogła liczyć na to, że utalentowany i dobrze wykształcony chłopiec, jeśli odniesie w przyszłości sukces finansowy, podniesie status własny i bliskich, stając się opiekunem rodu.

Tak się istotnie stało w przypadku rodziny Melanich za sprawą Atta Melaniego, utalentowanego kastrata o głosie altowym, który służył na dworze we Florencji, w Innsbrucku, Paryżu, aby ostatecznie stać się szpiegiem na usługach kardynała Mazzariniego. Taka kariera była możliwa dla najbardziej pożądaných kastratów, którzy mieli szansę występować przed najważniejszymi osobami w państwach.

Znając języki, posiadając odpowiednie manery, jeśli byli lojalni i dyskretni, potrafili zaskarbić sobie zaufanie dyplomatów i władców. To także przypadek Farinellogo, który został ministrem na dworze w Madrycie. Jego akurat ojciec oddał do kastracji z miłości do muzyki, a nie z powodu problemów finansowych.

Freitas zaznacza też, że w okresie kontrreformacyjnego żywiołu kastrację traktowano jako rodzaj dobrowolnego celibatu, życia w ascezie, która miała poskromić ciało, ale wzmocnić ducha.

Nie było pewności, że głos młodzieńczego kastrata będzie się dobrze rozwijał?



• Giovanni Battista Velluti, kastrat, który zakończył karierę w Londynie w 1829 roku

FOT. BE&W

– Dlatego można sobie wyobrazić, że XVIII-wieczną Italię zamieszkiwały tysiące wykastrowanych mężczyzn, którzy spodziewanego sukcesu nie odnieśli, a ich kariera wokalna nie rozwinęła się zgodnie z oczekiwaniami. Żyli w nędzy i wstydzie, nierzadko jako bezdomni nędzarze.

Takie były często ich losy – pałace i przytulki.

Zabiegu dokonywano przed rozpoczęciem mutacji. Chłopiec miał zazwyczaj około ośmiu, dziewięciu lat, nie więcej niż czternaście. Zabieg przeprowadzano bez znieczulenia. Włoscy kastratorzy doszli do pewnej wprawy, więc rekonwalescencja trwała dwa tygodnie, a nie kilka miesięcy. Oczywiście, istniało ryzyko, że dziecko umrze, i na pewno często się tak zdarzało.

Dla porównania – w Chinach usuwano penis i jądra, we Włoszech tylko jądra, dlatego później wielu kastratów, zwłaszcza o statusie gwiazdy, np. słynny śpiewak Senesino, przypisywało sobie sukcesy seksualne. Twierdzili, że nadal mogą być dobrymi kochankami. Bywało, że wnosili prośby o pozwolenie na zawarcie związku małżeńskiego, czego im odmawiano, ponieważ nadrzędnym celem małżeństwa w tamtym okresie była prokreacja.

Istniała opowieść zapisana w XVIII wieku przez Francuza Charles’a de Brossa, jakoby jeden z kastratów twierdził, że jego zabieg został źle wykonany, na co papież miał na marginesie zanotować, że „należy kastrować lepiej”. Zgody na ślub odmówił.

Okaleczeni chłopcy trafiali do szkół?

– Przed debiutem kształcili się pod okiem najlepszych nauczycieli. Ta nauka nie była niczym innym jak tresurą, która trwała około dziesięciu lat. Zwykle do takiej szkoły z internatem trafiał dziewięciolatek, a opuszczal ją siedemnastolatek.

We Włoszech nazywano te szkoły konserwatoriami, ale miały też funkcje opiekuńcze. Neapol miał aż cztery takie konserwatoria. W innych miastach nauka śpiewu odbywała się na zasadzie mistrz – uczeń. Kastraci mieli swoich uczniów, też kastratów, niektórzy pozostawili podręczniki śpiewu, tworzyli pewne lokalne style interpretacji.

Zajęcia odbywały się regularnie od świtu do wieczora. Najważniejsze były przedmioty muzyczne związane ze śpiewem i konkretnymi technicznymi wymaganiami, jak tryl czy messa di voce, ale także ćwiczenia przed lustrem, które miały na celu wyrugowanie grymasów, zajęcia z kontrpunktu, kompozycji, z realizacji basso continuo, z gry na różnych instrumentach.

Fundamentalne znaczenie dla ówczesnego wykonawstwa muzycznego miała sztuka improwizacji. Chodziło o to, aby w tzw. arii da capo, przy powtarzaniu jej pierwszej części śpiewak wykonywał ją za każdym razem nieco inaczej, np. z nowymi ornamentami.

W którym momencie zaczął się schyłek popularności kastratów?

– Od momentu, gdy znaczenia nabrały idee oświeceniowe. Francuzi mieli problem

z kastratami. Rousseau lansował powrót do natury, proklamowano prawa człowieka. Stało się jasne, że kastracja to barbarzyństwo. Zaczęli więc znikać ze scen. Bardzo przyczynił się do tego Napoleon Bonaparte, który wprawdzie miał swojego ulubionego Girolama Crescentiniego, ale samą praktykę potępiał.

Ostatni wielki kastrat XIX-wiecznej opery to Giovanni Battista Velluti, który zakończył karierę w Londynie w 1829 roku. Prawdopodobnie to jego postać posłużyła Balzakowi do napisania opowiadania „Sarrasine” (1830).

Na początku lukę po kastratach na scenach zaczęły zajmować kobiety śpiewające niższymi głosami. To był czas kontraltów i takich śpiewaczek jak Giuditta Pasta czy pół Polka, pół Niemka Felicita Vestali. Stopniowo, jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku, ich partie przejmują tenorzy, tak jest w operach Rossiniego.

Tenor staje się głosem heroicznym, wybitnie męskim, a kobiety – słowikami śpiewającymi wysoko, ich głos staje się symbolem niewinności i naiwności.

Przykładem takiej śpiewaczki była Jenny Lind.

Zmieniły się role i zmieniło się rozumienie płci w znaczeniu konstruktu biologicznego. W XIX wieku zdecydowanie mamy już dualizm płciowy, w którym nie ma miejsca dla kastratów czy istot androgynicznych, które wiek wcześniej budziły tyle ekscytacji.

Głos eksponujący męskość w XIX-wiecznej operze mieszczańskiej to niski tenor lub baryton, zbliżony do naturalnego tembru męskiego głosu.

Znikają też stopniowo partie in travesti, inaczej role spodenkowe, w których kobiety wcielały się w partie młodych chłopców. Doskonałym przykładem takich ról jest Mozartowski Cherubino lub różne wersje operowego Romea.

A więc w XIX wieku zaprzestano procedury kastracji?

– I tak, i nie. Kastraci zniknęli z teatrów operowych, ale nie z kościołów. Istniały więc miejsca, gdzie można było ich nadal posłuchać. Pewien Włoch opisywał pod koniec XIX wieku, że znalazłszy się w bazylice Świętego Piotra w Rzymie, usłyszał nagle ich głosy i wpadł w zachwyt. Przetrwało nagranie ostatniego kastrata śpiewającego w kaplicy Sykstyńskiej Alessandra Moreschiego, który zmarł w 1922 roku.

Dlaczego dziś interesują nas kastraci?

– Ponieważ pisano dla nich wspaniałą muzykę, którą wiek XX zaczął odkrywać po stuleciach zapomnienia w połowie lat 60.

W muzyce klasycznej fascynują nas mężczyźni śpiewający wysokie dźwięki. Tylko że naturalnie nie są to już kastraci, lecz kontratenorzy wykorzystujący technikę falsetu. Tacy wokaliści jak Samuel Mariño czy Bruno de Sá śpiewają naturalnym sopranem męskim, ale to nadal głosy rzadkie.

Fascynacja wysokimi głosami męskimi przetrwała w muzyce rozrywkowej, wystarczył przypomnieć takich wokalistów jak Frankie Valli i męski band The Four Seasons, glam rockowego Freddiego Mercury’ego.

I ta tendencja rośnie, weźmy choćby Azję i bardzo popularny od kilku lat południowokoreański siedmioosobowy boys band BTS, w którym wokaliści wykorzystują falsetową barwę głosu. Tak jakbyśm znowu wrócili do przekonania, że wysoki głos brzmi męsko. ●

Dr Aneta Markuszewska

• Pracownik naukowy Instytutu Muzykologii Uniwersytetu Warszawskiego. Jej główne zainteresowania naukowe to: opera XVII i XVIII wieku, a także muzyka klawiszowa tego okresu. Autorka książek „W cieniu korony. Muzyka w polityce Jakuba III Stuarta i jego żony Marii Klementyny Sobieskiej w Rzymie (1719-1735)”, „Festa i muzyka na dworze Marii Kazimiery Sobieskiej w Rzymie”, „Kompozytorki i patronki muzyki w XVII i XVIII wieku. Wybrane portrety”.

Historia krzepi

Radziwiłł w sidłach historii

Ród był tak potężny, że skutecznie opierał się burzom dziejowym.
Nie zaszkodziły mu nawet rozbiory.

Natęcz

Tomasz
Natęcz

– historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

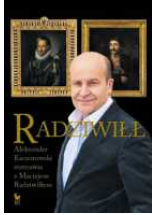


Zmieniają się bohaterowie popularnych od lat 90. wywiadów rzek. Mniej tam teraz ludzi władzy, a więcej osób aktywnych na innych polach. Dobrym tego przykładem jest rozmowa Aleksandra Kaczorowskiego z Maciejem Radziwiłłem, potomkiem najpotężniejszego rodu magnackiego na Litwie, odnotowanego już w 1401 roku w dokumencie unii wileńsko-radomskiej. Radziwiłłowie dali Rzeczypospolitej Obojga Narodów królową Barbarę oraz wielu wybitnych dostojników świeckich i kościelnych. Zdarzali się też wśród nich awanturnicy i rokoszanie, własną butę i ambicję przedkładający ponad interes publiczny. Dwóch z nich, Janusza i Bogusława, uwiecznił w „Potopie” Henryk Sienkiewicz jako symbol narodowej zdrady. Ród był tak potężny, że skutecznie opierał się burzom dziejowym przeta-

czającym się przez Polskę. Nie zaszkodziły mu nawet rozbiory, opresyjne dla reszty społeczeństwa. Procentowały kariery w służbie zaborczych monarchii oraz mariaże i wiążące się z nimi posagi. Dla bogatych rodzin wielkim honorem było wydać córkę za Radziwiłła, choćby nieudacznika i utracjusza. Niegroźna okazała się też XX-wieczna ofensywa demokracji i egalitaryzmu. Wprawdzie odrodzona II Rzeczpospolita zgodnie z przepisami konstytucji marcowej z 1921 roku nie uznawała „przywilejów rodowych ani stanowych”, ale Józef Piłsudski po zamachu majowym w 1926 roku właśnie w Nieświeżu, siedzibie Radziwiłłów, umacniał swoją władzę, zawierając sojusz z arystokracją. Erę pomyślności zamknął dopiero rok 1945. Oddanie przez Zachód Polski w moskiewską strefę wpływów i uczynienie z niej sowieckiego satelity oznaczało dla arystokracji, w tym i Radziwiłłów, prawdziwą katastrofę. Zwalczająca klasy posiadające komunistyczna dyktatura nie tylko pozbawiła ich majątków i przywilejów, ale też szyskanowała na każdym kroku, utrudniając codzienną egzystencję. Taki też był los rodziców bohatera naszej opowieści. Rodziny Alberta Hieronima Radziwiłła oraz Anny Marii Czartoryskiej z trudem wiązały koniec z końcem. Dzieci nie mogły zdo-

być planowanego wykształcenia. Anna Maria chciała studiować inżynierię lądową, ale władze pozwoliły jej jedynie na pomaturalną szkołę ekonomiczną. Albert Hieronim wybierał się na studia agronomiczne, ale musiał poprzestać na rachunkowości, po której całe życie pracował jako księgowy. Rodzice urodzonego w 1961 roku Macieja wzięli ślub cztery lata wcześniej i wiedli życie inteligenckiej rodziny na dorobku, tułając się po sublokatorskich pokojach we Wrocławiu. Po kilku latach wyładowali w podwarszawskim Wołominie, gdzie ojciec został księgowym w hucie szkła. Mieszkali w małym, dwupokojowym lokalu komunalnym. Po kilku latach ojciec awansował na głównego księgowego Zjednoczenia Przemysłu Szklarskiego. Przenieśli się do Warszawy i zamieszkali z babką po kądzieli, Marią z Żółtowskich Radziwiłłową, której po dawnej fortunie pozostało pół domu z ogrodem na Mokotowie. Dopiero od niej kilkuletni Maciej dowiedział się, że pochodzi z arystokracji. Snuła rodzinne opowieści i tłumaczyła koligacje odwiedzających ich krewnych. Jednak nie wpajała poczucia wyższości. Maciej dorastał jak rówieśnicy z warszawskich szkół. Na jego życiu zaważyło znakomite Liceum im. Tadeusza Reytana i działalność w harcerskiej „Czarnej Jedyńce”, kuź-

ni kadr antykomunistycznej, demokratycznej opozycji. Związał się z Komitetem Obrony Robotników i został drukarzem nielegalnych wydawnictw. Kontynuował tę działalność w stanie wojennym, za co na krótko trafił do więzienia. Po 1989 porzucił politykę i zajął się biznesem. Sprawdził się w nim znakomicie, zajmując ważne stanowiska w Credit Suisse First Boston Polska, Union Bank of Switzerland i Cresco Financial Advisors. Można powiedzieć, że został pierwszym self-made manem w gronie Radziwiłłów. Rozmowa z nim jest barwną opowieścią o życiu arystokraty w nietypowych czasach, gęsto przetykaną różnorodnymi historiami rodzinnymi z dalszej i bliższej przeszłości. Bardzo cenna to lektura, pożyteczna zwłaszcza dla fanów popularnych ostatnio „Chłopek”, mających teraz okazję poznać drugą stronę historyczno-społecznego medalu. ●



Radziwiłł

Maciej Radziwiłł
w rozmowie
z Aleksandrem
Kaczorowskim
Iskry 2025

Okruchy historii

Jądro ciemności

Wzorce ludobójstwa zastosowane w Namibii po latach Niemcy wcielili w życie w Polsce.

Motyka

Prof. Grzegorz
Motyka
– historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN



Już dawno żadna książka nie poruszyła mnie tak mocno, jak „Ludobójstwo w Afryce” Davida Olusogi i Caspera W. Erichsena. Tym bardziej że niemieckie zbrodnie kolonialne – jak twierdzą autorzy – miały bezpośrednie przełożenie na losy Polaków w czasie II wojny światowej. Namibia stała się niemiecką kolonią w końcu XIX wieku. Pomimo ekspansji osadników w środkowej i południowej części kraju dominowały plemiona Herero i Nama. Dzięki handlowi bydlęm rodzimi mieszkańcy żyli dostatnio, wielu z nich przyjęło chrześcijaństwo, a ich przywódcy byli nieźle wykształceni. Wódz Nama Hendrik Witbooią prowadził bogatą korespondencję ze światem, nierzadko zręcznie przekonując zachodnią opinię publiczną do swoich racji w sporach z Niemcami.

Jak łatwo się domyślić, to tylko wzmagало niechęć niemieckich osadników sfrustrowanych faktem, iż rdzenni mieszkańcy często są w lepszym położeniu ekonomicznym niż oni. W styczniu 1904 roku doszło do starć między Niemcami i Herero, które przerodziły się w otwarte powstanie. Według autorów Herero zabijali tylko mężczyzn, oszczędzając kobiety i dzieci. Inaczej postąpili Niemcy. Gdy oddziały niemieckie wpadły w zasadzkę pod Oviumbo, z trudem unikając zagłady, szef sztabu cesarskiej armii gen. Alfred von Schlieffen, uznawany za genialnego stratega, wysłał do Namibii ekspedycję dowodzoną przez gen. Lothara von Trotha. W sierpniu 1904 roku Trotha otoczył Herero u stóp płaskowyżu Waterberg. Wobec ognia artylerii pozostało im tylko przebiec się z okrażenia i ucieczka na pustynię Omaheke. Stała się ona dla nich śmiertelną pułapką. W październiku 1904 roku Trotha, ścigając buntowników, dotarł do ostatniego wodopoju na pustyni w Osombozo Windimbe i wydał tam proklamację nakazującą Herero opuszczenie Namibii pod groźbą śmierci. Każdy napotkany członek plemienia miał zostać zabity. To rzadkość, by ludobójcy tak otwarcie przyznawali się do zbrodni. By uspokoić sumienia urzędników w Berlinie, Trotha napisał, że zabija tyl-

ko mężczyzn, do kobiet i dzieci strzela zaś nad głowami, aby uciekli na pustynię. Schlieffen zgodził się z intencjami swojego generała, uznał jednak, że jego plan niebrania nikogo do niewoli jest technicznie niewykonalny. Świadcami niemieckich zbrodni byli towarzyszący cesarskiej armii zwiadowcy Nama, którzy poinformowali o wszystkim starszyznę plemienia. Wódz Witbooin czytał niemiecką prasę, wiedział więc, że koloniści mają o jego ludziach jeszcze gorsze zdanie niż o Herero. Dlatego uznał, że nie ma wyjścia, i w październiku 1904 roku rozpoczął powstanie. Nauczony doświadczeniem pobratymców zastosował partyzancką taktykę. Dzięki temu do jego śmierci w październiku 1905 roku opór Nama pozostał nieskruszony. Ale gdy zginął, wodzowie Nama rozpoczęli rozmowy pokojowe. Mogło się wydawać, że mają one sens: von Trotha został odwołany przez Schlieffena do Niemiec, a nowy gubernator ogłosił amnestię. Jednak „amnestiowanych” kierowano do specjalnie stworzonych obozów koncentracyjnych, gdzie wyczerpująca praca i choroby doprowadziły do licznych zgonów. Według szacunków w obozach zmarło od 40 do 60 procent wszystkich osadzo-

nych. Kres cierpieniu niedobitkom Herero i Nama przyniosły dopiero I wojna światowa oraz zajęcie Namibii przez wojska brytyjskie i południowoafrykańskie. Zdaniem autorów rasistowską politykę praktykowaną w Afryce nazisów zastosowali w okupowanej Europie Wschodniej. Słowian miał bowiem spotkać taki sam los, jaki był udziałem Herero i Nama. Część Słowian – co w pierwszej kolejności dotknęło Polaków – chciano zniszczyć fizycznie, pozostałych zaś wysiedlić za Ural lub zamienić w niewolników, którzy, jak zalecał Hitler: „nie będą uczyli się niczego na temat swojej historii – wystarczy im tylko muzyka, muzyka, mnóstwo muzyki”. Zapewne nie doszłoby do tych eksterminacyjnych zapożyczeń, gdyby zbrodnie w Namibii zostały rozliczone. Co prawda Brytyjczycy opisali je dokładnie w specjalnej „Błękitnej księdze”, lecz już w 1927 roku niemieccy osadnicy wymogli na władzach RPA, by zniszczyć wszystkie egzemplarze tej książki. Pamięć o ludobójstwie przetrwała tylko dzięki ustnym przekazom Herero i Nama z pokolenia na pokolenie. Warto pamiętać, że jeśli rezygnujemy z oceny zbrodni przeszłości, to tym samym pozwalamy na ich powtórkę w przyszłości. ●

rowanie żydowskich więźniów w obozie. Świadkowie ocaleli z obozu wspominali, że bez wyjątku odznaczali się oni brutalnością i okrucieństwem.

Otrzymanie przepustki było wydarzeniem wyjątkowym, ale nie pozwalało na wyjazdy do większych miast, więc jedyną opcją były okoliczne wsie. Wachmani stawali się więc „władcami” polskiej prowincji. Nosili czarne mundury, mieli broń i pieniądze. Trafiała do nich też niewielka część dóbr, które idący na śmierć zostawiali w obozie: srebro, biżuteria, złote ruble i dolary.

We wsiach szybko powstawały meliny oferujące alkohol, usługi seksualne i towary luksusowe. Organizacja tych usług wymagała zapewne wsparcia przemytników z większych miast, bo na prowincji dostęp do takich artykułów był ograniczony. Wachmani byli wymagającymi klientami. „Wyszukiwali ładne dziewczęta, które robili swymi kochankami za dolary i złoto zrabowane w Treblince” – wspominała Celina Kalembsiak dla Żydowskiego Instytutu Historycznego.

Świadek Wacław G. z Wólki Okraglik mówił po wojnie o wachmanach, że „wszędzie ich było pełno” i byli nieprzewidywalni. Stanisław Ś. zeznał, że kiedy odmówił im wydania wódki, został tak mocno uderzony w twarz, że się przewrócił. Marcin S. potwierdzał: „Gdy ktokolwiek im się sprzeciwiał, dostawał po policzkach i tyle było gadania”.

CAŁY DZIEŃ SLYCHAĆ BYŁO KRZYKI

Obóz w Treblince radykalnie zmienił okolicę. Wbrew mitowi o bezludności tego miejsca w promieniu 5 km od obozu żyło ponad 6 tys. ludzi w 13 większych wsiach. Przez płaski horyzont ciągnęły transporty ze skażąciami nadjeżdżające z południa od Siedlec oraz z północy od Malkini. Wzdłuż tras kolejowych leżały ciała uciekinierów z transportów, które musieli zakopywać chłopci. „Do obozu przywozili każdego dnia po 60-70 wagonów Żydów. Cały dzień slychać było krzyki, płacz dzieci i dorosłych. (...) Dym i smród były takie, że oddychać było trudno. Wieczorem widać było ogień. Dym i smród trwały przez dwa lata codziennie” – zeznała po wojnie Maria Kobus, mieszkanka Wólki.

Kiedy Helena z Wólki, dziewczyna wachmana Dmitrenki, mówiła później, że nie wiedziała, co działo się w obozie – kłamała. Wiedzieli wszyscy. Może nie znali całego procesu masowego mordy, ale wiedzieli, że żaden z Żydów wiezionych do obozu już z niego nie wracał.

Jednak niektórzy wachmani nawiązywali z chłopami bliższe znajomości. Możliwe, że uległość wobec władzy, przemocy i siły prowadziła do pewnego rodzaju familiarności. Józef B. z Wólki, jak zeznał po wojnie, znał: Fiodorenkę, Strebela, Romańczuka, Kołę, a wódkę pił z Iwanem, którego nazywano Groźnym. „Bywało, że zwracał się do mnie, abym wozem konnym odwoził go do obozu. Robiłem to kilka razy. Czasami Iwan płacił

mi za to – polskimi pieniędzmi, czasami dolarami. Miałem z nim dobre stosunki” – opowiadał w powojennym śledztwie. Nawet wiele lat po wojnie mieszkańcy pamiętali ich imiona. Jerzy Skarżyński i Eugeniusz Wójcik wspominali Wizdonowa, Henryk Ślebzak znał Wańkę, Kolkę i „takiego Saszkę”. W Poniatowej, 2 kilometry od obozu, znanym wachmanem był Piotr Dmitrienko zwany Pietrkiem lub Kalką.

MÓWIŁ, ŻE JEST NIEWOLNIKIEM

Historia Dmitrienki była typowa. Trafił do niemieckiej niewoli latem 1941 roku, a w obozie zagłady znalazł się w czasie jego budowy, w czerwcu 1942. Na przepustce w Gutach, wiosce w pobliżu Treblinki, poznał Annę S., która ukrywała się przed pracą przymusową. Miała 15 lat, gdy uciekła z nim do Warszawy. „Mąż bardzo dobrze się zachowywał, grzeczny był, nic złego o nim nie słyszałam. (...) to był pierwszy mój mężczyzna” – zeznała po latach.

Po ucieczce Dmitrienko nie pracował, wspierała ich rodzina Anny. „Podobał mi się, dlatego uciekałem z nim. Nie wiem, jaką rolę pełnił w obozie. On zawsze mówił, że jest niewolnikiem”.

Janina J. z Wólki zapamiętała wachmana Mikołaja Osyczkańskiego. Gdy zobaczyła go po raz pierwszy, miał na sobie czarne spodnie, zieloną bluzę i pilotkę ze srebrnym guziczkiem. „To był mój pierwszy mężczyzna w życiu. Mówił mi, że pełni warty w obozie. A ja się go nie pytałam” – powiedziała prokuratorowi w 1953 roku. Dodała, że „wódki nie pił, awantur i gwałtów nie było”. Zbliżyli się latem 1942 roku. Niedługo potem Osyczkański zaczął odwiedzać jej dom jako narzeczony w towarzystwie wachmana Leona Polakowa, który był narzeczonym jej siostry Ireny.

W styczniu 1943 obaj wachmani poprosili matkę dziewcząt, aby pomogła im zdobyć fałszywe dokumenty. Zdjęcia do fałszywek wykonano w chłopskiej chacie w Wólce, a miesiąc później cała grupa uciekła do Warszawy. Matka Janiny i Ireny została na miejscu, lecz od tego czasu regularnie odwiedzała ją Niemcy, pytając o córki i wachmanów. We wrześniu 1943 roku do Wólki przyjechał na chwilę Leon Polakow. Został schwytany i rozstrzelany. Osyczkański był ostrożniejszy; jego związek z Janiną przerwał dopiero upadek powstania warszawskiego. Wywieziono go do obozu Sachsenhausen, skąd wyzwolili go Amerykanie. Janina i jej matka dotarły aż do Francji. Odnaleźli się nawzajem w Polsce w sierpniu 1945, a rok później osiedlili się wspólnie w Górze Śląskiej.

„SŁUGUSY”

Właśnie w tym miasteczku po wojnie znaleźli się wszyscy wachmani – uciekinierzy z obozu zagłady i ich wybranki – dzięki wzajemnym powiązaniom i biegom okoliczności. Byli to Piotr Dmitrienko z Anną, Teodozy Melnik z Wandą, Wasilij Rudenko z Heleną oraz Mikołaj Osyczkański z Janiną i jej siostrą Ireną. Żyli pod zmienionymi nazwiskami, niektórzy zapisali się do partii.

Na początku 1953 Irena opowiedziała o tej grupie przypadkowemu mężczyźnie, szewcowi, który był członkiem partii. W czasie spotkania okraszonego winem zdradziła mu szczegóły prawdziwych losów Osyczkańskiego. Opowiadała o nim same najgorsze rzeczy. Mówiła, że groził śmiercią jej małemu dziecku. W śledztwie stała się jeszcze bardziej rozmowna. Twierdziła, że Dmitrenko żądał od niej stosunku seksualnego, grożąc jej śmiercią. „Często chodzili wszędzie, a kto się dobrowolnie nie oddał, to sami brali. Im było bardzo dobrze. Co chcieli, to mieli i pieniądze też mieli. (...) Opowiadali, jak Żydzi płaczą. Kiedy byli pijani, mówili, że człowieka można zabić tak, jak kielbasę wziąć na widelec” – zeznawała. Dodała, że związek Osyczkańskiego z jej siostrą także nie zaczął się dobrowolnie.

15 kwietnia 1953 roku Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego we Wrocławiu zatwierdził przeciwko byłym wachmanom plan operacyjny pod kryptonimem „Sługusy”. Po intensywnym śledztwie aresztowano wszystkich czterech byłych wachmanów, ich żony pozostały na wolności. Przed prokuratorem ujawniali wiele ze swojej służby, pojawiły się personalia wachmana, który dopuszczał się gwałtów. W aktach zachowało się zeznanie jednej z kobiet, która padła ofiarą przemocy. „Kiedy spotkali gdzieś samotną kobietę, zaraz przymusowo ją brali i gwałcili, bez żadnego gadania. A gdyby chciała krzyczeć, mówili, że ją zabiją, więc musiała być spokojna. I to zdarzało się kilkakrotnie, w wiosce i poza nią. Chodzili pijani i szukali kobiet” – zeznała w śledztwie

Zeznania takie jak te to rzadkość. Powojenny prokurator nie wykazał specjalnego zainteresowania wyjaśnieniem lub zbadaniem skali problemu.

KARA PO LATACH

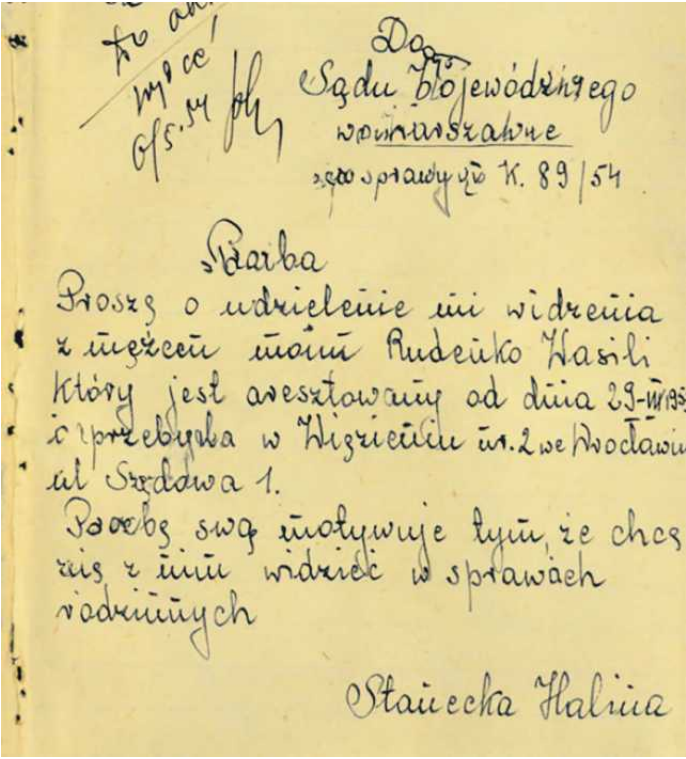
Podobnie trudno jest oszacować skalę usług seksualnych świadczonych w okolicach obozu. Henryk Ślebzak, mieszkaniec Wólki Okraglik, mówił w wywiadzie dostępnym na stronach United States Holocaust Memorial Museum: „Z Warszawy, z różnych miejsc przyjeżdżały panienki, bo im Ukraińcy dobrze płacili (...). Popiły, przyjeżdżały, wyjeżdżały, miały meliny swoje, mieszkaly to tu, to tam”. Michał Kalembsiak mieszkający we wsi Złotki (ok. 4 km od obozu) w świadectwie złożonym w ŻIH opowiedział, że w jego wsi znajdował się dom publiczny, gdzie przebywały 23 kobiety. Tę liczbę trudno zweryfikować, lecz po wojnie prowadzono śledztwo przeciwko mieszkańce tej miejscowości oskarżonej o sprzyjanie wachmanom. Jeden ze świadków, który wynajmował u niej mieszkanie, zeznał: „Była pośredniczką (...). Kierowała ona Ukraińców do poszczególnych prostytutek, a następnie (...) zgłaszała się do tych dziewcząt i żądała od nich wynagrodzenia za pośrednictwo”.

Według świadków kobiety świadczące usługi seksualne miały przyjeżdżać z Warszawy i Białegostoku. W aktach jednego ze śledztw znajduje się historia wachmana Fiodora Żrebenki, który poznał kobietę z Warszawy, Czesławę, właśnie w Złotkach i uciekł do niej w 1943 roku. Z Warszawy pochodziła również inna Polka – Zofia, która poznała wachmana z obozu w Treblince podczas pobytu w Wólce we wrześniu 1942 roku. Znajomość trwała dalej, gdy strażnik został wysłany do Warszawy, by pilnować terenu byłej dzielnicy żydowskiej.

Zatrzymanych w Górze Śląskiej wachmanów skazano 22 czerwca 1954 roku na 12 lat więzienia za udział w organizacji przestępczej, czyli obsadzie obozu zagłady. Wanda S. w styczniu 1956 roku napisała do Rady Państwa wniosek o ulaskawienie swojego męża. W liście opisywała wymyślone historie, jakoby Melnik wyrobił fałszywe dokumenty sobie i jednemu z żydowskich więźniów, po czym razem z nim uciekł z obozu, a później w czasie powstania warszawskiego walczył w AK. Dodała: „W toku rozprawy Sąd Wojewódzki w Warszawie nie udowodnił mężowi (...) żadnych przestępstw o charakterze szkodliwym dla więźniów”. W opinii na jego temat sporządzonej w 1957 roku w więzieniu we Wronkach zapisano, że „wyrok uważa za krzywdzący w stosunku do popelnionego przestępstwa”. Kolejne pisma i dobre zachowanie przyniosły skutek. Wiemy, że Rudenko wyszedł na wolność 30 kwietnia 1957 roku. W więzieniu spędził cztery lata.

Według różnych szacunków w Treblince II zamordowano około 900 tys. osób narodowości żydowskiej. ●

Autor jest doktorantem w Szkole Doktorskiej Instytutu Historii Uniwersytetu Wrocławskiego. Piszze rozprawę „Zatruta ziemia. Życie lokalnych społeczności polskich i żydowskich w cieniu obozów Treblinka I i Treblinka II”



▲ Żydom wywleczonym z transportu, tuż przed śmiercią zabierano ubranie i rzeczy osobiste
FOT. ZE ZBIORÓW YAD VASHEM

◀ Dokument z akt sprawy sądowej byłych wachmanów z Treblinki z 1954 roku
FOT. ARCHIWUM IPN



• Niemieccy przesiedleńcy z Polski w 1972 roku na dworcu kolejowym w miejscowości Friedland w Brandenburgii w NRD. FOT. RUDOLF DIETRICH/ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

Niemcy

TAK ZWANI

W ten sposób pisała o nich bezpieka. PRL-owska propaganda nazywała ich odwetowcami z Bonn i piątą kolumną. Ale gdy chcieli wyjechać do RFN, władza rzucała im kłody pod nogi.

Joanna Banaś

Najbardziej spektakularną próbą wymuszenia zgody na wyjazd była okupacja zachodnioniemieckiej ambasady w Warszawie przez rodzinę mieszkańca Strzelca Opol-
skich, który w 1973 roku nielegalnie został w Niemczech. Rodzina uciekiniera przez dwa lata bezskutecznie starała się o zgodę na dołączenie do niego. W sierpniu 1975 ro-

ku żona i syn przyjechali do ambasady RFN poskarżyć się na polskie władze, a kiedy niemiecki urzędnik bezradnie rozłożył ręce, oznajmili, że nie opuszczą budynku.

Początkowo planowano usunąć ich siłą, ale ostatecznie po konsultacji z centralą w Bonn pozwolono im koczować w holu, a później w sąsiednim budynku misji wojskowej. Rodzina gotowała sobie wieczorami posiłki z produktów dostarczanych przez pracowników ambasady. Aby nie dezorganizować pracy placówki, z czasem polskie władze zgodziły się, by

Niemcy wynajęli protestującym mieszkanie w Warszawie.

Po pięciu miesiącach rodzina dostała zgodę na wyjazd. Nie okazała jednak wdzięczności – jeszcze na lotnisku we Frankfurcie nad Menem poskarżyła się dziennikarzom na złe traktowanie przez pracowników ambasady.

O przesiedleniach Niemców z Polski opowiada wydana właśnie monografia „Czy jestem Niemcem? Przesiedleńcy z Polski do RFN i NRD w latach 1950-1991” prof. Ryszarda Kaczmarka z Uniwersytetu Śląskiego. Znany badacz dziejów Polski, Śląska i Niemiec w XIX i XX wieku omawia wiele aspektów trwającego przez kilka dekad transferu, w wyniku którego do obu państw niemieckich wyjechało ok. 1,5 mln osób. Opisuje przyczyny decyzji o opuszczeniu Polski oraz urzędowe procedury, którym podlegali przesiedleńcy. Analizuje postawę rządu zachodnioniemieckiego wobec przesiedleń, stosunek Niemców

do przyjeżdżających z Polski, a także ich pierwsze kroki w Niemczech.

KTO SIĘ BOI AUTOCHTONA

Powojenna Polska miała być krajem jednorodnym etnicznie. Po masowych wysiedleniach w latach 1945-49, gdy teren Polski opuściło około 3,5 mln Niemców, wobec mniejszości prowadzono weryfikację pod hasłem

„Nie chcemy ani jednego Niemca, nie oddamy ani jednej duszy polskiej” oraz repolonizację.

Późniejsze wyjazdy osób deklarujących narodowość niemiecką były limitowane. Szanse na nie zależały od aktualnej sytuacji geopolitycznej oraz stosunków polsko-zachodnioniemieckich.

W czerwcu 1952 roku tajna instrukcja KC PZPR zakładała przesiedlenia „autochtonów o najbardziej agresywnej posta-

wie antypolskiej i prohitlerowskiej” na ścianę wschodnią – w Rzeszowskie i Lubelskie. Planu nie zrealizowano, ale plotka o przymusowych wysiedleniach przetrwała co najmniej dwie dekady. Jej ekstremalna wersja głosiła, że osoby składające wniosek o wyjazd na stałe do Niemiec będą deportowane w głąb ZSRR.

A jednak podczas kolejnych akcji przesiedleńczych chętnych do wyjazdu do Niemiec było zawsze więcej, niż władze chciały wypuścić z Polski. Wnioskodawców nie odstraszały ani niejasne, a niekiedy tajne procedury, ani całonocne kolejki do urzędów paszportowych. Przeszkodą nie były też wysokie opłaty za rozpatrzenie wniosku, zmuszanie do wyprzedawania mienia za bezcen, wyrzucanie z pracy czy inwigilacja przez Służbę Bezpieczeństwa. Warto było wszystko znieść, by zacząć nowe życie w Niemczech, najchętniej zachodnich.

Polskie państwo chętnie pozbywało się obywateli narodowości niemieckiej, którzy mogliby być „uciążliwi” lub generować koszty. Nie robiono problemów z wyjazdem osobom niepracującym, karanym, prostytutkom, alkoholikom i tym, którzy głośno domagali się przestrzegania swoich praw oraz głosili „rewizjonistyczną propagandę”.

Nie ograniczano także wyjazdów osób skazanych za wojenną współpracę z nazistami. SB radziła nawet pozbycie się ich jako niepewnych politycznie. W przypadku nauczyciela z Chorzowa Józefa Z. zalecono przyspieszenie procedury, ponieważ był kapo w KL Dachau, za co już odsiedział w Polsce kilka lat.

Wnioskodawcy szybko pojęli, że aby ich starania były skuteczne, muszą kategorycznie podkreślać narodowość niemiecką, nawet jeśli będą przez to prześladowani w pracy czy miejscu zamieszkania. Kiedy gliwiczani Edmund G. dowiedział się, że nie dostał zgody ani na wyjazd, ani na zmianę nazwiska, o co też wystąpił, urządził awanturę w biurze paszportowym. Najbardziej zdesperowani deklarowali nawet przynależność do Werwolfu, nazistowskiej partyzantki, choć groziło za nią więzienie.

Ze względów ekonomicznych korzystne dla władzy ludowej były wyjazdy osób starych i chronicznie chorych, którymi miało się odtąd zająć państwo niemieckie lub rodzina mieszkająca za granicą. Podpisując w 1950 roku umowę ze wschodnimi Niemcami o łączeniu rodzin, polskie władze zwietrzyły interes: umowa, w myśl której mogło wyjechać miesięcznie 7 tys. przesiedleńców, przewidywała, że NRD przejmie także 5 tys. niemieckich starców i osób chorych psychicznie przebywających na terenie Polski.

Nie mogli natomiast wyjeżdżać ci, którzy zostawiliby swoich krewnych na lasce opieki społecznej PRL, jak górnik Józef B., syn nazisty, któremu odmówiono wyjazdu, bo chciał zostawić w Polsce leciwą matkę.

Wykluczano z przesiedlenia także osoby z wyższym wykształceniem i z dostępem do tajemnic państwowych lub wojskowych. W obawie przed tym poborowi autochtoni od lat 60. odmawiali służby w polskim wojsku.

KTO SIĘ CZUJE NIEMCEM

Podania o wyjazd trzeba było umotywować. Większość przesiedleńców in spe, szczególnie niedługo po wojnie, po prostu czuła się Niemcami. Ale często jako powód wyjazdu podawano chęć poprawy sytuacji materialnej. Pewien ślusarz stwierdził wprost, że jego ojczyzna jest „tam, gdzie jest pieniądź i dobry zarobek”.

Wnioskodawcy zwykle chcieli większych mieszkań, choćby zakładowych. Niekiedy stosowali szantaż, że wycofają wniosek, o ile dostaną to, na czym im zależy – mieszkaniec Zabrze zrezygnował z wyjazdu, gdy po miesiącach starań dostał wreszcie zgodę na budowę domu. Pracow-

nica chorzowskich Zakładów Azotowych deklarowała, że potrzebuje mieszkania, żeby odseparować się od byłego męża.

Bywały też sytuacje wręcz groteskowe: dwie osoby w Zabrzu złożyły wnioski o wyjazd do RFN, bo nie dostały skierowań na wczasy pracownicze.

Od początku 1957 roku z województwa katowickiego co miesiąc wyjeżdżało aż 2 tysiące osób, a mimo to liczba oczekujących na rozpatrzenie wniosków nadal rosła.

W latach 50. wyjazdy z Polski do NRD i RFN możliwe były w ramach tzw. łączenia rodzin, uzasadnianego względami humanitarnymi – w Polsce pozostali tysiące krewnych powojennych wysiedleńców. Umowa między PCK a zachodnioniemieckim Czerwonym Krzyżem z grudnia 1955 roku uruchomiła lawinę wniosków. Rozpatrywały je specjalne komisje przy radach narodowych. Oprócz bliskiego pokrewieństwa z rodziną w RFN miały uwzględniać postawę polityczną kandydatów. Jeśli ktoś wyrażał poglądy skrajnie proniemieckie i zdaniem SB szkodził władzy ludowej, paradoksalnie zwiększał swoją szansę na wyjazd.

Po uzyskaniu zgody wnioskodawca okazywał w wydziale paszportowym w komendzie milicji wszystkie zaświadczenia i wносił opłaty, które sięgały połowy przeciętnej miesięcznej pensji.

Niedotrzymanie terminu wyjazdu traktowano jako wygaśnięcie urzędowej zgody na przesiedlenie, a w pośpiechu niełatwo było skompletować dokumenty dotyczące sytuacji majątkowej. Przesiedleńcy byli zmuszeni w ciągu kilku tygodni nieruchomości sprzedać lub przekazać rodzinie. Kto mieszkał w lokalu kwaterunkowym lub spółdzielczym, musiał przekazać go administracji komunalnej czy spółdzielni. Ich mieszkania były od razu rozdzielane – na Opolszczyźnie dostali je np. deficytowi wówczas nauczyciele.

Podczas akcji łączenia rodzin wyjechało niemal ćwierć miliona osób. W województwie katowickim do połowy 1958 roku zgodę na przesiedlenie do NRD i RFN dostało 63 tys. osób, ale aż 33,4 tys. podań odrzucono. W Chorzowie i Świętochłowicach do 1960 roku pozwolono wyjechać połowie chętnych rodzin, a potem ogłoszono zakończenie akcji.

NA POHYBEL REWIZJONISTOM

Lata 60. przyniosły zaostrzenie kursu wobec mniejszości niemieckiej. Partyjna uchwała z czerwca 1960 roku zapowiadała wzmoczenie walki z „dywersyjną, antypolską działalnością zachodnioniemieckich rewizjonistów”, a za jedno z zagrożeń uznała starania o wyjazdy na stałe do RFN. Wnioskodawców zaczęto uznawać za zwolenników rewizjonizmu niemieckiego zagrażających państwu i bezpieczeństwu granic.

Odtąd, by starać się o wyjazd, trzeba było uzyskać potwierdzone zaproszenie od rodziny w RFN. Do tego wydłużono okres oczekiwania na decyzję – trwało to niekiedy latami, a zwykle długie miesiące. Na przykład Helmut B. z Dźwierszczyn od 1950 roku składał kolejne wnioski, ale zgodę dostał dopiero w latach 70. Z kolei Gerhard M. z Opola, który wnioskował o wyjazd od 1965 roku, pozytywną decyzję uzyskał dopiero po pięciu latach, być może dlatego, że w międzyczasie został skazany na trzy lata więzienia, a osób karanych chętnie się pozbywano.

Urzędy nie przyjmowały niemieckich dokumentów wysyłanych przez instytucje w RFN, bo rzekomo nie można było ich zweryfikować i uwierzytelnić. Procedur rozpatrywania wniosków i odwołań nadal nie określały żadne przepisy.

Bez podania przyczyn komisja odrzuciła trzy wnioski wyjazdowe Antona K. ze Szczecina. Dopiero za czwartym razem dowiedział się dlaczego – wniosek powinien był wypełnić na maszynie. Rodzinie

K. ostatecznie pozwolono wyjechać, ale na przygotowania dostała zaledwie 10 dni.

NIECH IM DROGA CIĘŻKĄ BĘDZIE

Zgoda na przesiedlenie oznaczała, że grunty należące do wnioskodawców przechodzą na własność Skarbu Państwa. Tracili oni własność w momencie przekraczania granicy albo uzyskania obcego obywatelstwa. Jednak od 1969 roku za moment przejmowania majątku uznano deklarację o zrzeczeniu się obywatelstwa, niezbędną do uzyskania dokumentów podróży. Tak więc już na kilka tygodni przed wyjazdem wnioskodawca nie mógł dysponować swoją nieruchomością.

Przesiedleńcy wiedzieli, że jeśli nie sprzedadzą majątku, dostaną odmowę. Zdarzało się, że jeżeli ich gospodarstwa były atrakcyjne, to właścicieli wręcz namawiano do wyjazdu. Od razu pojawili się cwaniacy, którzy wykupywali za bezcen nie tylko pojedyncze dobra, lecz wiele majątków.

Na przykład w latach 70. Franciszek K. z Lubnowa zbudował dom o wartości szacowanej przez niego na 240 tys. zł. Ponieważ państwo odmówiło jego wykupienia, zmuszony był go sprzedać za 10 tys. zł. Natomiast Marian B. z Zabrze za dwa umeblowane pokoje, kuchnię i lodówkę otrzymał 20 tys. zł, co stanowiło zaledwie jedną trzecią wartości.

„Często ostatnią okazją do spotkań z wyjeżdżającymi była możliwość odkupienia za bezcen rzeczy, których nie byli w stanie zabrać ze sobą przesiedleńcy, a chcieli je w ostatniej chwili spieniężyć, żeby przed wyjazdem dokupić jeszcze nielegalnie na czarnym rynku parę marek” – wspomina prof. Kaczmarek.

Paleta szykan wobec tych, którzy chcieli wyjechać, a których Polska Ludowa nie chciała wypuścić, obejmowała także służbową degradację lub zwolnienie z pracy po złożeniu wniosku wyjazdowego. Większość chętnych nie miała oszczędności pozwalających na przetrwanie miesięcy, a nawet lat oczekiwania na decyzję komisji. W takiej sytuacji znalazł się stomatolog z Gliwic, którego za złożenie podania zwolniono z pracy i zabroniono mu prowadzenia prywatnej praktyki w mieszkaniu.

Narzędziem represji stała się także wymiana dowodów osobistych, w które wpisywano spolszczone nazwiska członków mniejszości, podczas gdy jeszcze w latach 50. urzędy godziły się na przywracanie ich pierwotnej pisowni, zmienionej tuż po wojnie w ramach repolonizacji. Wiele osób odmawiało wpisywania do dokumentów nowych danych, a w rubryce „obywatelstwo” żądało dopisania „narodowość niemiecka”, obawiając się, że inaczej RFN nie uzna ich statusu przesiedleńców. Niektórzy nie odbierali nowych dowodów, wiedząc, że urzędy paszportowe uznawały jednoznaczną deklarację o narodowości niemieckiej za warunek niezbędny do uzyskania zgody na wyjazd.

OSTATNIE USTĘPSTWO KOMUNISTÓW

Po podpisaniu w grudniu 1970 roku układu PRL-RFN ludzie bali się, że określona w nim uproszczona procedura rozpatrywania wniosków wyjazdowych utrzyma się góra kilka miesięcy. Uważano, że to ostatnie ustępstwo komunistycznych władz, którym chodzi o ostateczne pozbycie się niezasymilowanych autochtonów.

Dlatego na początku 1971 roku nastąpił szturm na urzędy paszportowe, szczególnie w województwach, w których mieszkało najwięcej autochtonów. Punkty przyjmowania wniosków były czynne ledwie kilka godzin dziennie, więc w kolejce stało się co najmniej całą noc.

Do wybuchu paniki wyjazdowej przyczyniły się swoją nadgorliwością same

władze. W województwach opolskim i olsztyńskim milicjanci przynosili do domów wnioskodawców decyzje o zgodzie na wyjazd. Odwiedziny mundurowych kojarzyły się z wysiedleniami i deportacjami. Skutek: o wyjazd ubiegali się nawet ci, którzy początkowo tego nie planowali.

Nawet ci, którym wydano już opinię pozytywną, nie byli pewni, czy wyjadą. Przed wezwaniem do odebrania dokumentów podróży ponownie ich selekcjonowano, przyznając zgodnie z zaleceniami partyjnymi pierwszeństwo wyjazdu emerytom, ludziom chorym i niezdolnym do pracy oraz tym, którzy porzucili pracę i nie pracują od co najmniej dwóch lat.

LUDZIE ZA KREDYTY

W 1975 roku PRL i RFN podpisały umowę, zgodnie z którą Polska miała dostać 1 mld marek kredytu i 1,3 mld na realizację porozumienia o emeryturach i rentach, w zamian za wypuszczenie z kraju 125 tys. przesiedleńców do 1980 roku.

Już w 1978 roku strona polska odtrąbiła wypełnienie limitu. Nie mówiono głośno o tym, że zgodę otrzymało jedynie 41 proc. starających się. Ani o tym, że kolejka oczekujących na rozpatrzenie wniosków zrobiła się dłuższa niż przed podpisaniem porozumienia.

MSW ukrywało też fakt, że nadal obowiązuja wewnętrzne kryteria kwalifikacji do wyjazdów. W praktyce wyglądało to tak, że najpierw rozpatrywano wnioski emerytów i osób w wieku przedemerytalnym. Następnie zajmowano się tymi, którzy chcieli wyjechać do NRD. Za nimi znajdowali się rozdzieleni małżonkowie. Następnie rozpatrywane były wnioski „uciążliwych”. Kolejkę zamykali obywatele w wieku produkcyjnym, którzy na ogół słyszeli w 1979 roku, że limit wyjazdów został wyczerpany.

Katowicka SB tak skomentowała ten fakt: „Ludność naszego województwa [jest] już całkowicie zintegrowana, a problem tak zwanych Niemców na terenie województwa nie istnieje”.

EXODUS

Wbrew tym stwierdzeniom w sierpniowych latach 80. mnóstwo ludzi, niekoniecznie z niemieckimi korzeniami, chciało wyjechać do RFN. Niemcy nazwali tę falę przesiedleńców „exodusem z Polski” i policzyli, że do RFN przyjechało wtedy 810 tys. osób. Choć nie wszystkim było łatwo, szczególnie tym, którzy nie znali niemieckiego, pęd do wyjazdów trwał do upadku komunizmu w Polsce.

Po każdej turze wyjazdów do RFN peerelowskie władze ogłaszały rozwiązanie problemu mniejszości niemieckiej. Próby pozbycia się z PRL członków mniejszości niemieckiej i autochtonów przypominały scenę z filmu „Poszukiwany, poszukiwana”: im więcej było garnków, do których filmowa Marysia przelewała pęczniący makaron, tym bardziej go przybywało.

Zaklinanie rzeczywistości nie zadziałało – w ostatnim spisie powszechnym z 2021 roku niemiecką narodowość zadeklarowało 144,1 tys. mieszkańców Polski. ●



Czy jestem Niemcem? Przesiedleńcy z Polski do RFN i NRD w latach 1950-1991

Ryszard Kaczmarek

Wydawnictwo Literackie



Pamiętacie swoje pierwsze lego? Ja tak. Lat miałem chyba 8, byłem zdaje się w klasie 2., więc mniej więcej była połowa lat 80. To był mały traktor, z granatowo-czarnym ludzikiem z ciemną czupryną. Podarunek od przyjaciółki mojej mamy, wspaniałej cioci Nany, która w świecie bywała. U niej też zresztą widziałem pierwszy film na wideo, western „Jeździec znikąd” (1953) w oryginalnej wersji językowej (dlatego dla mnie zawsze funkcjonuje jako „Shane”) więc musiałem zdać się na tłumaczenie cioci.

Ale wracamy już z tej nostalgicznej wycieczki po to, by zdradzić dzisiejszy temat „Weekendówki” oraz genezę takiego wyboru. Otóż równo 57 lat temu, 7 czerwca 1968 r., w Billund w Danii powstał Legoland.

Park rozrywki, oficjalnie zwany Legoland Billund Resort położony jest rzecz jasna obok fabryki Lego, w której produkuje się najslawniejsze na świecie klocki. Na pomysł, by stworzyć dodatkową atrakcję przyciągającą do Danii wycieczki miłośników charakterystycznych kolorowych kostek i ludzików wpadł Godtfred Kirk Christiansen, syn jutlandzkiego stolarza Ole Kirka Christiansena, założyciela Lego. Godtfred, którego tuż przed swoją śmiercią ojciec uczynił dyrektorem zarządzającym firmy, najpierw wykupił udziały pozostałych trzech swych braci, a potem uznał, że biznes należy rozwijać.

Koncepcję parku Legoland oparł na słynnym Madurodam, holenderskim parku miniatur, który znajduje się w Hadze. Podziwiać tam można miniatury najciekawszych i najslawniejszych budowli i obiektów Holandii, odtworzonych z zegarmistrzowską precyzją w skali 1:25.

Kirk Christiansen, przy wydatnym wsparciu kuzynki, Dagny Holm, na powierzchni ok. 6 ha wykreowali złożony z tysięcy klocków Miniland, który do dziś pozostaje sercem i główną atrakcją parku.

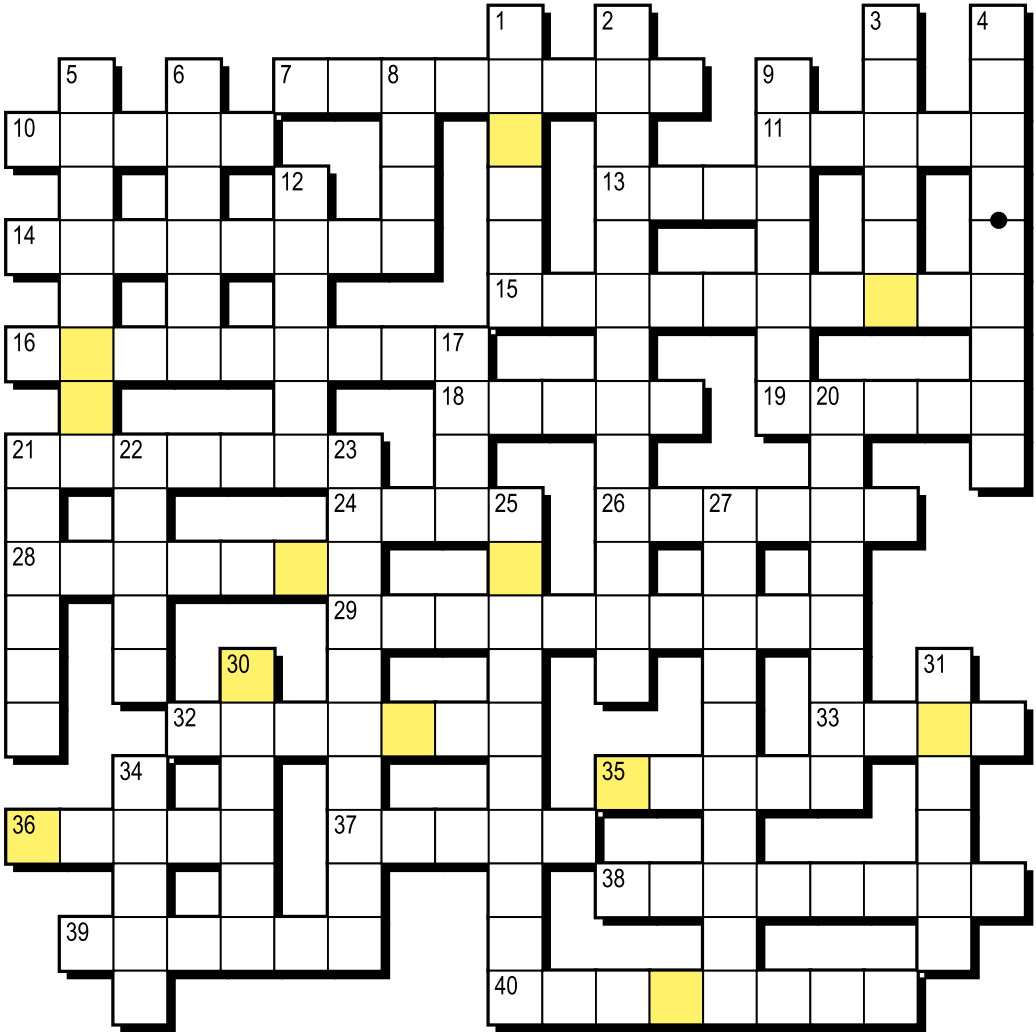
Pomysł okazał się wielkim sukcesem – już w pierwszym sezonie funkcjonowania Legoland Park przyciągnął grubo ponad 600 tys. zwiedzających.

Dzisiaj park zajmuje trzy razy tyle przestrzeni, co oryginalny, wzbogacił się o dodatkowe atrakcje, m.in. Lego City, Duplo Land – strefę dla najmłodszych, czy Ninjago World. Pełno w nim też kolejek górskich, karuzel, pociągów, wodnych torów i przeróżnych gier.

I, rzecz oczywista, klocków Lego w każdej postaci.

Dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcamy więc wesołym miasteczkom pod wszelką postacią – także muzyczną, czy literacką. Dobry zabawy!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 156 z 31.05:

- Poziomo:**
- 2) Nagrody 5) piosenka 7) okręt
 - 8) wiosna 10) Seksmisja 12) bielik
 - 13) Wesele 15) klekotanie
 - 21) dzieciąt 22) Szczyciel 23) nogi
 - 24) dziób 26) oczy 27) ptak
 - 29) Chełmoński 32) Skaldowie
 - 35) benzyna 37) samoloty
 - 38) Warszawa 39) zazula
- Pionowo:**
- 1) żniwa 2) naiwniak 3) ogonek
 - 4) orzełek 5) ptaszek
 - 6) orlice 9) odlot 11) jaskółki
 - 14) legenda 16) ojczyzna 17) asy
 - 18) odznaczenia 19) piegże
 - 20) wiadro 25) boisko 28) Tuwim
 - 30) moneta 31) szlak 33) Deyna
 - 34) Eliza 36) Zeus

HASŁO:
SŁOWICZE NUTY

KARUZELÓWKA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 7) tu można sobie poszaleć samochodzikami
- 10) gwar, wrzawa, rwetes
- 11) „Ach, tu się żyje i tu się umiera, to ci zabawa, to ci ...”, w piosence Agnieszki Osieckiej „Wesołe miasteczko”
- 13) zimne i słodkie, dla ochłody
- 14) wesołe miasteczko
- 15) „skacze”, gdy jedzie się kolejką górską
- 16) Ewa, wykonawczyni piosenki „Karuzela z madonnami”
- 18) Ray Bradbury, ... powieści „Jakiś potwór tu nadchodzi” z upiornym wesołym miasteczkiem w tle

- 19) kraj z Ogrodami Tivoli w stolicy oraz z Bakken – najstarszym na świecie parkiem rozrywki
- 21) figur woskowych lub luster
- 24) europejska stolica w pobliżu parku rozrywki Rainbow Magicland
- 26) ... dźwiękowy – i karuzela idzie w ruch
- 28) ogonek do atrakcji
- 29) większe niż wesoła wioseczka
- 32) ... prędkości lub przyspieszenia kolejek górskich, rywalizują w nich największe parki rozrywki
- 33) ... R. Koontz, napisał powieść „Tunel strachu”, wydaną także pod tytułem „Wesołe miasteczko”
- 35) szalona ..., np. na 2 pionowo
- 36) Stanisław, autor powieści „Disneyland”
- 37) siła rozpędu
- 38) nazwisko piosenkarki śpiewającej: „Karuzela gra, w głośnikach wciąż muzyka gra”

- 39) ... World, park rozrywki na Florydzie
- 40) odwiedzane podczas wizyty w parku rozrywki

Pionowo:

- 1) trzeba ją mieć, by odbyć przejażdżkę 2 pionowo
- 2) atrakcja nie dla tych, którzy mają problem z błędnikiem
- 3) parkowe dróżki
- 4) z drabinkami, huśtawkami, karuzelą, piaskownicą
- 5) tytuł piosenki z repertuaru Marii Koterbskiej („Na Bielanach co niedziela, śmiechu becza i wesele”)
- 6) doskonała w wesołym miasteczku
- 8) wielki ścisk
- 9) park rozrywki w tytule powieści Stephena Kinga
- 12) cele na strzelnicy

- 17) ... Perry, miejscem akcji teledysku jej piosenki „Chained to the Rhythm” jest lunapark „Oblivia”
- 20) nazwa jednej z kolejek górskich w Energylandii w Zatorze (skojarz z węzłem)
- 21) samochodzik wyścigowy mknący po specjalnym torze
- 22) wejściówka nabywana w kasie
- 23) dla miłośników skakania; batuty
- 25) mechanizm karuzeli
- 27) Sylwia, nagrała utwór „Karuzela”
- 30) zabawa na świeżym powietrzu
- 31) zespół, który nagrał piosenkę „Karuzela marzeń”
- 34) sztuczne ..., czyli fajerwerki

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Kraj/34354617